

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Unia myśli, co robić z Rosją
- Żydzi dogadują się z Arabami
- Pyjas sam spadł ze schodów?
- Jak to jest być synem Papcia Chmiela • Czy cudowna tabletka naprawdę odchudza



WYSOKIE
OBCASY

**Chłopka
bez butów**

Prawda o naszych
babciach



GAZETA

wyborcza

GAZETA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

PiS i Rosjanie

General Nosek pyta:

- o pierwszą partię
Kaczyńskiego
- o sprzedaż
Orlenu
i Lotosu

- o Glapińskiego
- o demontaż
kontrwywiadu

FOT. MATYUSZ KWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Zbrodniarz wojenny
z pokojowym
Noblem**
Kissinger kończy 100 lat

**List do
Czarnka**
Historyk ma się
stawiać



**Jak francuscy
spin doktorzy**
wybrali nam
króla

**Z rezunów
zrobił przyjaciół**
Paweł Smoleński
i Ukraińcy

Marta
Urzędowska

Kobiety w Turcji giną częściej

Populista, islamista, homofob. Publicznie powtarza, że równość płci jest sprzeczna z naturą, a zadaniem każdej porządnej kobiety jest urodzić trójkę dzieci.

A jednak Recep Tayyip Erdogan do niedawna pasował co bardziej konserwatywnym Turczykom. Bo zniósł zakaz zasłaniania włosów, dzięki czemu pobożne muzułmanki złapały wiatr w żagle – wreszcie mogły pójść w hidżabie do szkoły, na uczelnię, do pracy i do urzędu.

Latami głosowały na niego bez wahania, a sondaże nie pozostawiały wątpliwości: kolejne zwycięstwa Erdogan w dużej mierze zawdzięczał kobietom.

Aż przeholował. Dwa lata temu wypowiedział konwencję stambulską o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet, bo uznał, że zagraża wartościom rodzinnym, propaguje rozwody i homoseksualizm. A jego partii AKP marzy się, by aborcja była dozwolona nie do dziesiątego, ale jedynie

do szóstego tygodnia, kiedy mało kto orientuje się, że w ogóle jest w ciąży.

Choć Ankara zawsze była na bakier z prawami kobiet, po wypowiedzeniu konwencji zrobiło się gorzej. W ubiegłym roku liczba tragedii wzrosła o kilkana-

ście proc. – zamordowano 334 Turczyнки, a 245 straciło życie w „niewyjaśnionych okolicznościach”. Według policyjnych raportów już nawet 73 proc. zabijanych kobiet ginie we własnych domach.

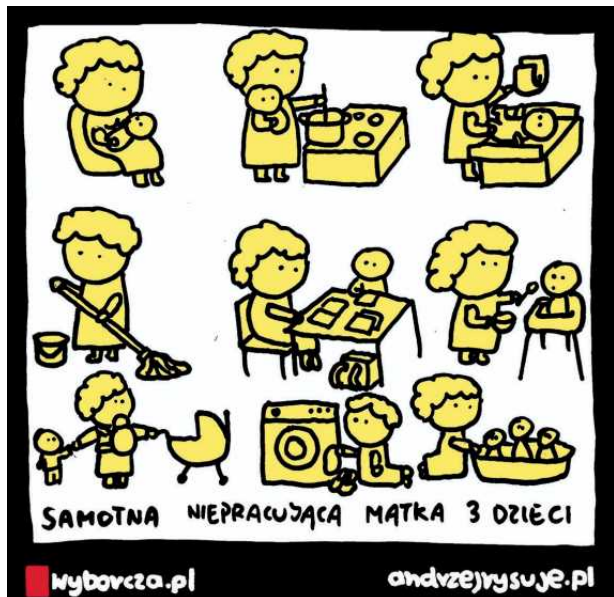
Tureckie aktywistki przekonują, że niedzielne głosowanie to wybór między „cywilizacją a barbarzyństwem”. Rywał Erdogana Kemal Kilicdaroglu, choć żaden z niego postępowy demokrat, obiecuje powrót do konwencji stambulskiej i większe wsparcie dla ofiar przemocy. Za to obecny prezydent wszedł w koalicję z islamskimi radykałami, którzy na plakatach wyborczych pokazują kobiety bez twarzy, chcą karać za pozamałżeński seks, obniżyć wiek wydawania dziewczynek za mąż i zlikwidować kary za przemoc domową.

Dlatego Turczyнки mają dość. Sondaże pokazują, że nawet jedna trzecia konserwatywnych kobiet, głosujących na Erdogana w poprzednich wyborach, dziś nie chce go w fotelu prezydenta, a jego partii – na czele rządu.

Choć zdaniem speców od Turcji Erdogan wygra i znowu zostanie prezydentem, stąpa po cienkim lodzie. Bo wśród uprawnionych do głosowania wyborców dziesięć milionów to kobiety, które podczas kampanii uważnie słuchały wezwań, by „bronili swoich praw, swojego życia i swojej wolności”.

I nawet jeśli w niedzielę Erdogan pokona Turczyнки jeden do zera, gdy zechce jeszcze mocniej przykręcić im śrubę, przy najbliższej okazji pokażą mu czerwoną kartkę. ●

Andrzej rysuje



247 lat US Navy

Ameryka (wciąż) panuje nad falami



USS „Wasp” wpływa do Nowego Jorku z okazji Fleet Week. „Osa” – desantowiec z nazwy, w istocie lotniskowiec (ma na pokładzie myśliwce F-35) – brała udział w interwencji ONZ w Somalii, wspierała operacje w Afganistanie i przeciwko Państwu Islamskiemu, pomagała w Nikaragui i na Karaibach po huraganach „Felix” i „Irma”. Teraz służy na Pacyfiku, gdzie mnożą się incydenty – tam chińska marynarka testuje swoje możliwości.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Jeśli weekend w Hiszpanii, to w nowym muzeum Skarby królów katolickich dla każdego

Madryt czekał na niego 100 lat. Kosztował 200 mln euro. Biały jak śnieg budynek z podłużnymi oknami ciągnącymi się przez kilka kondygnacji robi wrażenie. Okna są tak długie i gęsto rozsiane, by naleyście doświetlić olbrzymie hale wystawowe. A będzie co doświetlać – bo kolejna liczba to 155 tys. Tyle dzieł sztuki ma pomieścić otwierające się w tę niedzielę Museo de Colecciones Reales. Otwarcie nowej galerii mieszczącej królewską kolekcję sztuk pięknych jest wydarzeniem na skalę europejską. Tego samego kalibru co Forum Humboldtów, które zebrało w zeszłym roku pod jednym dachem zbiory kilku berlińskich muzeów.

Ale zaraz, przecież Madryt ma już kolekcję malarstwa, i to jedną z najwspanialszych na świecie, czyli Prado? Nowa galeria, choć nie zabraknie w niej obrazów Caravaggia, Goi czy Velázqueza, raczej je uzupełni, niż będzie konkurencją – skupi się na przedmiotach codziennego użytku, ale o wiel-



kiej wartości historycznej i materialnej, które należały m.in. do królów Hiszpanii. – Wachlarze, zegarki, tkaniny, dywany, meble, zastawa stołowa, instrumenty, które przez pięć wieków stanowiły wystrój 19 pałaców – wyliczają muzealnicy.

O tym, aby w jednym miejscu zebrać królewskie pamiątki, Hiszpanie myśleli już w latach 30. Na przeszkodzie stanęła wojna domowa. Za dyktatury Franco nie wrócono do projektu, chociaż junta odmieniała „Wielką Hiszpanię” przez przypadki. Pomysł na taką wizytówkę hiszpańskiej historii wrócił dopiero w 1998 r., 13 lat po przystąpieniu do UE. ●

Anna S. Dębowska

Myśliwi pod ochroną

„Jako prześladowana mniejszość zebraliśmy siły i postanowiliśmy walczyć ze szkalującymi wypowiedziami”, idąc drogą, „którą przetarli wcześniej ruchy LGBT”

ADWOKAT MYŚLIWYCH, którzy pozwali Kingę Rusin za stwierdzenie, że polowania na jelenie podczas rykowiska to zbrodnia

Pal drewnem i głosuj

Ponad

716

MLN ZŁ



może kosztować „road show”, czyli obwoźna wystawa, która ma uczcić 100-lecie Lasów Państwowych. Oprócz „finezyjnej, wiarygodnej” ekspozycji o drewnie jako surowcu zaplanowano pikniki. A na nich – food truck z dziczyzną i warsztaty, m.in. z cięcia drewna oraz „jak ekologicznie palić drewnem”. TIR z wystawą ma odwiedzić 100 miast jeszcze przed wyborami. ● Więcej ► Wyborcza.pl/klimat

Od niedzieli

Nie tylko Iga Świątek. Polskie szanse w Rolandzie Garrosie

Rozpoczyna się słynny wielkoszlemowy turniej w Paryżu. Iga Świątek wygrała tu w 2020 i 2022 r. W tych obuedycjach przegrała łącznie tylko jednego seta.

Jest faworytką, ale nieco mniejszą niż rok temu. Wszystko dlatego, że 10 dni przed startem doznała kontuzji uda i musiała zejść z kortu podczas meczu z Jeleną Rybakiną. Dzień później powiedziała, że jej uraz „to prawdopodobnie nic poważnego”, niemniej można mieć jakieś wątpliwości co do tego, czy będzie w życiowej formie.

W Paryżu Świątek walczy nie tylko o puchar i 2,3 mln euro, ale również o zachowanie prowadzenia w rankingu WTA. Jeśli Polka odpadnie wcześniej niż w ćwierćfinale, to na pierwsze miejsce przesunie się Białorusinka Aryna Sabalenka – nawet jeśli sama przegra w I rundzie.

Obie mogą się spotkać dopiero w finale. Jeśli tak się stanie,

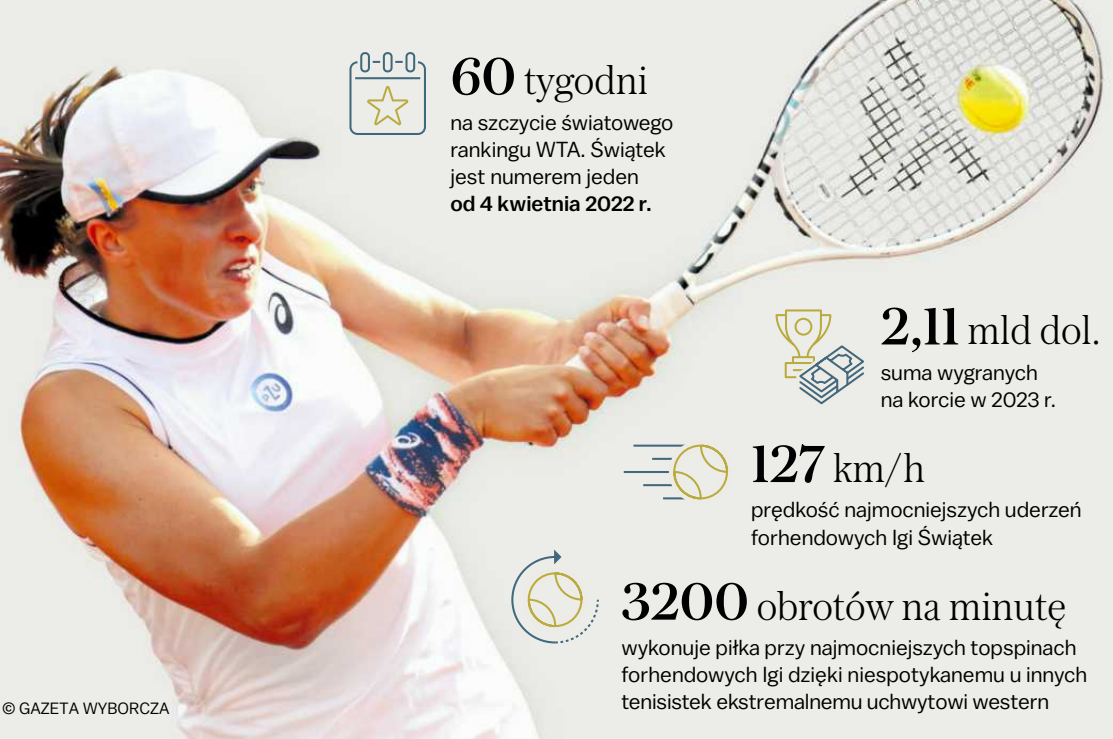
to zagrają właśnie o pozycję numer 1 w rankingu.

Świątek naturalnie przyciąga uwagę jako najbardziej utytułowana, ale „naszych” na French Open pojawi się więcej. Też utytułowanych i ze sporymi szansami, tylko że w grze podwójnej – Jan Zieliński z Monakijczykiem Hugo Nysem są na pierwszym miejscu rankingu deblistów ATP, a Magdy Linette (w duecie z Chinką Wang Xiyu) nie trzeba przedstawiać nikomu, kto choć raz odpalił internet, sięgnął po gazetę albo włączył telewizor na początku roku, gdy awansowała do półfinału Australian Open i do pierwszej światowej dwudziestki (dziś jest 21.). ●

Marek Deryło

Transmisja turnieju w Eurosporcie, a wywiad Marka Deryła i Doroty Wodeckiej z Magdą Linette – „Pokażesz słabość i już po tobie” ► Wyborcza.pl/sport

Same wielkie liczby. Iga Świątek w statystyce



PiS odkrywa rezerwuar głosów

Kaczyński zaleca się do kobiet

Gdyby sami mężczyźni wybierali Sejm, PiS dostałby 33 procent. Gdyby same kobiety – 29

Kublik



Właśnie zaczyna się bój o głosy kobiet. Tych młodych (bardzo zdemobilizowanych, po krótkiej aktywności, gdy Trybunał Konstytucyjny Przylębskiej zastrzył i tak rygorystyczne prawo antyaborcyjne), tych w średnim wieku i tych najstarszych (najsilniej zmobilizowanych). Wszystkie kobiety są na wagę trzeciej kadencji Kaczyńskiego.

PiS kalkuluje, że 8 051 935 głosów, które dostał w wyborach parlamentarnych w 2019 r., czy 8 450 513 głosów, które Andrzej Duda zgarnął w I turze prezydenckiej w 2020, to może być za mało, by znowu wygrać. Dlatego Kaczyński nie tylko musi utrzymać poparcie, ale też przyciągnąć sporo nowych wyborców.

Wystarczy kilka liczb, żeby pokazać skalę ambicji – i determinacji – PiS.

30 milionów Polaków ma prawo wyborcze, kobiety stanowią 51 proc.

Według majowego badania pracowni Kantar Public na wybory zamierza iść 67 proc. mężczyzn i 71 proc. kobiet.

Gdyby to mężczyźni wybierali Sejm, wygrałby Kaczyński z poparciem 33 proc. Tusk miałby 27 proc. Trzecie na podium znalazłoby się „trudno powiedzieć” z aż 14 proc. głosów.

A gdyby decydowały tylko kobiety? Wtedy PiS dostaje 29 proc., czyli traci. Koalicja Obywatelska też dostaje 29 proc. – czyli zyskuje. A aż 16 proc. kobiet zaznaczyło „trudno powiedzieć”.

Jest o co walczyć, więc się walczy. Premier Morawiecki właśnie cmoka (werbalnie) panie po rękach. Sześć rząd

du jako gość I Kongresu „Wielkopolska Sercem Europejskiej Przedsiębiorczości. Polka – Wyjątkowa Europejka” wygłosił pean: „Bardzo wyraźnie widzę wokół, jak Polki biorą sprawy w swoje własne ręce, zajmują się najróżniejszymi rzeczami. Dla mnie Polka jest synonimem przedsiębiorczości. Gratuluję wszystkim kobietom, które na różnych odcinkach frontu zawodowego, domowego i godzenia work-life balance starają się zawsze wypracować to, co najlepsze, najpiękniejsze, najważniejsze. Dzisiaj kobiety lepiej sobie radzą niż mężczyźni, którzy nie mogą nadążyć za kobietami. To jest chyba znak czasu”.

Ale zaraz? Kobiety i przedsiębiorczość? To już nie przy garach i dzieciach? Przecież to jest filozofia PiS – pielęgnować tradycję, w której kobieta jest przedmiotem, o którym decydują mężczyźni (czyli politycy i duchowni).

Wszak to ekspert Przemysław Czarnka, ministra w rządzie tego samego Morawieckiego, wyluszczył w tekście „Czego nauczyć szkoła”, że „obserwujemy w kulturze bardzo niebezpieczne zjawisko moralne, także religijne, pewnego zepsucia duchowego kobiety, polegającego na rozbudzeniu w kobiecie pychy, która się przejawia próżnością, zainteresowaniem wyłącznie sobą, egotyzmem, zwalczaniem obiektywnego porządku na rzecz wידzenia siebie. Jeśli takie postawy się upowszechnia, to jednocześnie zabija się rodzinę, zamyka się na płodność”.

A Czarnek tłumaczył, że „chcemy procesu wychowawczego, który będzie uczył mądrości, roztropności, umiarkowania i wielu innych cnót, w tym również cnót niewieścich, które są niezwykle potrzebne do tego, żeby wzrastać na wartościach”. Czy wtedy premier napomknął coś o przedsiębiorczych, cnotliwych Polkach?

Za to wypowiedział się Kaczyński. Podczas jednej z prekampanijnych wi-

zyt przedstawił socjologiczno-etyczną analizę: „Do 25. roku życia dziewczęta, młode kobiety, piją tyle samo co ich rówieśnicy, to dzieci nie będzie. Pamiętajcie, że mężczyzna, żeby popaść w alkoholizm, to musi pić nadmiernie przez 20 lat, przeciętnie, bo jeden dłużej, drugi krócej. Ja nie jestem zwolennikiem bardzo wczesnego macierzyństwa, bo kobieta też musi dojrzeć do tego, żeby być dobrą matką, ale jak do 25. roku życia daje w szyję, no to...” (śmiech).

Teraz ten samotny, bezdietny, patriarchalny starszy pan planuje, jak zdobyć głosy właśnie kobiet, ze szczególnym uwzględnieniem tych do 45. roku życia. Niezłe wyzwanie, zważywszy, że to właśnie dziewczyny i młode kobiety (to nie kurtuazja względem pań po 40., granica wieku średniego się przesuwają) są najbardziej liberalne. W ogóle młodzi skracają na lewo, a młode kobiety silniej niż mężczyźni – z lewicą utożsamia się ok. 40 proc. młodych kobiet i 22 proc. młodych mężczyzn.

Dla młodych homoseksualizm jest normalny, a rodzina nie sprowadza się do modelu „mąż, żona i dzieci”; akceptują płynne tożsamości seksualne; rośnie poparcie dla aborcji i odsetek tych, którzy chcą edukacji seksu-

alnej w szkole; spada religijność. Badania pokazują, że im bardziej PiS się radykalizuje, tym mocniej młodzi się liberalizują.

Propozycje dla takich młodych kobiet mają się pojawić po wakacjach. Nie ma przecieków, co Nowogrodzka szykuje. Co wskazuje, że Kaczyński i jego spin doktorzy są na etapie „jakoś musimy to odkręcić”, ale jeszcze nie bardzo wiedzą jak. Zapewne prócz oczywistych oczywistości w rodzaju 1000+Kobieta dla cnotliwej i przedsiębiorczej.

Tak czy inaczej – niezła hipokryzja.

Koalicja Obywatelska już PiS punktuje. Monika Wielichowska: – To partia Kaczyńskiego zaostrzyła prawo antyaborcyjne i to władza PiS doprowadziła do tego, że dziś ciężę prowadzą prokurator, Episkopat i polityk PiS. Polski rząd wspiera kobiety, ale gazem, pałkami teleskopowymi i wyrokiem pseudotrybunału Przylębskiej.

Ja dorzucam do tej listy brak finansowania in vitro, mniej pieniędzy na Centrum Praw Kobiet, wstrzymanie finansowania Niebieskiej Linii dla ofiar przemocy w rodzinie, brak realnej pomocy dla rodzin z niepełnosprawnymi dziećmi czy sprzeciw PiS wobec unijnej konwencji o zwalczaniu przemocy wobec kobiet.

– Polki zapamiętaj także to, że Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski prezydent Duda odznaczył abp. Marka Jędraszewskiego, który szczuł na protestujące kobiety – mówiła Kamila Gasiuk-Pihowicz.

A co proponuje opozycja? KO ma „pakiet dla kobiet”, a w nim prawo do aborcji do dwunastego tygodnia, powrót do edukacji seksualnej, łatwy dostęp do antykoncepcji awaryjnej oraz do in vitro.

Marta Golbik: My wolność kobiet przywrócimy.

I jak Kaczyński to przeliczytuje? ● Agnieszka Kublik



Młot (Prawa i) Sprawiedliwości

Będą mogli oskarżyć każdego, podważyć każdą decyzję, zażądać każdego dokumentu i skazać na śmierć cywilną, kogo zechcą. Bez odwołania

Infografika **Wawrzyniec Świącicki**

Projekt powołania państwowej komisji do spraw badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne RP w latach 2007-22 wniosła grupa posłów PiS.

Komisja ma się składać z dziewięciu członków powoływanych i odwoływanych przez Sejm i funkcjonować na podobnych zasadach jak komisja weryfikacyjna ds. reprywatyzacji warszawskiej.

Projekt jest odpowiedzią Zjednoczonej Prawicy na zarzuty, że za aferą taśmową, która przyczyniła się do przejęcia władzy w Polsce przez PiS, stały rosyjskie służby.



Pole działania komisji

Na celowniku komisji znajdują się funkcjonariusze publiczni i członkowie kadry kierowniczej wyższego szczebla. Komisja będzie analizować:

- wszelkie czynności urzędowe, w tym tworzenie, powielanie i udostępnianie informacji osobom trzecim;
- przygotowanie, wpływanie na treść i wydawanie decyzji administracyjnych;
- podejmowanie decyzji w imieniu organu władzy publicznej lub spółki, w szczególności zawieranie umów, udział w negocjacjach, wybór kontrahenta i zatrudnianie pracowników;
- uczestniczenie w tworzeniu prawa jako reprezentanci organów władzy publicznej lub spółki;
- udział w negocjacjach, przygotowywaniu stanowiska RP i zawieraniu umów na forum międzynarodowym;
- dysponowanie środkami publicznymi lub spółki.



Będą mogli wszystko

Uprawnienia komisji mają być tak szerokie, a odpowiedzialność tak ograniczona, że w istocie będzie to sąd specjalny wydający wyroki nazwane „decyzjami” i wymierzający arbitralnie kary nazwane „decyzjami administracyjnymi”. Co jeszcze będzie wolno komisji?

- Będzie mogła uchylać decyzje administracyjne;
- wydawać zakazy pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi do 10 lat;
- cofnąć pozwolenia na broń na okres do 10 lat;
- cofnąć poświadczenia bezpieczeństwa na 10 lat lub zakazać go;
- nałożyć grzywnę na świadka, który odmówi współpracy z komisją (do 50 tys. zł);
- jej decyzje są ostateczne i nie można się od nich odwołać;
- ma nieograniczony dostęp do akt postępowań przygotowawczych i sądowych;
- może zdecydować o jawności rozprawy, w trakcie której odbywa się przesłuchanie radcy prawnego lub adwokata co do faktów objętych tajemnicą zawodową;
- zgromadzona dokumentacja ma być wyłączona spod ustawy o dostępie do informacji publicznej – czyli nikt nie będzie miał w nią wglądu;
- raport komisji oraz wydane decyzje administracyjne mają być jawne, udostępnione w Biuletynie Informacji Publicznej, co jest równoznaczne z pozbawieniem obwinionego czci i dobrego imienia;
- członków komisji nie będzie można pociągnąć do odpowiedzialności.



Pogwałcone zasady

Zdaniem większości ekspertów proponowane rozwiązania łamią podstawowe normy, na których opiera się współczesny porządek prawny.



- Ustawa karna nie może działać wstecz** (*Nullum crimen sine lege praevia*, czyli nie ma przestępstwa bez ustawy, art. 42 ust. 1 konstytucji). Czyn tylko wtedy jest karalny, gdy był zabroniony pod groźbą kary przez ustawę obowiązującą w czasie jego popełnienia.
- Czyn zabroniony musi być dostatecznie określony** (art. 42 ust. 1 konstytucji). Przepis określający czyn zabroniony musi być tak sformułowany, aby jego opis dawał możliwość przewidzenia, jakie zachowanie jest karalne.
- Domniemanie niewinności, dopóki wina nie zostanie stwierdzona prawomocnym wyrokiem sądu** (art. 42 ust. 3 konstytucji). Komisja nie jest sądem w rozumieniu art. 175 ust. 1 konstytucji.
- Zasada trójpodziału władzy** (art. 10 ust. 1 konstytucji). Komisja jest organem administracji publicznej powoływany przez Sejm, lecz jej działanie wchodzi w zakres działania władzy sądowniczej.
- Zasada poprawnej legislacji** wynikająca z zasady demokratycznego państwa prawa wyrażonej w art. 2 konstytucji). Istnieje już ustawa o sejmowej komisji śledczej, są procedury odbierania praw publicznych czy odbierania pozwolenia na broń oraz cofania poświadczenia bezpieczeństwa. Dublowanie istniejących instytucji i procedur prowadzi do chaosu prawnego.
- Organy władzy publicznej działają na podstawie i w granicach prawa** (art. 7 konstytucji). Zasada ta ma przeciwdziałać dowolności działania organów władzy publicznej i uniemożliwia zwolnienie sprawujących władzę z odpowiedzialności prawnej.



Niezgodność z prawem Unii Europejskiej

Ustawa łamie zasady **Karty Praw Podstawowych UE** dotyczące odpowiedzialności karnej, postępowania odwoławczego oraz działalności gospodarczej. Projekt narusza również art. 6, 7 i 13 **Europejskiej konwencji praw człowieka** (ograniczenie możliwości podejmowania określonych funkcji, niedookreślenie zasad odpowiedzialności karnej i ograniczenie prawa do sądu).

14 kwietnia 2023 r.
Sejm uchwalił ustawę o powołaniu komisji.

233 posłów głosowało za (PiS, Kukiz'15, koło Polskie Sprawy i 2 posłów niezrzeszonych).

208 było przeciw (KO, Lewica, KP-PSL, Polska 2050, Porozumienie, koło Wolnościowcy, Lewica Demokratyczna i 4 niezrzeszonych).

9 się wstrzymało (Konfederacja).

10 nie głosowało.

Czas na trening z Pepem Guardioli

Skoro wszystkiemu winny jest „system”, niczemu nie jesteś winny ty.

Marcin Matczak



Narodowe Centrum Nauki ogłosiło wyniki konkursów grantowych dla polskich naukowców. Rozdysponowało ponad pół miliarda złotych – powinno więcej, ale od dłuższego czasu minister Czarnek nie zwiększa nakładów na badania, których wyników nie może kontrolować. Jest wszak jasne, że publiczne pieniądze pod rządami PiS muszą być wydawane na chwałę Partii: na wozy strażackie, które można podarować, na potańcówki, na których można politycznie zyskać. Broń Boże na szukanie prawdy, która może się okazać wroga Polsce.

Dziś jednak tematem nie będą zapędy cenzorskie polityka chroniącego polskość przed dyskomfortem. I nie nauka, która potrzebuje większych pieniędzy, ale ich nie dostanie, bo profesorowie nie wyjdą na Krakowskie Przedmieście z piórami wiecznymi zamiast sztachet, nie rozleją przed Sejmem atramentu zamiast mleka i nie podpalą stosu indeksów zamiast opon.

Tematem będzie konkurowanie o to, co cenne, a czego mało. Komentujący decyzję NCN słusznie wskazują, że niewiele wniosków spośród tych, które złożono, otrzymało finansowanie. Na przykład w panelu HS5 (prawo i politologia) kontrolę formalną przeszło 106 wniosków, a finansowanie otrzymało 7. To daje bardzo niski współczynnik sukcesu – 6,6 proc.

Pojawiły się więc głosy, że wnioskowanie o grant NCN jest jak totolotek. „Wprawdzie w totolotku jeszcze mniejsze prawdopodobieństwo sukcesu, ale za to wyższe wygrane i większa swoboda dysponowania środkami”, pisze użytkownik Irek Sadowski. Inni wtórują: „To już jednak jest w dużej mierze loteria”. A ponieważ praca nad dobrym wnioskiem trwa co najmniej kilka miesięcy, ktoś pisze: „Szkoda życia na te wnioski. Smutne to...”.

Konkurs grantowy jest jednak nie loterią, ale rywalizacją o coś, czego nie starczy dla wszystkich. Tego, o co się rywalizuje, powinno być więcej, bo na pewno wśród wniosków odrzuconych z braku pieniędzy było wiele znakomitych. Można też konkurs krytykować za to, że jest oparty na nieprzejrzystych kryteriach. Ale tego wobec NCN nikt nie podnosi – jest to jedna z niewielu instytucji, które pod rządami PiS działają dobrze. Ale loteria? O co tu chodzi?

Moim zdaniem o popularną współcześnie postawę: obwinianie systemu za swoje niepowodzenie. W tym przypadku systemem jest ślepy los. Skoro wszystkiemu winny jest „system”, niczemu nie jesteś winny ty. Nie musisz się zastanawiać, czy mogłeś zrobić coś lepiej, nie musisz się doskonalić. Mityczny system jest idealnym wyjaśnieniem każdej porażki.

Ten argument pojawia się coraz częściej w dyskusji o sukcesie w życiu w ogóle. Choć trzeba mieć w nim szczęście, życie nie jest loterią. O tym, czy coś się w nim udaje, czy nie, nie decyduje rzut monetą – jak wiadomo, Bóg nie gra w kości. Sukcesowi w życiu pomaga praca, porażkę w życiu uprawdopodobnia rezygnacja. Argument z loterii jest argumentem deprymującym: skoro o wszystkim decyduje ślepy los, to żaden merytoryczny wkład (w życie czy wniosek grantowy) nie ma znaczenia. A więc rzeczywistość – szkoda życia i smutne to.

Ten argument ma jeszcze inny wymiar. Nie trzeba być Sokratesem, żeby wnioskować, że skoro ci, którzy przegrali (konkurs albo życie), przegrali przez ślepy los, ci, którzy wygrali, wygrali z tego samego powodu – udało im się, trafiło się ślepym kurom ziarno. I w komentarzach to widać: także laureaci grantów NCN „mogą się czuć jak wygrani w lotto”. Mieli po prostu szczęście.

Taka narracja jest typowa dla lewicy, bo obrzydli liberalni kapitaliści mówią coś innego: „Szczęście jest dywidendą potu. Im więcej potu, tym więcej szczęścia” (Ray Kroc). „Bardzo wierzę w szczęście i uwa-

żam, że im ciężiej pracuję, tym więcej go mam” (Thomas Jefferson). „Nie ma czegoś takiego jak szczęście. Jest tylko odpowiednie lub nieodpowiednie przygotowanie do radzenia sobie ze statystycznym wszechświatem” (Robert A. Heinlein). I wreszcie: „Kiedy pracuję 14 godzin dziennie, 7 dni w tygodniu, trafia mi się szczęście” (Armand Hammer, nie ja).

Lewica mówiąca o szczęściu i pechu (w życiu i konkursie) miesza dwie kwestie: prawdziwe twierdzenie, że ktoś, kto odniósł sukces, nie odniósł go WYŁĄCZNIE z powodu swoich zasług, ale także dlatego, że miał szczęście, z twierdzeniem, że ktoś odnosi sukces WYŁĄCZNIE dlatego, że miał szczęście. To tak samo fałszywa narracja jak ta, że ktoś przegrywa wyłącznie dlatego, że miał pecha. Nie – przegrywa także dlatego, że był gorszy.

Takie gadanie psuje młodych ludzi. Zamiast zachęcać, aby stawali się lepsi, przedstawia konkurencję jako ślepą siłę. W przeciwieństwie jednak do Temidy, która jako bogini sprawiedliwości ma zasłonięte oczy, w komentarzach utożsamiających konkurencję ze ślepym losem pobrzmiewa poczucie niesprawiedliwości. Ślepotą w tym przypadku krzywdzi, bo przecież ktoś się napracował, a jednak się nie udało.

Mądrość Samuela Becketta głosi: „Spróbuj. Przegraj. Spróbuj jeszcze raz. Przegraj lepiej”. Jeśli życie to loteria, nie da się przegrać lepiej. Nie da się niczego nauczyć na podstawie porażki, jeśli uważa się, że zdecydował o niej ślepy los. Bo na jego ślepotę nie da się przygotować.

Ale życie nie jest loterią i choć los odgrywa w nim jakąś rolę, nie determinuje go całkowicie. Nawet jeśli jest grą, można zwiększyć swoje szanse na wygraną. To jednak wymaga pracy, nie rezygnacji. Wie o tym Pep Guardiola, który ogrył ostatnio Real Madryt, a który po zdobyciu bramce nie cieszy się, tylko ochrzania bramkarza za to, że ten trzy akcje temu nie wybrał najlepszej opcji podania, co zmniejszyło szansę na szybki atak. Wie o tym Jurgen Klopp, który zatrudnia trenera rzutów z autu (!) i tak czyni swój zespół lepszym od konkurencji w kolejnym, drobnym elemencie, który potem decyduje o wszystkim.

Krytykujcie system, by pieniędzy na sprawy ważne, jak nauka czy opieka nad dziećmi, było więcej. Krytykujcie finansowanie spraw błahych, jak potańcówki czy prawicowe portale internetowe, na które wydano miliony, a które obserwuje 11 osób. Ale nie wmawiajcie ludziom, że o wszystkim decyduje ślepy los. Bez względu na to, czy chodzi o konkurs grantowy, czy o życie. ●

CASA NOSTRA

Wiosna w tym roku jest nienormalna

Kiedy policja mówi „ci ludzie”, to zawsze znaczy „te ch...”.

Jarosław Mikołajewski

Jestem w Rzymie, kiedy piszę te słowa, jestem, kiedy czytacie ten felieton. Od kiedy wylądowałem na Fiumicino, ciągle ktoś powtarza: masz szczęście, to pierwszy słoneczny dzień od tygodni.

Padalo mocno w całych Włoszech. „Wiosna w tym roku jest nienormalna”, mówi Caterina, przyjaciółka hotelarka z Sycylii. „Wszyscy posmutnieliśmy”, mówi recepcjonista hotelu w centrum Miasta, które jest światem. Chmury wciąż wiszą nad wieloma punktami Wysp i Półwyspu, ale w Romanii, przez którą przeto- czył się kataklizm, trwają już porządki. Strach minął. Pozostała żaloba po ludziach i domach. „Największym problemem – mówi znajoma dziennikarka – jest teraz nie woda, która płynie, lecz woda, która stoi. Chora, zakiszona, ze-psuta”. „Niewiele rzeczy śmierdzi bardziej niż stojąca woda po powodzi – zagaduje stary bolończyk za barem na via del Corso, w samym centrum Rzymu. – Nie ma jak oddychać”.

Rozglądam się za nowymi wystawami w galeriach: malarstwo Pasoliniego w Galleria Nazionale dell'Arte Moderna, Dosso Dossi w Gallerii Borghese... Pójdę, zobaczę, wspomnę za tydzień. Tymczasem idę z Renato Gabriele, przyjacielem poety, którego wiersze ukazują się właśnie po polsku i włosku w krakowskiej Austerii, do „Fontany” di Trevi („pewnie smak szampana ma ta fontana”, domniemywał Iwaszkiewicz), zaczernionej w minionych dniach przez aktywistów w proteście przeciw wydobywaniu i stosowaniu paliw kopalnych. Nad fontanną – tłum dawno niewidziany. Jak na stadionie podczas derby Lazio – Roma. Co dziesięć metrów – patrol policji. Poniżej – czysta woda. Biała. Kiedy oczyściliście?, pytam policjantki... „Następnego dnia – odpowiada. – Kiedy ci ludzie robią coś takiego, staramy się minimalizować ich działanie”...

– Kiedy policja mówi „ci ludzie”, to zawsze znaczy „te ch...” – komentuje Annabella, rzeźbiarka, żona Renata. – Ale mają rację – dodaje. – Bo niby to chronić świat, doprowadzają do roztrwonienia czystej wody, którą trzeba teraz spuścić z fontanny.

Ciąg dalszy rzymskiego odcinka za tydzień. Jest mi tu dobrze. Rzymsko. Ludzko. ●

Kanada – przez Gór Skalistych szczyty

Fantastyczna podróż po Kanadzie od Calgary po Vancouver przez wspaniałe parki narodowe, lodowce, krystaliczne jeziora oraz urocze górskie miasteczka.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Calgary. Nocleg w Canmore. Dz. 2 Wycieczka do Parku Narodowego Banff, wjazd gondolą na Górę Siarkową, czas wolny w miasteczku Canmore. Dz. 3 Canmore – Jezioro Louise – droga Icefields Parkway – Columbia Icefield – Waterfall – Jasper. Przejazd po lodowcu pojazdem Ice Explorer. Dz. 4 Zwiedzanie Parku Narodowego Jasper. Kanion Maligne, możliwość pływania łódką po jeziorze Maligne. Dz. 5 Jasper – Mount Robson - Kamloops. Dz. 6 Kamloops – Cache Creek i gorączka złota – Coast Mountains – Whistler. Dz. 7 Whistler – Vancouver. Orientacyjna wycieczka po mieście. Dz. 8 Vancouver. Dzień do własnej dyspozycji. Dz. 9 Powrót do Polski. Dz. 10 Przyłot do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 19/07 2024

KANADA
Park Narodowy Jasper
Kamloops
Whistler
Vancouver
Park Narodowy Banff
Canmore
USA
Wyspa Vancouver

Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!

Albatros travel

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: GW33

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Gen. bryg. rez. Janusz Nosek**

• ur. w 1968 r., szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego w latach 2008-13. Historyk. Od 1992 r. funkcjonariusz UOP, od 2002 r. w ABW. W latach 1996-2006 był m.in. dyrektorem Zarządu Ochrony Ekonomicznych Interesów Państwa UOP i dyrektorem Delegatury ABW w Krakowie. W służbach do 2015. Wielokrotnie odznaczany. Jeden z bohaterów książki Roberta Zielińskiego „Ścigani. Jak »dobra zmiana« niszczyła polskie służby specjalne”.



Kalki z Moskwy widać już wszędzie



FORMAT PiS

Środowiska prorosyjskie w Polsce nie powiedziały ostatniego słowa,
a ludzie tego nie widzą

Z GENERAŁEM **JANUSZEM NOSKIEM***, BYŁYM SZEFEM SŁUŻBY KONTRWYWIADU WOJSKOWEGO, ROZMAWIA **DONATA SUBBOTKO**

Długo pan nie chciał rozmawiać o rosyjskich wpływach w Polsce.

– Obawiałem się trywializacji tego zagadnienia. Okładanie się „ruskimi onucami” przez wszystkie strony sceny politycznej nie służy rzetelnemu wyjaśnianiu realnych wpływów agenturalnych. Nie ma nic gorszego niż poważny problem sprowadzony do komiksu. Nie możemy pozwolić, żeby ludzie uważali, że to tylko takie „wyzywanie się od szpiegów”.

Panie generale, są w Polsce „ruskie onuce” czy nie?

– Są. Prawdziwe zagrożenie polega na kreowaniu przez Rosjan naszej rzeczywistości politycznej. Ktoś, kto mało wie o pracy służb specjalnych, może wpływy rosyjskie wyolbrzymiać albo bagatelizować: e tam, to tylko teorie spiskowe. Jednak mamy już dzisiaj tyle faktów, poszlak i dowodów, o których piszą Grzegorz Rzeczkowski, Tomasz Piątek i o których mówił w wywiadzie z panią gen. Piotr Pytel.

Ile było hejtu, także ze strony demokratycznej.

– Gen. Pytel jest jednym z najwybitniejszych specjalistów, jeśli chodzi o instrumenty, jakimi posługują się rosyjskie służby specjalne. Kiedy byłem jego przełożonym, moja wiedza w 95 proc. pochodziła z jego doświadczenia i pracy zespołu, którym kierował jako dyrektor zarządu operacyjnego. Z tezami Piotra nie polemizuję. A w publikacjach Rzeczkowskiego i Piątka, moim zdaniem, nie ma nadinterpretacji.

No i wygrywają procesy.

– To wszystko układa się w logiczną całość. Tyle tylko, że nie zawsze udaje się udowodnić komuś działalność na rzecz obcego wywiadu, bo jak wykazać np. wpływ na czyjąś decyzję? Polska nie ma teraz profesjonalnych i apolitycznych służb. Dwaj dziennikarze zrobili robotę za kontrwywiad. Przedstawili druzgocące materiały, więc osoby, których dotyczą wątpliwości, powinny być odizolowane od podejmowania decyzji politycznych.

Dla mnie jest drugorzędne, czy Macierewicz, czy otoczenie Morawieckiego, Kaczyńskiego to agenci wpływu – logika wskazuje, że tak może być. Ale o wiele gorsze jest to, że PiS działa jak partia Putina, Jedna Rosja. Te same mechanizmy, wyobrażenia o zarządzaniu państwem i w dużej mierze te same interesy. Jakby PiS kupiło rosyjski format i ubrało go w polskie realia.

U Putina jest partia Jedna Rosja, u Kaczyńskiego hasło „Polska Jest Jedna”?

– A między nimi wspólnota idei. Kilka lat temu rosyjski publicysta Aleksiej Czadajew na konferencji o „dobrej zmianie” w Fundacji Batorego powiedział, że „Rosja i Polska zachowują się jak bracia, którzy idą obok

siebie ścieżką dokładnie w tym samym kierunku, spoglądają na siebie i udają, że się nie znają”. Tezę o podobieństwie PiS i Jednej Rosji postawiłem na pożegnaniu ministra Bogdana Klichy w 2011 r. Powiedziałem wtedy, że PiS jest partią narodowosocjalistyczną. W odpowiedzi usłyszałem: jeśli ktoś nie ma argumentów, to się odwołuje do Hitlera.

To wcale nie musi być nawiązanie do III Rzeszy. Jako historyk daleki jestem od prostych porównań historycznych. Nazizm to nie tylko Hitler. Na własne oczy widzimy rosyjski narodowy socjalizm. A już w maju 2015 r. „Niezawisimaja Gazeta” napisała, że Kaczyński i rosyjscy liderzy mogliby się porozumieć, gdyby porozmawiali od serca.

PiS jest prześlągnięty agenturą rosyjską – ale dopiero profesjonalne służby będą mogły to zweryfikować

Na przykład przez pośredników, jak w 2016 r. Kaczyński z Daną Rohrabacherem, człowiekiem Putina w Kongresie USA.

– Antoni Macierewicz sprowadzał tu tych lobbyistów interesów rosyjskich z Institute of World Politics w Waszyngtonie. Prorosyjskie działania PiS nie oznaczają, że Jarosław Kaczyński chce sojuszu z Putinem. Wprawdzie już na początku lat 90. spotykał się z rosyjskim agentem Anatolijem Łasinem, a Porozumienie Centrum korzystało ze środków, które przechodziły przez Bank Przemysłowo-Handlowy powiązany z pieniędzmi moskiewskimi, ale żaden autokrata nie chce być dominowany przez innego. Jednak modele władz w Moskwie i Warszawie są takie same.

W jakim sensie?

– To wizja państwa autorytarne, gdzie scentralizowana władza tępi samorządy, aktywność społeczną, swobodne myślenie, gdzie prawo służy partii, a nie obywatelowi. Czy mamy jeszcze prawdziwy parlament? Ekspresowe uchwalanie ustaw, odbieranie posłom głosu, reasumpcje, jeśli przechodzi projekt opozycji. W Rosji rola Dumy też jest zmarginalizowana.

Dalej: notoryczne wskazywanie wroga, walka z mniejszościami seksualnymi i narodowymi. Kaczyński, jak Putin, przedstawia się jako obrońca wiary, religii i moralności społecznej. Chrześcijańska wiara kontra zachodni nihilizm to model carski. Kaczyński „walczy z nihilizmem”, a Putin, jak przekonywały pisowskie gazety, reprezentuje „zdrowy konserwatyzm”. Tu mamy sojusz PiS z Kościołem, tam Jednej Rosji z Cerkwią.

Likwidacja niezależnego sądownictwa i mediów. Przejęcie telewizji publicznej, która staje się partyjnym instrumentem walki propagandowej.

Pozasądowe pozbawianie praw publicznych, jak w Rosji. Może ustawy o tzw. komisji weryfikacyjnej prezydent nie podpisze, jeśli upatruje swoją przyszłość na Zachodzie, lecz ufać mu nie można. Jeśli komisja powstanie, 17 września ogłosi, że Donald Tusk jest pozbawiony biernego prawa wyborczego.

Wreszcie: zależności między biznesem a polityką. Kim jest pan Obajtek? Człowiekiem, którego zadaniem jest finansowanie PiS.

Ale czy to człowiek? Lokalny gangster Maciej C. nazywał go „Bocianem”.

– Kaczyński usynowił Obajtka. Orlen służy do realizacji celów PiS, pozabudżetowego finansowania pisowskich mediów i imprez politycznych. Kupił koncert medialny, który działa na rzecz PiS. Znany z Rosji mechanizm tworzenia oligarchii.

Z rzeczy małych: w 2018 r. Duma zezwoliła Rosjanom zbierać chrust z lasu. Kłamstwo o jedzeniu robaków też przyszło z Rosji.

– Kalki rosyjskie widać w Polsce już wszędzie: rewizja historii, w tym wystąpienia antyizraelskie, przed wojną antyukraińskie. Żądanie odszkodowania ze strony Niemiec, nic od Rosji. Instrumentalne nadużywanie słowa „narodowe” – w Rosji też wszystko jest „narodnyje”.

Ktoś te rosyjskie kalki przenosi do nas.

– Agentura wpływu. Kaczyński czy Ziobro sami tego nie wymyślają. Ktoś od nich wpuszcza szczura i badają – a w badania mocno inwestują – jak zachowuje się społeczeństwo. Ktoś podrzuca w gazecie czy na Twitterze temat jedzenia robaków i patrzymy, czy to chwyta.

PAŃSTWO POLSKIE GOLUTKIE

Te szczury wpuszczają agenci wpływu?

– Tak. Nie muszą być agentami wysokiego szczebla. To mogą być komentatorzy, eksperci, youtuberzy itd. Czasem taki człowiek nie musi być zadaniowany wprost, tylko wrzuca coś zbieżnego ze swoim poglądem, a za nim ruszają rosyjskie trolle, podsycają wątek, aż nabierze szerszego zasięgu i trafi do mainstreamu. Nie mam tu na myśli agentów, którzy skopiują dokument czy zrobią zdjęcie transportu wojskowego. Tacy ludzie się zdarzają, robią to za pieniądze albo dla adrenaliny. Agenci wpływu pracują na o wiele wyższym poziomie metodologicznym.

I na szczytach?

– Niekoniecznie. Gdybyśmy mieli prawdziwe służby specjalne, tobyśmy wiedzieli, ale ich już nie ma. Zgadza się z gen. Pytlem: Rosja już tu jest. Powiedziałbym nawet, że nigdy stąd nie wyszła. Największym jej

sukcesem jest PiS. Kontrwywiad polega na wyprzedzaniu czasu, znajdowaniu związków przyczynowo-skutkowych, stawianiu hipotez i umiejętności czekania. Gen. Pytel te hipotezy postawił. Gdybyśmy teraz mieli profesjonalny kontrwywiad, toby nad hipotezami Piotra nie przeszedł do porządku dziennego. Nie po to, żeby się interesować gen. Pytlem, tylko wątpliwościami, które wskazał.

Z przerażeniem patrzę, jak deprecjonuje się dorobek polskich służb specjalnych ostatniego 30-lecia. Po czasach komunistycznych budowaliśmy ich autorytet w społeczeństwie i we wspólnocie służb wywiadowczych świata zachodniego. Nie bez problemów. Największe z nich to sprawa Oli-na, rozwiązanie UOP i pozbycie się kilkuset funkcjonariuszy, którzy notabene wrócili na mocy wyroków, rozwiązanie WSI i opublikowanie raportu z weryfikacji WSI. Te trzy rzeczy ten autorytet osłabiły, a były skutkiem działań polityków wobec służb.

Niestety nie ma już ministra Krzysztofa Kozłowskiego, który potrafił zbudować służby na nowo, nie ma premiera Tadeusza Mazowieckiego, który mu zaufał. Ale nowy rząd, o ile powstanie z formacji dzisiejszej opozycji, będzie musiał zdecydować, czy te służby tylko zmodernizować, czy gruntownie przebudować.

To nie jest jasne, że przebudować?

– Będzie wielkie larum: wojna u bram, a wy zmieniacie służby. Ale na reformę służb nigdy nie ma dobrego czasu. Przed podobnym dylematem stanął rząd w 2008 r. To, co zastaliśmy po Macierewiczu, do niczego się nie nadawało. Pamiętam rozmowę z ministrem Jackiem Cichockim: czy zaorać i budować od nowa służby wojskowe, czy oprzeć się na tym, co zastaliśmy. Zwyciężyła teza, że służby mają dość wstrząsów, trzeba im spokoju. Dzisiaj czasy są trudniejsze, ale tych ośmiem lat PiS zmieniło wszystko, reorganizacja jest konieczna.

Nie ma potrzeby utrzymywania tylu służb specjalnych. Dwie wystarczą: jedna do ochrony sił zbrojnych, druga do ochrony instytucji państwowych. Byłby to powrót do sprawdzonego i transparentnego modelu z początku wolnej Polski. UOP powstał w 1990 r. jako służba kontrwywiadowczo-wywiadowcza, ale stopniowo przejmował kolejne zadania: zwalczanie narkotyków – sam pracowałem na tym odcinku jako początkujący funkcjonariusz, potem doszła walka z korupcją – w ramach Zarządu Ochrony Interesów Ekonomicznych Państwa UOP, którego byłem dyrektorem.

I na podstawie tych doświadczeń mówię: należy zostawić służbom sprawy bezpieczeństwa, nie mogą się zajmować wszystkim, narkotykami i korupcją niech się zajmują policja i służby fiskalne. Centralne Biuro Antykorupcyjne powinno być włączone do policji, a funkcjonariusze CBA niech przejdą testy zdolności do służby. Nowy rząd powinien też zmniejszyć liczbę służb uprawnionych do czynności operacyjnych. Dzisiaj pracę operacyjną regulują instrukcje wewnętrzne, często niejawne, przepisy są rozproszone. Gen. Krzysztof Bondaryk ze swoim zespołem przygotował kodeks pracy operacyjnej w formie jednolitego aktu prawnego, który obowiązywałby wszystkie uprawnione służby.

Przygotowujecie – ludzie służb, którzy odeszli albo zostali wyrzuceni – reformę na przyszłość?

– Od przeprowadzania reform są politycy, ale najpierw muszą wygrać wybory. My, byli szefowie służb bądź funkcjonariusze z uni-kalnym doświadczeniem, staramy się im doradzać. Prace trwają w kilku zespołach.

Krytycznie oceniam to, co robi PiS, ale zachowuję dystans do polityki. Pracowałem dla trzech rządów: AWS i UW, SLD z PSL i PO z PSL.

Czyli jest jakaś próba kontroli obcych wpływów?

– Nie, bo nie mamy narzędzi, jesteśmy poza systemem państwowym, nawet komisja ds. służb specjalnych nie ma faktycznej

kontroli nad służbami – tu też proponujemy zmiany. Teoretycznie system kontroli służb jest w Polsce rozbudowany: od sądów powszechnych przez prokuraturę, NIK i parlament po Sąd Najwyższy. Modelowo jeden z lepszych w Europie. Tylko że nie działa, bo PiS większość instytucji upartyjniło. I ten system ma jedną wadę: jeżeli szef służby nie chce czegoś ujawnić instytucji kontrolnej, to ma na to sposoby. To trzeba zmienić.

Postulujemy powołanie stałej komisji sejmowej ds. służb specjalnych i pracy operacyjnej, ze stałym aparatem urzędniczym – na wzór amerykański, takiej jak senacka komisja ds. wywiadu. Posłowie pracowaliby tam non stop, mieliby biuro, urzędników i uprawnienia procesowe. Szef służby wzywany na posiedzenia komisji miałby obowiązek mówić całą prawdę pod odpowiedzialnością karną. Członkowie komisji mieliby wgląd we wszystkie materiały operacyjne służb. Ba, byłiby adresatem wszelkich skarg obywateli na działanie służb i mieliby określony tryb rozpoznawania skarg, udzielania odpowiedzi w trybie administracyjnym itd. Członkowie komisji powinni mieć zakaz pracy w innych komisjach, żeby się nie rozpraszali. Jeśli przewodniczącym komisji będzie członek koalicji rządowej, to zastępca musi być z opozycji, i odwrotnie.

Nazwa „Urząd Ochrony Państwa” dobrze oddawała sens tego, do czego powołane są służby specjalne – do ochrony państwa, a nie jednej partii. Niemcy mają Urząd Ochrony Konstytucji – też dobry punkt odniesienia po latach rządów PiS. Dzisiaj mamy służby upartyjniłone, a ich fatalny poziom obnażyła chociażby sprawa Hiszpanów, którzy „łowili

Czy przy powstawaniu PC nie pojawiły się rosyjskie służby specjalne? Czy tylko z ciekawości Kaczyński prowadził rozmowy z oficerem KGB Łasinem?

bursztyn” w styczniu, w strategicznym miejscu Bałtyku, po czym rozplynęli się we mgle razem z bursztynem, jeśli jakiś mieli. Na wybrzeżu portu w Gdyni państwo polskie stało nagie, golutkie.

Co prawda słyszemy ostatnio o zatrzymaniach różnego rodzaju szpiegów...

To chyba plotki?

– Oprócz jednego urzędnika z Warszawy – Tomasza L. z urzędu stanu cywilnego, w 2006 r. członka komisji ds. likwidacji WSI – to wszystko są cudzoziemcy. A że cudzoziemcy współpracują ze swoim wywiadem, rzecz naturalna. Znalezienie takiego cudzoziemca nie jest szczytem pracy operacyjnej. Lepiej go przewerbować, żeby pracował dla nas.

Część tych zatrzymań jest może uzasadniona. Ich natężenie wynika ze wzmożonej aktywności z uwagi na wojnę. Wzbudza nie wrażliwości na zagrożenie wywiadowcze to akurat pozytywny aspekt. Bo Polacy nie są zbyt świadomi tego typu zagrożeń. Prowadziliśmy szkolenia dla różnych środowisk, ale zainteresowanie średnie – bo to niby są bajki z mchu i paproci, nas to nie dotyczy. Ale dotyczy, szpiegdy są wśród nas. To często osoby nierzucające się w oczy. Doradcy, sekretarze, ludzie, którzy noszą za kimś teczkę, niby nie mają na nic wpływu, ale mogą coś szepnąć do ucha.

Obecne służby łapią plotki, żeby pokazać jakąkolwiek efektywność. Natomiast istotą rzeczy nie jest to, czy ktoś obserwuje, jak w 1939 r., transporty wojskowe, które i tak widać z kamer czy satelity. Pierwszorzędne jest wykrywanie agentów, którzy kreują politykę państwa. Dzisiaj widzimy dobitnie, że PiS realizuje politykę zbieżną z interesem Rosji, ale to nie docierało i dalej nie dociera do opinii publicznej.

Pewien profesor socjologii powiedział w TVN 24, żeby PiS nie oskarżać o wpływy rosyjskie, bo to partia patriotów.

– Komuniści też mieli swoich księży patriotów. Możemy podejrzewać, że PiS jest prześlągnięte agenturą rosyjską – ale dopiero profesjonalne i apolityczne służby będą mogły to zweryfikować.

POLITYCY NIE BĘDĄ ŚWIĘTYMI KROWAMI

Dlaczego tego nie sprawdziliście już kilkanaście lat temu, za rządów PO-PSL?

– Muszę uczciwie powiedzieć i chciałbym, żeby w tym wywiadzie to wybrzmiało: nigdy w wolnej Polsce nie było dobrego klimatu dla kontrwywiadu, żeby rozpracowywać agenturę wpływu w strukturach politycznych. A jeśli Rosjanie mają swoją agenturę, to właśnie tam. I to lokowaną perspektywicznie. Może to ludzie pozyskani w latach 70., 80., przez lata nic nie robili dla Rosjan, ale portfolio rosło – i pyk w danym momencie.

W „Archiwum Mitrochina” [zbiór tajnych dokumentów KGB, skopiowanych przez byłego oficera KGB Wasilija Mitrochina i udostępnionych w 1992 r. brytyjskiemu wywiadowi] jest opisana operacja „Progres”, jedna z najściślej chronionych operacji KGB w Europie. Polegała na typowaniu i pozyskiwaniu do współpracy osób z ówczesnych państw bloku wschodniego, które wtedy nie odgrywały żadnej roli, ale rokowały na przyszłość. Czy operacja „Progres” dotyczy też Polski?

Skąd ta niemoc polskich służb, że nie mogły tego sprawdzać?

– Geneza leży w sprawie Oli-na w 1995 r., kiedy z trybuny sejmowej zarzucono premierowi szpiegostwo. Dla kontrwywiadu to by-

ło jak wybuch bomby, utrata wiarygodności. I miało konsekwencje na przyszłość. Gdybym jako szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego w latach 2008-13 poszedł do premiera Donalda Tuska i powiedział, że z analizy służby wynika, że powinniśmy zainteresować się niektórymi działaczami PiS, SP czy innej partii opozycyjnej, bo podejrzewamy ich o działalność prorosyjską, to co najmniej bym go wkurzył, a pewnie utraciłbym jego zaufanie. Rozumie pani? Myślę, że ostatnie lata zmieniły sytuację, dla nowych służb politycy nie będą już świętymi krowami.

Ustawa o ochronie informacji niejawnych dopuszcza z urzędu parlamentarzystów do tajemnic do poziomu „tajne”. Ale czy służby specjalne nie powinny mieć prawa do cofnięcia takiego poświadczenia na skutek postępowania kontrolnego? Kiedy w 2010 r. pracowaliśmy nad ustawą o ochronie informacji niejawnych, legaliści powiedzieli: nie, to byłoby ograniczenie wykonywania mandatu posła i zaprzeczenie demokratycznych wyborów, bo społeczeństwo ich wybrało. To nic, że idiota, to nic, że szpiega rosyjskiego. Błąd.

U Dworczyka informacje tajne latają w prywatnych mailach, a on wciąż pracuje w kancelarii premiera.

– A być go tam nie powinno. Powinien być przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego poddany postępowaniu kontrolnemu, którego konsekwencją byłoby co najmniej odebranie poświadczeń.

Czy jak był pan szefem SKW, to mieliście przesłanki, żeby się kimś zająć, i nie mogliście?

– Antonim Macierewiczem. Co prawda nie dostał poświadczenia do informacji ściśle tajnych, więc nie został członkiem komisji ds. służb, ale jako poseł miał dostęp do informacji tajnych i z nich korzystał. Dzisiaj widzimy, że powinien pozostawać w zainteresowaniu służb.

A staraliście się o to?

– Tak. W 2008 r. prowadziłem wobec Macierewicza wszczęte przez mojego poprzednika plk. Grzegorza Reszkę postępowanie sprawdzające i zakończyłem je cofnięciem mu poświadczenia upoważniającego do dostępu do informacji ściśle tajnych, a także do certyfikatów bezpieczeństwa NATO i UE. Wynikało to m.in. z jego postępowania z dokumentami niejawnymi Wojskowych Służb Informacyjnych, tj. wywiezienia ich do Biura Bezpieczeństwa Narodowego, niezwrócenia w całości tych dokumentów, nielegalnego skopiowania bazy ewidencyjnej i szeregu czynności na przełomie 2006 i 2007 r. w MON. No i dlaczego on kazał przetłumaczyć na rosyjski w całości raport o WSI już nieżyjącej Irinie Obuchowej?

Premier Tusk to zatrzymał?

– Nie. Prawnicy w kancelarii premiera doszli do wniosku, że SKW była niewłaściwą służbą do postępowania wobec Macierewicza, ponieważ był już wtedy posłem i nie figurował w katalogu osób, wobec których nasza służba ma prawo prowadzić działania. Stałem na stanowisku, że skoro te czynnością czasu, kiedy był szefem SKW i wiceministrem MON, to mogą przed sądem wykazać, że SKW jest właściwa. Zwyciężyła teoria, że to ABW powinna prowadzić postępowanie. I ABW je umorzyła, bo upłynął czas dostępu Macierewicza do informacji ściśle tajnych, a poświadczenie wydaje się na pięć lat.

A taki Bartosz Kownacki nie wzbudzał waszego niepokoju? W 2017 r. „Frankfurter Allgemeine Zeitung” podał, że w 2012 r. pojechał on na wybory prezydenckie w Rosji jako obserwator z ramienia prorosyjskiego think tanku Europejskie Centrum Analiz Geopolitycznych i stwierdził, że wybory były OK. Wyjazd zorganizował oskarżony o szpiegostwo dla Rosji Mateusz Piskorski. Kownacki, jak pisał „FAZ”, należał do „prorosyjskich struktur transeuropejskiej prawicy”.

– Człowiek Macierewicza. Pracował u niego w SKW za pierwszych rządów PiS, był w komisji weryfikacyjnej ds. WSI i po 2015 r. był jego wiceministrem w MON. Ale kiedy ja byłem szefem SKW, on był posłem – a poseł jest u nas nietykalny. Poza tym zgodnie z wolą ustawodawcy osoba, która nie jest pracownikiem szeroko rozumianego MON albo żołnierzem zawodowym, nie podlega jurysdykcji SKW.

A inni politycy, których nie mogliście sprawdzać?

– Tak, wiele osób związanych z szeroko rozumianymi formacjami prawicowymi wzbudzało nasz niepokój. Nie wymienię nazwisk. O Macierewiczu mówię, ponieważ kontrowersje wokół niego stały się przedmiotem dyskusji publicznej. Myślę, że najgorsze przed nami. Kształtowanie polskiej polityki na model władzy w Rosji nie osiągnęło apogeum.

Za pierwszych rządów PiS spierałem się z posłem Zbigniewem Wassermannem. Zналиśmy się z Krakowa, byłem u niego w domu, poznałem rodzinę, szanowaliśmy się mimo radykalnie różnych poglądów na temat tego, jak służby powinny wyglądać, choć podobnie diagnozowaliśmy zagrożenia. Nasz spór przybrał na sile, kiedy zostałem szefem służby w rządzie Tuska, a on był członkiem komisji ds. służb. I nigdy nie przypuszczałem, że gdy go braknie, a jego miejsce w komisji ds. służb zajmie Marek Opiola, to będę płakał po Wassermannie. A tak było. Potem miejsce Opioli zajął inny poseł, i żałowałem Opioli. Zmierzam do tego, że może jeszcze będziemy płakać po PiS.

Panie generale, uważajmy z tym płaczem po PiS, już widzę nagłówki w pisowskich mediach.

– Jest ryzyko, że ich miejsce zajmie Suwerenna Polska z Konfederacją, partie właściwie jawnie prorosyjskie, antyeuropejskie, młode. Ludzie bez zahamowań. Środowiska prorosyjskie nie powiedziały ostatniego słowa, i martwi mnie, że ludzie tego nie widzą.

Co jeszcze musi się stać, żeby Polacy to zobaczyli?

Nasze państwo nie wytworzyło mechanizmów obronnych przed rozwojem partii o skrajnych niedemokratycznych poglądach, takich jak Konfederacja, SP czy PiS. One istnieją w każdym kraju, ale są marginalizowane, u nas przeciwnie. Ja to nawet rozumiałem: jesteśmy tak poobijani historycznie przez carską ochronę, niemieckie gestapo, UB, że kiedy dostaliśmy wolność, to sami ograniczaliśmy uprawnienia służb.

Ruscy siedzą nawet w komputerach ludzi z rządu, z kręgu Morawieckiego, Dworczyka, i nikt z tym nic nie robi.

– To jedyna rzecz, w przypadku której z gen. Pytlem się nie zgadzam. Maile Dworczyka to, uważam, walka PiS z SP, przykryta narracją rosyjską, bo tak im wygodnie. Dworczyk i rząd mogą mówić, że nie odnoszą się do tego, bo to operacja rosyjska, a od SP to odsuwa podejrzenia. Moim zdaniem dostęp do maili Dworczyka mają ludzie Ziobry.

Że to operacja GRU prowadzona z pomocą Białorusinów, twierdzi nie tylko gen. Pytel. Wynika to też ze śledztwa dziennikarskiego Anny Mierzyńskiej z OKO.press i tak mówią raporty amerykańskich firm od cyberbezpieczeństwa Mandiant i Recorded Future.
– Słucham ich z uwagą, ale mam inne zdanie: to sprawa Polaków, przez Rosję modyfikowana i wykorzystywana. Jedno drugiego nie wyklucza. Tak czy owak od dwóch lat Rosjanie mają dostęp do maili polskiego rządu.

Ten rząd nie chce np. zamrozić majątków rosyjskich oligarchów w Polsce. Mówi, że musiałby zmieniać konstytucję.
– Nie sądzę, żeby był zainteresowany mrożeniem majątków np. Władysława Kantora, który ma ok. 20 proc. udziałów w Grupie Azoty, choćby dlatego, że Azoty są głównym dostarczycielem nawozów dla rolnictwa. Reperkusje na tym rynku mogłyby być nie do udźwignięcia.

Rosyjskie wpływy są w Polsce od XVII w., a my jesteśmy społeczeństwem poharatowanym, nie do końca rozpoznającym, co Polsce służy, a co nie. W Izraelu ludzie wychodzą w obronie sądów, a nasze społeczeństwo zapala się i gaśnie. PiS uważa, że nie ma się co przejmować manifestacjami, bo to minie, niech się wykrzyczą. Do niedawna bohaterem był u nas ten, kto potrafił oszukać państwo polskie. Po latach zniewolenia, w czasie pierwszych demokratycznych wyborów prezydenckich, o mały włos z Wałęsą nie wygrał tajemniczy facet z czarną teczką, który pokonał Mazowieckiego. No, ale to było 30 lat temu, teraz ja sam czuję się odpowiedzialny za nasz kraj i zastanawiam się, dlaczego PiS ciągle ma tyle poparcia, skoro działa wbrew interesowi Polaków.

ADAM GLAPIŃSKI I KONCESJE NA PALIWA

Panie generale, nie daliście rady?
– Popelniliśmy jako pokolenie błędy w edukacji politycznej. Instytucje państwa nie były w stanie przeciwdziałać nadmiernemu rozrostowi środowisk narodowosocjalistycznych.

Tyle już było doniesień światowej prasy, że różne organizacje były i są opłacane przez Rosjan, finansowane są grupy antyukraińskie, przekupywani są europosłowie...
– U nas też, nie bądźmy naiwni. Co robili pan Szustkowski, pan Kotas, kiedy powstało Porozumienie Centrum?

Pan wie?
– Nie, ale powinienem wiedzieć. Służby powinny. Gdybyśmy wiedzieli, łatwiej byłoby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego prezes Glapiński w 2009 r. wymienił swój dom w Wilanowie na dom z firmą Roberta Szustkowskiego ERA. Dlaczego nasze instytucje nie wiedzą, skąd potęga finansowa niektórych formacji politycznych w Polsce?

Przypomnę, co pisał Grzegorz Rzeczkowski: Szustkowski był w latach 90. przedstawicielem Montażspecbanku, kontrolowanego przez rosyjską mafię solncewską. Prezesem jego spółki ERA, należącej do Grupy Radius, był Jacek Kotas.
– Wiceminister obrony w rządzie Kaczyńskiego.

Obaj wiązani ze służbami rosyjskimi i z podsłuchami m.in. w restauracji Sowa i Przyjaciele. To Szustkowski miał polecić Rosjanom Marka Falentę do organizacji podsłuchów.
– Właśnie. A panowie Szustkowski i Kotas od samego początku Porozumienia Centrum byli w orbicie osób tworzących tę formację i pojawiają się przy PiS do dzisiaj. Państwo polskie powinno mieć wiedzę na temat tych ludzi, ale nie ma. Tutaj nie daliśmy rady.

Dlaczego nie sprawdziliście Szustkowskiego ani Kotasą?
– Kotas za pierwszych rządów PiS był wiceministrem i dostał od Macierewicza poświadczenia do informacji ściśle tajnych, potem na parę lat zniknął z orbity. O Szustkowskim mówić nie mogę. Szalenie ciekawa postać.

Glapiński?
– Jeden ze współtwórców PC, człowiek ds. gospodarki, kasy i koncesji paliwowych. Tyle się teraz mówi o dywersyfikacji dostaw paliw do Polski, ale za wprowadzenie pierwszych koncesji na handel paliwami odpowiadał przecież Adam Glapiński, mini-

Kaczyński, jak Putin, liczył, że zdobycie Ukrainy potrwa parę dni.
Wywiad Karnowskich z ambasadorem Rosji był obliczony na jej klęskę

ster współpracy gospodarczej z zagranicą w rządzie Jana Olszewskiego. Do czasu rządu AWS, który pierwszy rozpoczął dywersyfikację dostaw i rozmowy z Norwegami, 99 proc. rynku paliw przejęły firmy pośredniczące w handlu z Rosją.

Tam też widzi pan źródła powiązań PiS z Rosjanami?
– Dostawy paliw realizuje się na podstawie albo umów długoterminowych, na ogół korzystniejszych cenowo, albo umów spotowych – na dostarczanie paliw ad hoc w reakcji na wzrost zapotrzebowania. Na początku lat 90. umowy spotowe były opanowane przez różne spółki powiązane z kapitałem rosyjskim.
Przykładem spółka J&S Energy, która od pierwszej połowy lat 90. dostarczała paliwo do rafinerii plockiej, czyli późniejszego Orle-nu. Założyło J&S Energy dwóch ukraińskich muzyków operujących na przełomie lat 80. i 90. w Berlinie Zachodnim, spółka była zarejestrowana na Cyprze, w raju podatkowym opanowanym przez służby rosyjskie. Koncesje przyznawane na początku lat 90., za które odpowiadał Glapiński, miały konsekwencje jeszcze 20 lat później.

A Jacek Kotas, zwany „rosyjskim łącznikiem”, na co zezwolił sąd w niedawnym procesie Tomasza Piątka? To człowiek Macierewicza, założył Narodowe Centrum Studiów Strategicznych, gdzie powstała np. koncepcja Wojsk Obrony Terytorialnej. Pana zdaniem działa na rzecz Rosji?
– Wiele takich tropów wskazał dziennikarze, ale powinny to potwierdzić służby, których Polska teraz właściwie nie ma.

W NCSS za WOT odpowiedzialny był m.in. płk Krzysztof Gaj – antyukraiński, popierający aneksję Krymu, wymieniał się z Dworczykiem niejawnymi informacjami na temat polskiej armii.

– Kolega Kotas, Tomasz Szatkowski, obecnie polski stały przedstawiciel przy NATO, też jest ze środowiska NCSS – think tanku obronnościowego PiS, był prezesem Fundacji NCSS, zanim został zastępcą Macierewicza w MON. Aż trafił do Brukseli.

Człowiek Macierewicza i Kotasą jest teraz w NATO? NATO nie sprawdza takich ludzi?
– Nie. Kraj deleguje swojego ambasadora na zasadzie zaufania między rządami. NATO nie ma instrumentów, żeby go sprawdzać. Ale w tym środowisku każde nazwisko rodzi wątpliwość. Tych powiązań jest za dużo.
Będąc poza służbami, nie mam narzędzi do oceny wszystkich działań bieżących. Ale jako historyk widzę, że to, co było trudno dostrzec, kiedy się działo, z dystansu nabiera znaczenia. Czy przy powstawaniu PC nie pojawiły się rosyjskie służby specjalne? Czy tylko z ciekawości Jarosław Kaczyński prowadził rozmowy z oficerem KGB Łasinem, znany-m w Europie z działalności agenturalnej? Bo dzisiaj wiele wskazuje na to, że Rosja realnie wpływa na naszą rzeczywistość.

ROZWIBROWANIE – WAŻNE SŁOWO

Oczywiście wojna w Ukrainie zmieniła także politykę PiS. Nie dlatego, że oni się zmienili, tylko ktoś tam sobie uświadomił, że społeczeństwo nie zaakceptuje innej polityki niż antyrosyjska i proukraińska. Do tego doszła niespodziewana jedność świata zachodniego. Ale do wybuchu wojny cała polityka PiS była zbieżna z interesem rosyj-

Kaczyński, jak Putin, liczył, że zdobycie Ukrainy potrwa parę dni.
Wywiad Karnowskich z ambasadorem Rosji był obliczony na jej klęskę

skim. Liczyli na Trumpa, nie składali gratulacji Bidenowi. Pisowscy stratedzy usiłowali zbudować alternatywną Europę wraz ze środowiskami krytycznymi wobec UE, powiązanymi z Putinem: Orbán, Marine Le Pen, Salvini i paru innych. Żeby osłabiać struktury europejskie, podsycać nastroje antyeuropejskie i oblewać to sosem bogojczyźnianym.
W kwietniu 2021 r. Morawiecki spotyka się z Orbánem i Salvinim: mówimy „nie” imperium europejskiemu kierowanemu z Brukseli. Lipiec 2021 r.: deklaracja liderów partii populistycznych i skrajnie prawicowych o sprzeciwie wobec Unii narzucającej ideologiczny monopol, chodziło o stosunek do LGBT, mniejszości narodowych, uchodźców itd. Listopad 2021 r.: Morawiecki, Salvini i Orbán zapowiadają stworzenie grupy antyeuropejskiej. Grudzień 2021 r.: wizyta Le Pen w Warszawie, traktowanej niemal jak zwyciężczyń wyborów prezydenckich we Francji. Grudzień 2021 r. to też „lex TVN”, czyli uderzenie w USA, mimo że PiS już dostało ostrzeżenie ze strony CIA o nadchodzącej napaści Rosji na Ukrainę.

Wigilia 2021 r.: Kaczyński ogłasza, że powstanie mur na granicy polsko-ukraińskiej.
– Wreszcie styczeń 2022 r.: szczyt w Madrycie, Le Pen, Salvini, Orbán i Morawiecki chcą „obronić Europę”. PiS było przekonane, że porządek europejski się wywróci. Kaczyński, jak Putin, liczył, że zdobycie Ukrainy potrwa parę dni. Wywiad braci Karnowskich z ambasadorem Rosji tuż po najeździe Putina na Ukrainę był obliczony na jej klęskę. Miał się ukazać, kiedy szala wojny przechyliła się na rzecz Rosji, może Kijów jest już zajęty. Cała polityka PiS była przygotowywana na budowanie nowego świata: układamy relacje z Rosją na nowo, trzeba zatem było dać forum rosyjskiemu ambasadorowi, żeby wedle narracji Kremla wytłumaczył, co się stało. Kaczyński prawdo-

podobnie nie wierzył, że Ukraina zdoła się obronić ani że społeczeństwo polskie, po trudnych relacjach historycznych z Ukrainą, tak się otworzy na uchodźców ukraińskich.

Jeszcze niedawno PiS podsycalo nastroje antyukraińskie.
– Choćby poprzez ustawę nowelizującą IPN w 2018 r. Wywołali aferę z Izraelem i środowiskami żydowskimi w USA, na siłę chcieli nas poróżnić z Ukrainą. Karać za zaprzeczanie zbrodniom „ukraińskich nacjonalistów” w latach 1925-50. Ale w tym zakresie dat mieszczą się nie tylko mordy na Wołyniu, ale i akcja „Wisła”, o której opowiada np. ostatnia książka Grzegorza Motyki, mojego wybitnego kolegi ze studiów.

Historię trzeba oceniać według czasu, kiedy się działo. Jak można oczekiwać od Ukrainy, aby wyrzekła się Bandery dzisiaj, gdy jest atakowana przez Rosję, a Bandera urasta do rangi symbolu ukraińskiego patriotyzmu, bo walczył o niepodległą Ukrainę. To tak, jakbyśmy my mieli się wyrzec Piłsudskiego, bo po buncie Żeligowskiego zajął Wilno, i Litwini mogą mieć uzasadnione pretensje. Więc nie oczekujemy dzisiaj od Ukraińców, że publicznie potępią Bandere, dajmy im samym rozliczyć się z własną historią. Niech najpierw zbudują państwo, które będzie również gwarantem bezpieczeństwa Polski. Niestety, ta wojna będzie trwała długo.

Dopóki będzie Rosja?
– Rosja będzie wieczna. Ani Stany, ani Zachód nie chcą jej rozpadu, bo mocarstwo nuklearne pogrążone w chaosie to ryzyko dla świata. Dzisiaj Rosja jest państwem zbrodniczym, a chodzi o to, żeby się zdemokratyzowała. Niestety, wojna może trwać dziesięciolecia, jak konflikty bliskowschodni albo koreańskie. Zmienić sytuację może śmierć Putina. Ale czy Rosjanie wybiorą demokratę? Wojna rozstrzyga się albo upadkiem państwa, albo w rokowaniach. Jeśli Putin nawet ograniczy działania, to odpowie przed trybunałami. Musi prowadzić wojnę do swojego końca.

Kaczyński chce tak zarządzać Polską jak Putin Rosją – może bez wojen o ziemię. Choć i ja podzielam pogląd ministra Radosława Sikorskiego, że PiS miało tu moment zawahania. Czy Kaczyński planował bycie neutralnym w konflikcie Rosji z Ukrainą, czy może z tyłu głowy miał reminiscencję polskiego Lwowa?

Chodzi o koncepcję wojsk pokojowych w Ukrainie, którą Kaczyński forsował, mimo że odrzucił ją Zelenski? Macierewicz wracał do tego pomysłu po wybuchu bomby w Przewodowie.
– Tę koncepcję można interpretować również tak, że dominującą rolę w tych wojskach odegrałyby wojska polskie stacjonujące we Lwowie. Ale ja nie chcę podważać dzisiejszego wsparcia Polski dla Ukrainy, intencji rządu, a przede wszystkim prezydenta.

Zgoda, ale dlaczego nic nie robią z ruchami antyukraińskimi, z neofaszystami?
– Są dla nich wygodne. Morawiecki ciągle wygłasza potępienie zgniłego Zachodu i budowę innej Europy. Słyszymy, że za sprawą ukraińskiego zboża kryją się firmy powiązane z działaczami PiS, które zarobiły na tym kolosalne pieniądze – ale to też uderzenie w Ukrainę. Być może oni tego projektu nie zarzucili, tylko odsunęli w czasie. Zostawiają sobie możliwości na przyszłość. Ich wcześniejsza polityka wpisująca się w interes Rosji to nie tylko budowanie proputinowskiej międzynarodówki, ale też dezintegracja państwa. Największym grzechem PiS jest zniszczenie wspólnoty, rozwibrowanie – to ważne słowo.

Słyszałam je już w kontekście wpływów rosyjskich od gen. Piotra Pytla.
– Do przestrzeni publicznej wprowadził je prof. Andrzej Zybertowicz, dzisiaj doradca prezydenta. Rozwibrowanie, czyli wprowadzenie stanu niepewności, konfliktowanie ludzi, rozedrganie tkanki społecznej.

Wiele osób szczerze demonstrowało pod krzyżem smoleńskim, w Marszu Niepodległości też idą osoby, które chcą manifestować patriotyzm – ale ich uczucia są instrumentalnie wykorzystywane. W filozofię roz-wibrowania wpisuje się również rozwiązanie WSI w 2006 r. przez Macierewicza, po-zostawienie masy żołnierzy z dnia na dzień z niepewnością, co jutro. A jak się zostawia swoich agentów samopas, to prędzej czy później Rosjanie przychodzą na żniwa.

Zybertowicz napisał w 1993 r. książeczkę „W uścisku tajnych służb”, wydaną na fali lu-stracji i rządu Jana Olszewskiego przez Mar-cina Dybowskiego ze środowiska dawnego „Głosu” Macierewicza. Mocno spiskowa. Ja-ko jeden z pierwszych stawiał zarzuty wo-bec Lecha Wałęsy i sugerował, że nasze służ-by są przeniknięte agenturą. Za pierwszego PiS był doradcą Jarosława Kaczyńskiego ds. bezpieczeństwa, potem Lecha Kaczyńskie-go, prowadził zajęcia w Centralnym Ośro-dku Szkolenia ABW w Emowie. Zybertowicz miał duży wpływ na kształt służb, a w latach 2005-07 doprowadził je do roz-wibrowania, aby, jak to przedstawiał, skonstruować no-wą jakość.

W czym to się w służbach przejawiało?

– Notoryczne odwoływanie ludzi ze stano-wisk, postępowania dyscyplinarne, przeno-szenie spraw z jednej delegatury do drugiej. Wprowadzenie chaosu i niszczenie więzi, a praca w służbach opiera się w dużej mie-rze na zaufaniu. To stara szkoła – metody ra-dzieckie, mające uczynić człowieka podat-niejszym na presję. Ludzie mają się bać, nie wiadomo kiedy można być wezwanym na przesłuchanie itp. Sianie niepewności, za-chwianie naszego poczucia bezpieczeństwa.

PiS zaczęło to robić Polakom po Smo-leńsku, celem było rozbicie naszej wspól-noty narodowej. Skuteczne. A po-zostawienie przy władzy formacji antyeuropejskich i w dodatku okradających Polskę jeszcze bardziej podważyło bezpieczeństwo państwa. Od najbliższych wyborów będzie zależało nie to, czy nam będzie lepiej – ale czy w ogó-le będziemy, w jakim kształcie. Trzeba to lu-dziom tłumaczyć, i to jeden z powodów, dla których zgodziłem się na rozmowę.

NASZE ZDJĘCIA W CZAPKACH Z „AURORY”

I znowu zacznie latać po mediach pana zdjęcie z gen. Pytlem w czapkach z „Aurory”.

– Mam lepsze, np. jak oddają armatni salut honorowy w Twierdzy Pietropawłowskiej, z rosyjskiej armaty z II wojny światowej. Pa-sek dla TVP: „Polski generał z rosyjskiej ar-maty strzela na Zachód”.

Oni wołają to w czapce. Kaczyński, dla przeciwwagi, ma zdjęcie w bejsbolówce Trumpa.

– Proszę mnie nie porównywać do Kaczyń-skiego.

Kaczyńskiego czapka gorsza?

– Oczywiście, bo można podejrzewać, że Trump pracuje dla Rosji. Natomiast „Auro-ra”, mniej więcej jak nasza „Błyskawica”, jest obiektem muzealnym. Odegrała w historii rolę propagandową, ale nie jest elementem współczesnej polityki.

Ale śmieszne zdjęcia to mem, idealna broń na te czasy ogłupiania.

– To sprowadzanie poważnej sprawy do ko-miksu, granie na prymitywnych skojarze-niach. „Aurora” jest stałym punktem progra-mu delegacji odwiedzających Petersburg. Drobne gadżety, książeczkę o „Aurorze” i czapki wręczył nam wiekowy przewodnik, który miał pamiętać „Aurorę” z dziecięcych lat. Do zdjęcia założyliśmy wszyscy te czap-ki w spontanicznym geście szacunku do pre-zentu.

No ale to delegacje FSB i SKW. Dlaczego tam byliście?

– Otóż po tragedii w Smoleńsku musieliśmy nawiązać kontakt z FSB. Wyznaczyłem do



• Gen. Janusz Nosek.
Bagdad, czerwiec 2008
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dlaczego nasze instytucje nie wiedzą, skąd potęga finansowa niektórych formacji politycznych w Polsce?

tego jednego z podwładnych, dyrektora in-spektoratu warszawskiego, płk. Marka Sze-lągowskiego. Kiedy komisja Edmunda Kli-cha zaczęła pracę w Moskwie, Szelągowski udzielał jej wsparcia, instruktażu. Naszym zadaniem było ustrzec ich przed pakowa-niem się w ryzykowne sytuacje. Kiedy mi-sja w Moskwie się zakończyła, podziękowa-łem Rosjanom, jak każdy człowiek wycho-wany kulturalnie, i zaprosiłem szefa kon-trwywiadu wojskowego FSB do złożenia wi-zyty w Polsce.

Czy ci funkcjonariusze rosyjscy też mają takie zdjęcia jak wy i mógłby się pan zre-wanżować?

– Gen. Aleksander Bezwierchny skakał przez ognisko w Zakopanem, dostał ciupagę, pas i kapelusz góralski, który założył na głowę. I są zdjęcia, musiałbym poszukać u sie-bie, ale co było w Vegas, zostaje w Vegas. Na-sze zdjęcia w czapkach z „Aurory” wyciekły nie od strony rosyjskiej, tylko polskiej. My-śmy dostali pakiet zdjęć z wizyty w Moskwie i Petersburgu, były dostępne na kompute-rach SKW.

Czyli wy ich nie ukrywaliście?

– Do głowy by nam nie przyszło.

Wiemy, kto te zdjęcia wyciągnął.

– Chyba taki poseł od piwa z komisji obro-ny narodowej...

Marek Jakubiak. Dał o tym wywiad portalowi Karnowskian. Miał fałszowa-ne podpisy pod swoją kandydaturą na prezydenta – wiadomo, że brały w tym udział osoby rosyjskojęzyczne. Jakubiak w 2018 r. pisał na Twitterze, żebyśmy nie wchodzili w wojnę ukraińsko-rosyjską, bo „to nie jest nasza wojna”.

– Już wtedy? No właśnie.

Rozmowy na temat nawiązania współpra-cy z FSB były koordynowane z NATO na wy-sokim szczeblu. Szefowie służb partnerskich byli o tym informowani, a szefowie państw bałtyckich zaproszeni do Warszawy na brie-fing. Podejmując dialog z Rosjanami, robi-liśmy to nie dlatego, że nam się Rosja podo-ba, tylko dlatego, że traktowaliśmy swoją ro-botę profesjonalnie. Co mamy do zrobienia, trzeba zrobić, ale są rzeczy, w których się nie porozumiemy. Umowa podpisana we wrze-sniu 2013 r. zakreślała trzy obszary współpra-cy: Afganistan i inne misje ONZ-owskie, ma-ły ruch graniczny z Kaliningradem i konse-kwencje z tego wynikające, rozpoznawanie zagrożeń o charakterze terrorystycznym.

Profesjonalna współpraca służb mo-że przynosić konkretne korzyści. Mamy np.

zatrzymanych obywateli Rosji czy Białoru-si podejrzewanych o szpiegostwo, a na Bia-lorusi siedzi Andrzej Poczubut, w rosyjskim lagrze Marian Radziejewski. Służby są od te-go, żeby podjąć dialog na temat ich wymia-ny. Niezależnie od jednoznacznego potępie-nia Putina, służby powinny utrzymywać ka-nały komunikacji, aby minimalizować skut-ki zagrożeń wynikające z polityki danych państw. Tak jak CIA na 100 proc. utrzymuje kontakty z FSB.

Oni wymienili swoją koszykarke Brit-ney Griner.

– Otóż to. Jeśli mamy jakichś zatrzymanych rosyjskich szpiegów, to należy zrobić wszyst-ko, w tym użyć kanałów służb – jeśliby ist-niały – żeby wymieniać ich na obywateli pol-skich.

Ma pan oryginalną bransoletkę na rękę.

– Doświadczenia z kulturą tybetańską, filo-zofią buddyjską i hinduistyczną. Trochę po-dróżowałem po tamtych terenach. Gdybym mógł się na nowo urodzić, to chętnie na Pół-wyspie Indyjskim albo w Himalajach. Po-doba mi się ich dystans do świata, przeni-kanie się wiary z życiem codziennym, zgod-ność poglądów z postępowaniem, brak dok-trynerstwa.

Co to panu daje w życiu?

– Pomogło mi złapać równowagę, rozpo-znać ważne rzeczy, które przez lata służby zaniedbałem. W naszej części świata przy-jęło się, że praca jest najważniejsza, a chrze-ścijaństwo to globalna religia i niemalże je-dyna możliwa filozofia życia. Tak nie jest. Najważniejsze są rodzina i wewnętrzny ład. Po 2016 r. to właśnie rodzina i przyjaciele najbardziej mi pomogli. Zarzuty postawio-ne wtedy gen. Piotrowi Pytłowi, płk. Krzysz-tofowi Duszy i mnie to był jeden z pierw-szych ataków prokuratury na ludzi pracu-jących na stanowiskach rządowych w cza-sach PO. Ja to potraktowałem uczciwie – prokuratura to był mój partner instytucjo-nalny przez lata pracy. W pokoju, w którym usłyszałem zarzuty, bywałem wielokrotnie jako szef służb. Myślałem: chłopie, musia-leś popełnić jakiś błąd, czegoś nie dopilno-wałeś, tylko czego? Nie dopuszczałem my-śli, że to może być szyte aż tak grubymi nić-mi. „Gazeta Polska” dyndała na skrzydełkach przed każdym kioskiem na moim rodzin-nym Podhalu, na okładce moja mordą w tej czapce z „Aurory”.

Z czasem kolejni z nas dostawali zarzu-ty: Krzysiek Bondaryk, Paweł Wojtunik. Kurczę, ścigają uczciwych ludzi. I zaczęli ścigać Donalda Tuska – w kwietniu 2017 r. wezwali go na przesłuchanie jako świadka w naszej sprawie. Wysiadł wtedy z pociągu na Dworcu Centralnym i siedł z tłumem przez Warszawę. Cel PiS był i jest jeden: do-paść Tuska.

Według nich jest pan winny czego kon-kretnie?

– Mam trzy zarzuty. Według prokuratury podjąłem współpracę z FSB bez zgody pre-miera. Kłamstwo. Zgoda jest na papierze.

A do współpracy w końcu nie doszło, bo za-raz była aneksja Krymu, co zmieniło sytu-ację.

To może zniszczyli ten papier?

– Jak to powiedzieć, żeby nie ujawnić tajem-nicy...? W kwietniu 2017 r. ta zgoda fizycz-nie była.

A gdzie jest?

– Nie mogę tego powiedzieć, bobym się na-razil na zarzut ujawnienia tajemnicy śledz-twa.

W grudniu 2017 r. dostałem drugi zarzut: szpiegostwo. Gdy prokurator przeczytał mi: „art. 130 par. 2”, to powiedziałem – a pra-cowałem na tym art. 130 przez lata – „Pa-nie prokuratorze, czy mogę prosić o kodeks karny, żeby sprawdzić, co pan mi zarzu-ca”. Patrząc, pokazuję Wojtkowi Brochwicz-o-wi, mojemu obrońcy, też z tej pierwszej eki-py Krzysztofa Kozłowskiego, wiceszef kon-trwywiadu w tamtych czasach, a on pisze na kartce: „Może być areszt”. Wcisną mnie w fo-tel. To nie jest proste. Po 23 latach służby. Myślę, że to samo dotyka Duszę, Pytla, Bon-daryka, Wojtunika. I trzeba sobie z tym po-radzić. To nie my mamy problem, to PiS ma problem.

Tusk pisał na Twitterze: „Jestem dumny, że jako premier mogłem współpraco-wać z generałami Pytlem i Noskiem. Byli i są wzorem odpowiedzialności, patrio-tyzmu i honoru”.

– To było ogromne wsparcie moralne.

Chodziło o rzekome ujawnienie danych personalnych funkcjonariusza, którego wyznaczyłem do kontaktów z FSB po kata-strofie w Smoleńsku. Powtórzę: to płk Ma-rek Szelągowski, przez całą służbę w SKW posługujący się własnym nazwiskiem, po-siadający pieczętą, podpisujący doku-menty międzynarodowe – żadna tajemni-ca. Trzeci zarzut to art. 265, ujawnienie ta-jemnicy państwowej – bo skoro przekaza-łem Rosjanom te dane Szelągowskiego, to ujawniłem tajemnicę. Owszem, dane funk-cjonariuszy służb są ściśle tajne – tych, któ-rzy wykonują czynności operacyjno-rozpo-znawcze – ale nie dyrektora jednostki orga-nizacyjnej. Czy np. moje dane, szefa służby, też były tajne? Służyłem pod własnym na-zwiskiem.

I to ma być to szpiegostwo?

– Tak, bo przekazałem obcemu wywiadowi imię i nazwisko „Marek Szelągowski” i jego numer telefonu do kontaktu, gdyby był po-trzebny, bo pracował w Moskwie – oficjalnie, pod własnym nazwiskiem – razem z komi-sją Edmunda Klicha, a później Jerzego Mil-lera. To cała moja „działalność szpiegowska” dla FSB.

Boli mnie to, co się dzieje z Polską, po-dobnie jak koledzy dzielę się doświadcze-niem, jeśli ktoś pyta, ale już bez emocji, z dystansem. Jak pani widzi, nie uciekłem na Krym.

Siedzi pan sobie tu ze mną w redakcji, więc o co chodzi?

– Nie wiem, to trwa siedem lat. Ostatni kon-takt z prokuratorem prowadzącym sprawę miałem kilka lat temu, kiedy to ja go prze-słuchiwałem – w Ostrołęce, po zawiadomie-niu o przebiegu do TVP Info tych „szpiegow-skich” zarzutów. W „Gazecie Polskiej” prze-czytałem – bo stamtąd mam jedyne infor-macje odnośnie do własnego śledztwa – że moja sprawa jest przedłużona do maja tego roku, jakąś decyzję prokurator będzie mu-siał podjąć.

Dlaczego chcą pana zrobić?

– Z dwóch powodów, myślę. Jeden prag-matyczny, drugi spiskowy. Pragmatyczny: może PiS było przekonane, że za naszym czy mo-im pośrednictwem uda się postawić zarzuty premierowi Tuskowi. Że być może ja go ja-koś obciążę.

Czyli że co pan im powie?

– Że taka była polityka Donalda Tuska, że to nie była moja autonomiczna decyzja. Ale to

była moja decyzja i zespołu, z którym pracowałem, że po Smoleńsku trzeba podjąć kontakt z Federacją Rosyjską.

Druga teoria jest przewrotna: zastanawia mnie, dlaczego Macierewicz tak zareagował na nasze kontakty z Rosją i na powstanie Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu NATO – i dlaczego postanowił dostać się tam siłą.

Dlaczego?

– Bał się, że tam są zdeponowane materiały dla niego niekorzystne? Może my coś pozytywnie skłaliśmy w dialogu z Rosjanami?

Pozyskaliście?

– Nawet jeśli, to nie powiem. Widocznie miał się czego obawiać.

Znalazł to, czego szukał?

– Myślę, że nie.

NIE POWIEM, A POTEM ZAPOMNĘ

Gen. Pytel mówi wprost: PiS dojeżdża funkcjonariuszy, którzy wcześniej odnotowali sukcesy na kierunku rosyjskim.

– Nękanie. Zarzuty dla Krzysztofa Duszy, dla Piotra, degradacja Magdy Ejsmont. Chyba płk. Duszę najbardziej próbują dojechać, bo stworzył CEK NATO i był jego dyrektorem. Był też dyrektorem mojego gabinetu, prawą ręką, zajmował się m.in. współpracą międzynarodową. Ideę CEK NATO wymyślił w 2008 r. W 2011 r. zorganizowaliśmy w Krakowie ćwiczenia kontrwywiadowcze państw natowskich, które były sukcesem, i Kwatera Główna NATO zaproponowała, żeby CEK NATO zbudować w Polsce – coś, nad czym Macierewicz miał w założeniu nie mieć kontroli.

Po przejęciu władzy przez PiS płk. Duszę zdegradowali do stopnia szeregowego, nieskutecznie, wygrał w sądzie. Postawili mu te same zarzuty współpracy z FSB bez zgody premiera, mimo że zgoda jest. Oprócz tego prokuratura wykonała tytaniczną pracę, żeby mu udowodnić, że przywłaszczył sobie bezwartościowe książki z CEK NATO. Sprawa się rozbiła o Sąd Najwyższy.

Brzmi absurdalnie, niech pan opowie.

– Z Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej pozyskaliśmy bezpłatnie kilkadziesiąt książek przeznaczonych do utylizacji. Ich jedyną wartością dla nas były stylowe okładki, które zapelniały półki w pomieszczeniu recepcyjnym. Salonik ten po utworzeniu CEK NATO wszedł w jego skład.

Gdy Macierewicz wszedł do CEK NATO, zajął cały majątek, a książki uznał za własność Duszy, mimo że ten zaprzeczył. Kazał mu je zabrać – zdeponował je u adwokata – po czym postawili mu zarzut, że przywłaszczył majątek wyceniony na 19 tys. zł. Krzysztof wygrał kasację w SN, tu wielką pomoc okazał mu młody prawnik z Krakowa Kacper Białek. Gdyby wyrok się utrzymał, płk Dusza straciłby emeryturę.

A Magdalena Ejsmont? To dzisiaj szefowa Straży Miejskiej w Warszawie.

– Od niedawna używamy jej nazwiska pełnego, wcześniej występowała jako mjr Magdalena E. Zajmowała się w SKW rozpracowywaniem agentury rosyjskiej. Rok służyła w Afganistanie. Po powrocie dalej łapała w Polsce rosyjskich szpiegów z takimi sukcesami, że gen. Pytel, wówczas jej przełożony, zaproponował jej funkcję zastępcy dyrektora zarządu operacyjnego. Już za PiS zaangażowała się, mimo zakazu Macierewicza, w uwolnienie polskiego oficera zatrzymanego na Białorusi pod zarzutem szpiegostwa. Z sukcesem – i za to została zdegradowana.

Ale to was PiS nazywa ludźmi Moskwy. Był pan szefem SKW w latach 2008-13, czas między inwazją na Gruzję a aneksją Krymu. Jak oceniał pan wtedy wpływy rosyjskie?

– Pani mówi: między Gruzją a Krymem... Objąłem służbę, kiedy kończyła się misja polskich żołnierzy w Iraku, zaczynała się

w Afganistanie, lada moment w Czadzie, do tego funkcjonowały nasze kontyngenty wojskowe na Bałkanach i na Bliskim Wschodzie w ramach ONZ, w Syrii i Libanie. Służby NATO oceniały zagrożenie rosyjskie jako wysokie, ale stabilne, stąd szeroko zakrojona współpraca NATO z Rosją i wspólne realizacje zadań w ramach ONZ.

Rosja wspierała natowskie zaangażowanie w Afganistanie. Udostępniała bazy lotnicze na swoim terenie do przerzutu tzw. nieśmiercionośnego sprzętu wojkowego, czyli logistyki, żołnierzy itd. Mało tego: firmy rosyjskie czy z rosyjskim kapitałem wygrywały przetargi organizowane przez Kwaterę Główną NATO na dostarczanie żywności do baz natowskich w Afganistanie. Polscy żołnierze w misjach ONZ jeszcze w 2009 i 2010 r. korzystali też z rosyjskich środków transportu. Na Bliskim Wschodzie, Wzgórzach Golan, w Libanie, Czadzie i Republice Środkowoafrykańskiej rosyjscy żołnierze służyli wspólnie z naszymi na równych prawach. Płaszczyzn współpracy w ramach ONZ czy NATO – Rosja było dużo.

Dzisiaj przeciwnik jest jasny, wtedy był inny czas. NATO stwarzało wiele okazji Rosji, aby ta pozytywnie włączała się w system globalnego bezpieczeństwa. Przykładem kontakty NATO – Rosja, a u nas mały ruch graniczny czy wizyta Putina na Westerplatte. Putin stolik wywrócił. I musi tę wojnę przegrać, już ją przegrał.

PiS mówi, że już po Gruzji nie należało Rosji traktować normalnie.

– Budowanie mitu Lecha Kaczyńskiego, o to im głównie chodzi. Historia tak się potoczyła, jak zapowiedział. Dzisiaj jesteśmy w sytuacji zgoła innej, ale do 2014 r. nikt w Europie z Rosją wojny nie prowadził.

Moim zdaniem dostęp do maili Dworczyka mają ludzie Ziobry, a sprawa jest przez Rosję modyfikowana i wykorzystywana

TVP Info w kółko puszcza Tuska, który mówi: „Chcemy dialogu z Rosją taką, jaka ona jest” – bez informacji, że powiedział to w 2007 r. I przecina to zdjęciami z Buczy.

– Wtedy trzeba było prowadzić dialog z Rosją, taką, jaka ona była, sam to robiłem. Mimo że dla mnie jako szefa SKW zagrożenie rosyjskie było jednym z trzech zadań priorytetowych – zajmował się tym gen. Pytel. Osobiście koncentrowałem się na ochronie żołnierzy na misjach zagranicznych. A to było wyzwanie niebывałe, bo odziedziczyliśmy po Macierewiczu zgłiszcza: brak zweryfikowanych żołnierzy do służby za granicą, modele pracy operacyjnej nieprzystające do systemów NATO. Polski kontrwywiad wojskowy do standardów pracy w ramach NATO dostosował płk Maciej Matysiak. Trzeci obszar, który musieliśmy zbudować od podstaw, to ochrona ekonomicznych interesów sił zbrojnych przed korupcją w związku z potężnymi nakładami rządu PO-PSL na ich modernizację.

To też czas Smoleńska. Znałem 90 proc. osób, które były na pokładzie samolotu, z większości byłem w bliskiej znajomości. Trauma, ale jako służby musieliśmy to ogarnąć. Wesprzeć komisję Klicha, potem Millera – oni pracowali w nieprzyjaznym środowisku. Trzeba było ich przeszkolić, jak reagować na zagrożenia, nie dać się w nic wplątać. Pracowaliśmy nad ich ochroną kontrwywiadowczą.

To wy, oficerowie SKW, zdobyliście w Smoleńsku stenogram rozmów z wieży i zapis z kokpitu. Jak?

– Jeszcze przez 30 lat nie będę mógł powiedzieć, a potem zapomnę. To czynności o charakterze niejawnym. Materiały dostała kancelaria premiera Tuska.

A kto ma rozmowę braci Kaczyńskich?

– Prawdopodobnie jedna ze służb zachodnioeuropejskich. Ale nic więcej na ten temat.

Jak za rządów PO-PSL szło wam ściganie rosyjskich szpiegów?

– Więcej niż to, co mówił gen. Pytel, powiedzieć nie mogę, bo przede wszystkim on się tym zajmował, praktycznie całe zawodowe życie, od początku lat 90., związał z rozpoznawaniem aktywności rosyjskiej. Jeśli przyjdzie czas, by o tym opowiadać, będą sensacje.

W latach 2008-15 SKW realizowała wiele spraw, w których agentura rosyjska została rozpoznana i monitorowana, a nawet przez nas sterowana, udawało się podsylać sfabrykowane materiały i one szły sobie dalej. W 2008 r. dwóch zastępców attaché Federacji Rosyjskiej poprosiliśmy o opuszczenie kraju. To, że osoby zajmujące takie stanowiska często są kadrowymi pracownikami wywiadu, wszyscy wiedzą, ale w świecie profesjonalnym jest tak: jeśli poruszasz się w granicach akceptowalnych, to my się przyglądamy, mamy cię pod kontrolą. Ale jeśli przeginasz, dostajesz po łapach. A oni zaczęli werbować żołnierzy i oferować im pieniądze za usługi wywiadowcze – więc basta. Opuścili Polskę. Nastąpiła retorsja ze strony rosyjskiej, a po jakimś czasie, przed wizytą ministra Sikorskiego w Rosji, „Kommiersant” to opublikował, przedstawiając nasze relacje jako nieprzyjazne.

APOGEUM PRZED NAMI

Afera podsłuchowa wybuchła w 2014 r. Dlaczego nie rozpracowaliście wątku rosyjskiego?

– Widocznie służby cywilne nie miały wiedzy na ten temat. Nie żebym robił psycho-technikę wobec kolegów z ABW, ale kompe-

Moim zdaniem dostęp do maili Dworczyka mają ludzie Ziobry, a sprawa jest przez Rosję modyfikowana i wykorzystywana

tencje SKW są wąsko zakreślone: zagrożenie dla sił zbrojnych, ochrona kontrwywiadowcza pracowników MON, żołnierzy polskich sił zbrojnych i pracowników cywilnych. Czy ktokolwiek z tych ludzi został nagrany?

Nie wiem. Wiem, że wykryliście wtedy podsłuch na spotkaniu ministra obrony Tomasza Siemoniaka.

– Na przykład.

Wiedzieliście, że politycy z innych resortów są podsłuchiwani?

– Nie. Gdybyśmy wiedzieli, to natychmiast poinformowalibyśmy BOR, ABW i prokuraturę. Doświadczenie i zdrowy rozsądek kazały mi mówić przełożonym w MON, że od prowadzenia ważnych rozmów są dworek w Helenowie, wille w Magdalence albo na Zawracie w Warszawie, a także specjalne pomieszczenia do przeprowadzania rozmów tajnych. Tam jest bezpiecznie, natomiast w publicznej restauracji dyskusja sprowadzać się może wyłącznie do podziwiania walorów estetycznych krajobrazu.

Może służby cywilne same brały udział w tych podsłuchach?

– Polskie? Niemożliwe. Pani nie wierzy?

Marek Falenta, organizator podsłuchów, był współpracownikiem ABW. Ale ABW nie chciała sprawdzać, czy stoją za tym Rosjanie.

– Jest osoba, którą można o to zapytać.

Wszyscy tak odpowiadają. Jacek Gawryszewski, wtedy wiceszef ABW.

– Tak, od początku rządów PiS ambasador w Chile.

Co w takim razie wtedy się stało?

– To była operacja rosyjska na początku obliczona na efekty gospodarcze, handel wę-

glem, potem wykorzystana politycznie, do czego przyczynili się m.in. dziennikarze, którzy materiały z podsłuchów opublikowali we „Wprost”. Nagrania zrealizowali ludzie pracujący mniej lub bardziej świadomie dla Rosjan.

Grzegorz Rzeczkowski dotarł niedawno do zeznań Marcina W., współnika Falenty, z których wynika, że Falenta sprzedał nagrania Rosjanom. Dlaczego PiS tego nie sprawdza?

– Chyba istnieją nagrania szerszego kręgu osób niż te ujawnione – nagrania ludzi PiS. Może Ziobro woli mieć asy w rękawie, żeby je wykorzystać, jak Kaczyński zaczętnie mu fikać. Druga odpowiedź: obóz prawicy odniósł dzięki podsłuchom same sukcesy, a śledztwo mogłoby wykazać, że to była operacja rosyjska. Rosjanie mają zapewne wszystkie nagrania.

Podobno także sytuacji intymnych.

– I Rosjanie z tego skorzystają, jeśli nie dzisiaj, to jutro – oni tak działają. Dlatego nowa prokuratura, nowe służby muszą do tej sprawy wrócić. I to tym powinna się zająć komisja śledcza ds. wpływów rosyjskich. Afera podsłuchowa wpłynęła na zwycięstwo PiS.

Komisja pisowska, niekonstytucyjna, ma upolować Tuska.

– Rosyjską metodę odwróconej narracji PiS stosuje od początku rządów. Problem rzeczywistej agentury jest rozmywany, sprowadzony do wyzwick, że każdy jest rosyjskim agentem. Ich komisja zacznie od umów paliwowych rządu PO-PSL z Gazpromem, które według mediów pisowskich uzależniały Polskę na długie lata od dostaw gazu.

Posłowie opozycji Urszula Zielińska i Paweł Poncyljusz odkryli w kwietniu, że PiS ciągle importuje z Rosji gaz LPG. Mimo wojny Polska jest jego największym importerem w Unii.

– PiS zarzuca przeciwnikom to, czego sami są winni. Powtarzają stare słowa Waldemara Pawlaka: „A po co panu gaz rosyjski, źle się pali w kuchence gazowej?”. Komisji to wystarczy, bo Pawlak był wicepremierem w rządzie Tuska. Do tego może dojść zarzut, że były projekty współpracy armii polskiej z rosyjską. Były, ale w ramach standardów wynikających wyłącznie z międzynarodowych traktatów i ustaleń grupy NATO – Rosja.

A pan jak ocenia tę umowę z Gazpromem?

– To było kilka lat po czasie, kiedy jako dyrektor Zarządu Ochrony Ekonomicznych Interesów Państwa UOP zajmowałem się problemami paliwowymi, ale podzielałem stanowisko, że w tamtych realiach politycznych i gospodarczych długoterminowe umowy z Gazpromem były korzystne dla Polski. Poza tym za czasów AWS rozpoczęto budowę Baltic Pipe i negocjacje z Norwegami – to nie zasługa PiS, że powstał Baltic Pipe. Budowę gazoportu w Świnoujściu też zaczęto za rządów PO-PSL, a za PiS nadano mu tylko imię Lecha Kaczyńskiego.

W 2002 r. m.in. pan zatrzymał kontrakt Orlenu z Rosją na 14 mld dolarów.

– To była praca zespołowa. Projekt tego kontraktu ze spółką J&S spowodował naszą reakcję w UOP, co doprowadziło poprzez działania polityków do tzw. afery Orlenu. Kontrakt nie został podpisany. Wtedy jeszcze polskie służby specjalne musiały same zdobywać informacje o planowanych kontraktach, ale później wprowadzono przepisy, które obligowały sektory związane z obszarami strategicznymi do konsultowania tego typu umów. Teraz PiS, przed fuzją Orlenu z Lotosem i sprzedażą udziałów w Lotosie, wprowadziło procedurę, która pomija obowiązek powiadamiania służb.

Służby przy całej swojej ułomności działają wedle zasad urzędniczych – zostają dokumenty. Myślę, że gdyby ABW została zapytana o skutki transakcji Orlenu, w tym sprzedaży 30 proc. Rafinerii Gdańskiej Sau-

di Aramco, to znaleźliby się w ABW funkcjonariusze, którzy przedstawiliby opinię negatywną z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa. Służby korzystają z doradców, a prawie całe środowisko eksperckie związane z rynkiem paliw w Polsce negatywnie oceniało tę transakcję, czyli de facto osiągnięcie pełnego władztwa nad spółką przez Saudów.

Co to znaczy dla Polski?

– Sprzedane przez Obajtka akcje Rafinerii są zaparkowane nie w Saudi Aramco, ale w spółce zależnej – Aramco Overseas Company BV, zarejestrowanej w Holandii. Profesjonalne służby powinny obserwować, co Arabowie z tą spółką robią. Zdaje się, że rząd polski nie ma gwarancji, że nie zostanie odsprzedana innej spółce, np. zależnej od kapitału rosyjskiego czy oligarchów rosyjskich. Takie procesy zwykle są przeciągane w czasie, żeby przykryć wątpliwości.

Nie chcę iść w teorię spiskową, że rosyjska agentura spowodowała, że sprzedaliśmy Lotos Saudi Aramco, bo nie mam na to dowodów, ale zdrowy rozsądek nakazywał się zabezpieczyć. Relacja między Orlenem a Saudi Aramco jest taka, jakby mucha dośiadała słonia. Jeśli Saudowie zechcą sprzedać spółkę, to ją sprzedadzą. My posługujemy się prawem polskim, ale umowy są spisane także według prawa Arabii Saudyjskiej. Jakie są tu gwarancje?

Gen. Pytel mówi, że Lotos to wiano dla Rosji.

– I tę tezę będzie rozważać państwo polskie, kiedy będzie miało dostęp do dokumentów. Bo z węgierskim MOL sytuacja jest inna. Jako inwestor dla Orlenu był brany pod uwagę od 1999 r., kiedy Petrochemia Płocka przestała być przedsiębiorstwem państwowym, połączyła się z CPN i stała się Orlenem, spółką akcyjną. Już wtedy austriacki OMV powiązany kapitałowo z MOL był zainteresowany objęciem części udziałów Orlenu. Wtedy też w tle byli Rosjanie. Jednak sprzedaż stacji benzynowych jest o wiele mniej ryzykowna z punktu widzenia strategii i polityki niż sprzedaż części rafinerii, nawet jeśli to jest 30 proc., bo de facto 70 proc. decyzyjności mają Arabowie. To groźne.

W 2016 r. prezes Orlenu z PiS Wojciech Jasiński podpisał kontrakt na zakup ropy od rosyjskiego koncernu Rosneft. Jak się rozkładają winy czy niewiny PiS i PO?

– Należało dywersyfikować dostawy, żeby Rosjanie nie mogli nas szantażować zakreśceniem kurka – i przez ostatnie 20 lat to było czynione. Nie dało się abstrahować od złóż naturalnych w Federacji Rosyjskiej. Wojna wiele zmieniła, ale nie zmieniła geografii, mamy powiązania w sensie fizycznym poprzez sieci przesyłowe gazu czy ropy. Pytanie tylko, co tamtędy płynie. Dzisiaj Orlen szczyti się, że już nie korzysta z rosyjskiej ropy – może tak, ale mam wątpliwości, czy nie jest to ta sama rosyjska ropa, tylko obieg dokumentów jest skomplikowany, np. jest prze fakturowana w Wenezueli.

Gdyby służby działały, to kontrakt Orlenu z Saudi Aramco nie byłby podpisany. ABW powinna co najmniej przedstawić premierowi Morawieckiemu analizę wskazującą zagrożenia. Może i przedstawiła, a premier powiedział, że to go nie obchodzi, ale nie sądzi, żeby był taki odważny – takiego dokumentu raczej nie było.

Obajtka służby nawet nie zweryfikowały.

– I to jest skandal. Człowiek, który decyduje o naszym bezpieczeństwie paliwowym, uznał, że żadne służby nie będą go sprawdzały, a nikt z PiS tego nie wygzekwował. To może świadczyć o tym, że są sprawy, których Obajtek nie chce ujawnić, bo nie dostał by poświadczenia. Wizerunkowo byłoby to wotum nieufności i stwarzałoby możliwość przyjrzenia się w sposób zinstytucjonalizowany jego życiorysowi.

Był współpracownikiem ABW.

– Nie wiem. Ale moim zdaniem nie jest to okoliczność obciążająca, bo dlaczego?

Bo w 2017 r. umorzono przeciwko niemu postępowanie, a był oskarżony o współdziałanie ze zorganizowaną grupą przestępczą.

– Jeśli w jego życiorysie są informacje wskazujące, że nie daje rękojmi, bo np. może podlegać szantażowi, to służba ma obowiązek zweryfikować go negatywnie.

Nie mam zaufania do dzisiejszych służb także dlatego, że stosowały Pegasusa wobec małżeństwa Brejzów i ludzi opozycji. Chyba żadna z afer PiS nie została zweryfikowana przez CBA, ABW czy policję. Nadzorujący służby Mariusz Kamiński jest wiceszefem PiS – to pomieszczenie porządku, zepsucie. Państwo polskie jest zepsute.

Podobno mają nie tylko Pegasusa, ale też inne, równie potężne narzędzia.

– Rynek jest bogaty: firmy izraelskie, amerykańskie, chińskie. Moi koledzy z jednostek technicznych często uczestniczyli w targach i prezentacjach sprzętu służącego do inwigilacji. Każda służba chce mieć nową zabawkę, istniała czasem niezdrowa rywalizacja, kto ma coś lepszego – tylko że wszystko musi się odbywać w systemie nadzoru prawnego. A Pegasus to broń cybernetyczna, powinna być stosowana w celu pozyskiwania informacji wywiadowczych za granicą i tam, gdzie polskie siły zbrojne działają poza krajem, jak w przeszłości w Afganistanie czy Iraku. Jednak z tego typu instrumentów nie można korzystać do kontroli operacyjnej w kraju.

Wąsik, ale też Morawiecki i Kaczyński twierdzą, że na podsłuchy są zgody sądu.

– Dostają je, bo we wniosku nie pisze się, jakiego narzędzia służba użyje do podsłuchu. A oni te narzędzia stosują bezprawnie. Po uzyskaniu zgody sądu służba nie może stosować dowolnego urządzenia. Aby móc stosować kontrolę operacyjną zgodnie z polskim prawem, potrzebne są dwie rzeczy: zgoda sądu i sprzęt certyfikowany przez SKW lub ABW. Elementy certyfikacji są dwa: stuprocentowa kontrola służby nad tym sprzętem, a w przypadku Pegasusa tak nie jest, bo serwery są poza granicami Polski. Drugi element: brak możliwości ingerencji w treści dokumentowane, a Pegasus takie możliwości ma. Pegasus nie mógł być legalnie wykorzystywany w Polsce do kontroli operacyjnej, nawet jeśli sąd taką zgodę wyraził.

Pan też pewnie jest podsłuchiwany.

– Zdziwiłbym się, gdybym nie był, skoro stawia się byłemu szefowi służby zarzut szpiegostwa. Tyle że nie mogą nas chyba podsłuchiwać w nieskończoność. Przepisy stanowią, że można prowadzić kontrolę operacyjną przez trzy miesiące, potem raz przedłużyć. OK, są sposoby, żeby to przedłużyć do roku, dwóch, ale nie siedmiu lat, jak byłoby w moim przypadku.

Lepiej nie rozmawiać przez komórki – tak radziłem moim przełożonym, ministrom obrony, bo siedziba MON znajduje się blisko ambasad rosyjskiej, która posiada narzędzia do przechwytywania rozmów komórkowych i wszystkiego w sieci. Jeśli nie mogli skorzystać z szyfrowanej łączności komórkowej – za naszych czasów to był system CATEL – a musieli porozmawiać o czymś wrażliwym, to przez telefony stacjonarne, bo po kablu trudniej podsłuchać.

W zakupie Pegasusa pośredniczyła firma byłych esbeków.

– Wielu funkcjonariuszy SB zostało przedstawicielami firm z branży. Dziś już mnie nie zaskakuje, że z takich pośredników korzysta formacja polityczna, która niby tak negatywnie ocenia SB. Maciej Wąsik miał u siebie stację odsłuchową i podsłuchiwał ileś tysięcy rozmów. Mnie przez 23 lata zdarzyło się raz, gdy jeszcze pracowałem linowo, zejść do pomieszczenia, gdzie było stanowisko odsłuchowe, i odsłuchać rozmowę, bo pracownik uznał, że jest tam informacja, którą mogę zrozumieć lepiej niż on.

PiS było przekonane, że Pegasusa nie da się wykryć, ale ślad zawsze jest. Im się wyda-

je, że jeśli nie ma dokumentów, to będą bezpieczni. Nie będą. Włączenie komuś podsłuchu nie odbywa się jednoosobowo, a gdzie jest zaangażowanych kilka osób, nie ma tajemnicy. Wszystko wyjdzie. Myślę, że nowy rząd tego nie odpuści. W przypadku panów Kamińskiego i Wąsika mamy do czynienia z recydywą. Odpowiedzialność powinni ponieść funkcjonariusze, którzy stosowali Pegasusa, i szefowie służb.

Na razie ci odpowiedzialni uciekli do spółek skarbu państwa. Czy ludzie służb zawsze dostawali takie nagrody za brudną robotę?

– Delegowaliśmy czynnych funkcjonariuszy do spółek strategicznych, żeby lepiej zabezpieczyć interes państwa, ale nie na zasadzie synekury jak dzisiaj. Pobierali pensję ze służby macierzystej.

Dojenie spółek skarbu państwa przypomina trofiejnny otriad. Dlaczego służby nic z tym nie robią?

– Dlatego, że dzisiaj działają dla PiS. A PiS grabi gospodarke, żeby naszymi pieniędzmi opłacać wybory i finansować swoje środowiska. W rozważaniach z kolegami ze służb mówiłem do niedawna, że jeśli PiS nie będzie miało zapewnionego zwycięstwa, poprzez wysokie sondaże albo możliwość wpłynięcia na wynik, to wprowadzi stan wyjątkowy pod pretekstem wojny w Ukrainie i przesunie wybory. Ale może nie będzie musiało, pomogą nowe obietnice, nowelizacja kodeksu wyborczego, pisobusiki, TVP, kampanie Orlenu i Lasów Państwowych.

Jednym z elementów, który Rosjanie biorą pod uwagę w charakterystyce wywiadowczej sporządzanej na Łubiance względem Polski, jest nacjonalizm. PiS będzie wykorzystywać zmęczenie uchodźcami. Celem rosyjskiego przeciwnika będzie rozwibrowanie naszych emocji.

Że to „nie nasza wojna”, słyszymy już co dzień.

– Apogeum przed nami. Będą mówić, że nie należy aż tak wspierać Ukrainy, to nie nasz interes. I że polskie rolnictwo cierpi, bo ukraińskie zboże zasypuje nasz rynek – a przecież nie jest to wina Ukrainy, tylko rządu PiS.

Jak wobec tego czyta pan sytuację z rakietą i balonami, po co Rosjanie to robią?

– Testują, jak daleko mogą ingerować w obszar bezpieczeństwa państwa natowskiego, nie uruchamiając adekwatnej odpowiedzi ze strony NATO. Sojusz nie chce eskalować konfliktu i zapewne tak długo, jak się da, nie będzie tego czynił. Rosjanie chcą wiedzieć, gdzie jest ta granica.

Jestem przekonany, że Mariusz Błaszczak wiedział o naruszeniu polskiej przestrzeni powietrznej i utracie rosyjskiej rakiety z pola widzenia. Jeśli z jakiegoś powodu meldunek Centrum Operacji Powietrznych zakończył swój bieg w segregatorze sekretariatu MON, to szef SKW, który też jest adresatem meldunku, powinien przedstawić go ministrowi. Zawiodły podstawowe procedury. O stan polskiej obrony przeciwniczej lepiej nie pytać – bo jej nie ma.

KRZOK

Dużo goryczy jest w tej rozmowie, ale nie chcę, żeby to była mowa pogrzebowa. Każdy kryzys stwarza nowe szanse. W ostatnich latach historia zatoczyła koło, jakbyśmy znowu byli u progu roku 1990.

Wracał pan parę razy do Krzysztofa Kozłowskiego, pierwszego ministra spraw wewnętrznych po PRL, twórcy służb w wolnej Polsce. To on pana ściągnął do UOP.

– I tamte ideały zostały, chociaż się spragmatyzowały. Na KUL Krzysztof Kozłowski prowadził z nami zajęcia z nauk politycznych, raz w miesiącu przyjeżdżał nocnym pociągiem, pytał: „No to o czym dzisiaj?”. Przez cały dzień opowiadał i wie-

czorem wyjeżdżał. Kiedy po studiach uczyłem w liceum w rodzinnym Nowym Targu, a minister Kozłowski był już senatorem, chyba w 1992 r., zaprosiłem go na spotkanie z uczniami. Zapytał, czy nie chciałbym do służb. Mnie to laziło po głowie, bo już na studiach nas namawiał. Jakiś czas po tej wizycie dzwonił mnie Piotr Bąk, dzisiejszy starosta tatrzański, wtedy lider naszego harcerskiego środowiska: „Pójdiesz do kontrwywiadu?”.

Po co?

– No, chciałem być Jamesem Bondem. Działy na mnie historie z konspiracji, żołnierzy Szarych Szeregów, kontrwywiadu AK, służb II RP itd. Siostra mojej babki była łączniczką AK, zginęła w Auschwitz – Jadwiga Rolnik, „Dziunia”. Brat babki był oficerem Armii Andersa, saper, który został na Zachodzie, przysyłał mi swoje archiwum, nominacje, odznaczenia itd. Miałem dobry patriotyczny background. Rzeczywistość okazała się rozczarowująca, czekały na mnie nie gadzety Bondy, tylko stara maszyna do pisania, kartka i długopis.

Góral z krwi i kości?

– Nie, krzok. Są pnioki, krzoki, ptoki. Urodziłem się już w Nowym Targu, ale rodzice to byli ptoki. Mama pochodziła z Pcimia, sąsiadka Obajtka, można powiedzieć, ojciec z Suchej, dziadkowie z Krakowa.

Czyli gen. Mieczysława Borutę-Spiechowicza poznał pan w Zakopanem?

– Nie, miałem tylko zaszczyt stać przy jego trumnie. W latach 80. działałem na Podhalu w niejawnym Ruchu Harcerskim Rzeczypospolitej. W 1985 r. braliśmy udział w uroczystościach pogrzebowych Boruty. Dla mnie, 18-latka, to było uniesienie patriotyczne. Lech Wałęsa, starsi żołnierze z wojsk legionowych, „Solidarność”, górnicy, hutnicy – cała Polska Podziemna przyjechała na ten pogrzeb do Zakopanego, a lał deszcz niemiłosiernie. Potem obroniłem o Borucie pracę magisterską u prof. Tomasza Strzembosza i napisałem książkę. I on jakoś całe życie do mnie wraca.

Co pan wziął z niego?

– Że trzeba wierzyć w sprawy słuszne, nawet jeśli inni mają wątpliwości. Boruta był kontrowersyjnym dowódcą, np. przyjął w szeregi Berlinga, którego wszyscy mieli za agenta sowieckiego. Powiedział swojej dywizji, że rozliczy go wolna Polska, a jeśli chce przelewać za nią krew, to trzeba mu dać tę możliwość. Po wojnie wrócił do kraju, chociaż mu odradzano. „Moi żołnierze wracają, to będę z nimi” – powiedział. Postawił się Andersowi. W sporze, czy armia ma być ewakuowana na Bliski Wschód, czy iść najkrótszą drogą z Armią Czerwoną do Polski, Boruta nalegał na drugą opcję i został wyrzucony, przeniesiony do Szkocji. Bezkompromisowy.

Po powrocie do Polski osiadł w Szczecinie, w 1964 r. zamieszkał w Zakopanem i stworzył środowisko kombatanckie związane z pilsudczykami i legionistami. Wystąpił z przepięknym przemówieniem na I zjeździe „Solidarności”. Gdyby nie doświadczenie z Borutą, nie wiem, czy poszedłbym do służb. Ale się zrobiło patetycznie...

Miałby pan spokój, gdyby pan nie poszedł.

– Wie pani, w wolnej Polsce w służbach pracowało sporo fajnych ludzi, mówię o kolegach. Politycy nie potrafili wykorzystać tego potencjału, a my popełniliśmy wiele zaniedbań skutkujących tym, że prorosyjskie środowiska rządzą dzisiaj Polską, a w przeszłości może być gorzej. Nowe służby, które powstaną – wierzę w zwycięstwo opozycji – będą musiały zacząć się interesować politykami, którzy działają w interesie obcych państw. Po doświadczeniach rządów PiS nie można już będzie powiedzieć: służbom warama. Oby tylko Polska jeszcze raz dostała taką szansę, jak 4 czerwca 1989 r. ●

Gwarancja niestabilności

Jaka Rosja jest możliwa po wojnie i jaka byłaby w naszym interesie?

Matlak*

Kończący dziś setkę Henry Kissinger uchodzi za definicję politycznego realizmu: kategoria praw człowieka dla niego nie istnieje, politykę zagraniczną skupioną na wspieraniu społeczeństw w walce o wolność uważa za naiwniactwo. Jego słownik to równowaga sił, światowy porządek, strefy wpływów. Z tego punktu widzenia w ubiegłym tygodniu dokonała się ważna, fundamentalna zmiana w obozie realistów. „The Economist” opublikował zapis ośmiogodzinnej sesji swoich dziennikarzy z byłym sekretarzem stanu prezydenta Nixona. Kissinger przyznał się do zmiany zdania w jednej sprawie: Ukraina powinna się stać członkiem NATO, bo spadło znaczenie rosyjskiej armii i wzrosło armii ukraińskiej, a zatem lepiej ją mieć wewnątrz Sojuszu.



FOT. DMITRI LOVETSKY/AP

To wielka redefinicja politycznego realizmu, który zazwyczaj oznaczał traktowanie Rosji jako elementu stabilizującego nasz kontynent, czyli priorytetowe traktowanie rosyjskich życzeń. Rosja nie chciała Ukrainy i Gruzji w NATO, i kraje Europy Zachodniej, zgodnie z poradami Kissingera, zablokowały ich wejście. Takie było podejście do Rosji mniej więcej od czasu kongresu wiedeńskiego, kiedy to Rosja stała się – według realistów – niezbędną częścią europejskiego porządku, co w naszej części Europy oznaczało w gruncie rzeczy kolonialną podległość.

Ta zmiana dzieje się wbrew woli Zachodu, który do ostatniej chwili wierzył w możliwość porozumienia z Rosją, uważając Putina za człowieka, z którym można się dogadać mimo wielu sygnałów, że to mrzonka. Kissinger na początku przyznał, że to nie Zachód doprowadził do tego zerwania: „Nawet jeśli okaże się, że nie ma już powrotu do dawnej współpra-

cy z Rosją, to nie dlatego, że my [Zachód] tak chcieliśmy, ale że oni [Rosja] tak to zrobili”.

Ta chęć Zachodu, by Rosja pozostała częścią europejskiego systemu bezpieczeństwa, budziła niepokój Europy Środkowej i Wschodniej, która słusznie przeczuwała, że Rosja nie jest stabilizatorem, ale wręcz przeciwnie – chce wywrócić porządek światowy. Rozejście się obu tych wizji, brak znajomości Rosji i przekupienie części zachodnich elit przez reżim Putina poskutkowały brakiem spójnej polityki europejskiej wobec Rosji. Kissingerowski realizm prowadził do resetów z Rosją, którego próbowali zarówno George W. Bush, jak i jego następca Barack Obama. O Schroederze i Merkel nie wspominając. Podobnie ambivalentna była polityka Francji: z jednej strony Sarkozy, Hollande i Macron zdawali sobie sprawę z natury tamtejszego reżimu, ale lekceważyli znaczenie i interesy Europy Środkowej.

Jedno jest pewne. Czas na redefinicję podejścia Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych do Rosji. Choć dziś słusznie koncentrujemy się na tym, by Ukraina wyszła z tej wojny zwycięsko, trzeba się też zastanowić, czym właściwie ma być po wojnie. Nie wiemy jeszcze, jaki będzie udział Zachodu w kształtowaniu powojennego porządku, ale musimy wiedzieć, jaka Rosja jest możliwa i jaka byłaby w naszym interesie.

Dziś w sferze idei to podejście wydaje się wyznaczane przez 3D: demokrację, dezintegrację i deimperializację.

DEMOKRATYZACJA

Jeszcze nie tak dawno, bo w grudniu 2013 r., nadzieję na demokratyzację Rosji miał jeden z czołowych ekspertów od Rosji i przestrzeni postsowietycznej Zbigniew Brzeziński, raczej jastrząb niż gołąb w kwestii podejścia do Rosji: „Jest tylko kwestią czasu, zanim stanie się oczywiste dla elit społecznych Rosji, że polityka twardej ręki Putina ma bardzo ograniczone perspektywy sukcesu. Prędzej czy później przestanie on być prezydentem. A niedługo potem Rosja – a zwłaszcza jej rodząca się nowa klasa średnia – dojdzie do wniosku, że jedyną ścieżką, która ma sens, jest stanie się również prawdziwie nowoczesnym, demokratycznym, a może nawet kluczowym państwem europejskim”.

Dziś perspektywa przejścia władzy w Rosji przez opozycję wydaje się niska. Najbardziej popularne na Zachodzie postacie rosyjskiej opozycji, takie jak Garri Kasparow i Michaił Chodorkowski, mają niewielkie poparcie polityczne i społeczne w Rosji. Ruch demokratyczny skupiony wokół Aleksieja Nawalnego uważa się za jedyną legalną opozycję krajową, która niechętnie patrzy na Kasparowa czy Chodorkowskiego jako partnerów. Podziały wśród rosyjskich opozycjonistów i ich prześladowanie przez moskiewski reżim dodatkowo utrudniają Zachodowi nawiązanie sensownej współpracy z którymkolwiek. Istnieją również obawy, że niewielu potencjalnych nowych przywódców porzuci imperialne ambicje Rosji.

Argumentem jest to, że z powodów historycznych i kulturowych de-

mokracja oparta na rządach prawa i samoograniczeniu władzy jest obca rosyjskiej tożsamości skupionej na władzy państwowej i koncepcji silnego władcy. Co istotne, często słyszemy, że Nawalny de facto poparł aneksję Krymu i nawet jeśli później zmienił swoje stanowisko, istnieją obawy, że przynajmniej część opozycji przyjmie postawę imperialistyczną.

Nie wszyscy na Zachodzie są równie pesymistyczni i pojawiają się głosy wskazujące, że wielu w Rosji znosi wielkie prześladowania, by sprzeciwić się wojnie z Ukrainą. Jednym ze zwolenników tej polityki jest Andrius Kubilius, były premier Litwy i założyciel sieci U4U (United 4 Ukraine). Jest zwolennikiem wielkiego zaangażowania UE w Ukrainie, ale jednocześnie utrzymuje kontakty ze wszystkimi nurtami rosyjskiej opozycji. Kubilius napisał krótki tekst na temat litewskich poglądów na społeczeństwo rosyjskie, bardzo sprzecznych z poglądem, że wszyscy Rosjanie to putiniści i że Rosja nigdy się nie zmienia.

Jedną z dróg, którą wskazują tacy zwolennicy pracy nad demokratyzacją Rosji jak Edward Lucas, brytyjski dziennikarz, jest zaangażowanie rosyjskiej diaspory, gdyż wielu Rosjan wrogo nastawionych do imperialnych ambicji Putina wyemigrowało na Zachód lub do państw Azji Środkowej. Innym pomysłem wartym rozważenia jest uniwersytet dla młodych Rosjan i Białorusinów, którzy w przyszłości mogą się stać nowymi elitami swoich narodów. Oba te pomysły może sfinansować budżet Unii – te pomysły regularnie powracają w Brukseli.

Sukces demokratycznej Ukrainy może odegrać tu kluczową rolę: pokaże, że zbliżone historycznie do rosyjskiego społeczeństwo przeszło drogę od sowietyzacji i oligarchii do demokracji (choć historyczne różnice między oboma społeczeństwami też oczywiście trzeba mieć na uwadze). To właśnie zwrot ku demokracji w Ukrainie i perspektywa zarażenia się demokratycznymi aspiracjami były jednymi z czynników powodujących interwencje Putina w 2014 i 2022 r.

DEZINTEGRACJA

Inne pomysły na potencjalne elementy unijnej polityki wobec Rosji to wspieranie jej rozpadu lub federalizacji. Zwolennicy uważają, że klęska Rosji wyzwoli dążenie do niepodległości pozostałych mniejszości etnicznych, idąc w ślady państw Azji Środkowej, które wyłoniły się z upadku Związku Radzieckiego trzy dekady temu. Politykę tę wydaje się wspierać Ukraina. Eurodeputowana Anna Fotyga z grupy politycznej Europejskich Konserwatystów i Reformatorów zorganizowała niedawno w PE konferencję prezentującą wszystkie narody wchodzące w skład Rosji i myślące o niepodległości.

Za najbardziej prawdopodobne uważa się odłączenie Czeczenii, Tatarstanu i Baszkortostanu. Nawiasem mówiąc, ideę tę propagował Brzeziński, który w „Wielkiej szachownicy” pisał, że Konfederacja Rosyjska mogłaby się składać z Rosji Europejskiej, Republiki Syberyjskiej i Republiki Daleko-wschodniej.

Należy jednak podkreślić, że wiele osób na Zachodzie będzie prze-

ciwnych pomysłowi aktywnego zaangażowania się w rozbięcie Rosji jako sprzecznemu z ogólnymi zasadami UE o nieingerencji. Waszyngton również może być niechętny – prezydenci George H.W. Bush i Bill Clinton, obawiając się gwałtownego rozpadu Rosji (głównie ze względu na rosnącą w takim przypadku niepewność nuklearną), raczej wspierali rosyjskich przywódców próbujących utrzymać „autonomiczne republiki” wewnątrz kraju. Istnieje też łagodniejsza wersja tego scenariusza – federalizacja Rosji. Obecnie, nawet jeśli kraj ten formalnie jest federacją, w praktyce jest scentralizowany, z niewielką realną autonomią dla jego części składowych.

DEIMPERIALIZACJA

Oba powyższe procesy muszą doprowadzić do trzeciego: deimperializacji. W tej sprawie panuje absolutna zgoda, choć to w gruncie rzeczy projekt kulturowy, a nie polityczny, więc trudny do planowania i autonomiczny wobec polityki. Dziś wydaje się, że o ile Putinowi nie udało się uczynić ze swojej „operacji specjalnej” dzieła ogólnonarodowego bliskiego stalinowskiej wojnie ojczyźnianej, to społeczeństwo rosyjskie albo popiera wojnę, albo jest wobec niej obojętne. To właśnie w społeczeństwie rosyjskim musi nastąpić proces deimperializacji, porzucenia chęci kolonizacji sąsiadów i uznania swoich win w sensie kryminalnym, politycznym, moralnym i metafizycznym (by posłużyć się rozróżnieniem Karla Jaspersa).

„Każdy student historii wie, że Rosja była generalnie związana z Europą, przynajmniej od XV wieku. Tak więc duża część wielkiej historii Europy dotyczyła Rosji, a w Rosji zawsze istniało to ambiwalentne poczucie życia w wyjątkowym niebezpieczeństwie ze strony Europy, ale także posiadania wyjątkowego związku kulturowego z Europą. Z jednej strony Rosja chciała przejąć europejską kulturę, ale z drugiej strony postrzegała siebie jako trzeci Rzym, który pomoże zdefiniować Europę” – mówi w rozmowie z „The Economist” Kissinger. Deimperializacja może się więc udać tylko, jeśli to poczucie związku z Europą jest trwałe. Jeśli jednak, jak ostrzega nas Milan Kundera w „Tragedii Europy Środkowej”, Rosja to inna cywilizacja, to te pomysły są skazane na porażkę.

Część powyższego tekstu opiera się na analizie, którą przygotowałem dla „Visegrad Insight”. ●



***Michał Matlak** – doktor nauk politycznych i społecznych, absolwent Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego we Florencji, stały współpracownik „Kultury Liberalnej”. Pracuje w Parlamencie Europejskim, ekspert ds. relacji religii i polityki oraz spraw instytucjonalnych Unii Europejskiej

FOT. ADRIANNA BOCHENEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Adam Michnik poleca **Czy Federacja Rosyjska dożyje do 2024 roku?**

PESYMIŚCI BEZ DOKTRYNY, LUDZIE SMUTNI BEZ POCIECHY

Demokracja i wolność obywatelska jawią się milionom Rosjan jako fiksję właściwe ludzom Zachodu.

Jarosław Bratkiewicz*

• Pionierzy w Moskwie
na pl. Czerwonym, 21 maja 2023 r.

FOT. SOFIA SANDURSKAYA/AP

Pod koniec lat 60. rosyjski dysydent Andriej Amalrik wydał w samizdacie esej „Czy Związek Sowiecki dożyje do 1984 roku?”. ZSRR do owego roku dotrwał. A zarazem sprawujący przywództwo w latach 1984-85 Konstantin Czernienko, schorowany i z trudem pojmujący, co się wokół niego dzieje, szczególnie uosabiał demencyjność systemu sowieckiego pod rządami gerontokracji. Powiadano, że zwykły przemawiać do trzech naraz mikrofonów: jednego się trzymał, żeby nie upaść, z drugiego nawiewano mu tlen, z trzeciego suflowano, co ma mówić.

Po jego śmierci nastał Gorbaczow, a pięriestrojka wymościła katafalk, na którym legło przytłoczone brzemieniem antynomii imperium sowieckie.

Dzieje Rosji (Rusi Moskiewskiej) podążały drogą rekonkwisty tego, co w XIII wieku podbili Mongołowie. Na wschodzie Moskwa zawłasczyła zbrojnie ogromne obsza-

ry, w większości nieruskie, które kontrolowali następcy Czyngis-chana. Na zachodzie kierowała nią doktryna „zbierania ziem ruskich”, które znalazły się w monarchii Jagiellonów.

Aby dozorować rozszerzające się włości, władcy Moskwy umacniali swą władzę, co w miarę kolejnych ich podbojów spiętrzało samowładcze prerogatywy carów. Tak się w Rosji napędzały współbieżne tendencje zawłaszczania terytorialnego i autokratyzacji władzy. Rozrost państwa rosyjskiego implikował bezmiar panującego w nim samowładztwa.

Wklepane w obręcz samodzierżawia i upańszczyżnione w każdym przejawie życia terytoria i ludność w granicach imperium rosyjskiego wyprano z biegiem dzieścioleci z cech własnych. Wspominał Jan Parandowski swoje obcowanie z Rosją:

„Odczuwało się zewsząd »unynije«. Jest to jakiś smutek, melancholia, tęsknota za czymś nieuświadomionym i nieosiągalnym, przekonanie o bezużyteczności wysiłków ludzkich – apoteoza bierności. Tęsknota

i melancholia wieją z tych białych szmatów ziemi, schowanych pod całunem śniegu. Są tam pesymiści bez doktryny, ludzie smutni bez pociechy”.

Dla ludzi o takim profilu kulturowo-mentalnym demokracja i wolność obywatelska jawią się jako niepojętości i fiksję właściwie dla ludzi Zachodu, których zbiesił nadmiar dobrobytu („ot żyra biesjatsa”). Rozlazłość i beznadziejność bytu rosyjskiego oporządzić mogą i pchnąć ku wielkim celom tylko wola samodzierżcy i drakońska dyscyplina przezeń narzucona. Zatem nie demokracja. Dlatego „pesymistów bez doktryny, ludzi smutnych bez pociechy” raczej zniesmaczyła próba chaotycznego ludowładztwa w postaci Republiki Rosyjskiej z 1917 roku, niebawem obalonej przez bolszewików. Naprawdę zaś rozentuzjasmował ich stalinizm.

Próby, żeby wdrożyć porządki demokratyczne w Rosji w 1917 roku po upadku caratu, przyniosły – niczym nieokiełznane wody odwilżowe – wszechrosyjski potop dezorganizacji i chaosu. Niepodobna było rządzić demokratycznie krajem, gdzie tradycje ludowładztwa ograniczyły się do lichej wersji ukonstytucjonowanego samodzierżawia po 1905 roku. Gdzie – wyjąwszy wąskie elity – nie pojmowano, czym jest wolność obywatelska; wolność w Rosji zazwyczaj przedzierzgała się w „wolię”: rozhasanie pijackie i zbójckie. Potwierdziły się przewidywania Monteskiusza: „W naturze republiki jest, aby obejmowała jedynie mały obszar ziemi; inaczej nie może prawie istnieć”.

Grawitacja 1/8 masy lądowej Ziemi, jakie stanowiła Rosja pod wodzą carów oraz genseków sowieckich, ciążyła, w postaci despotyzmu, powszechnej poddańczości, mesjanizmu i agresji, nad dziejami rosyjskimi i radzieckimi. Stalin upajał się ciężarem gatunkowym swego imperium, w którym – kosztem odzieży, żywności, mieszkań – zwiększał się w postępie geometrycznym tabor pancerno-motorowy.

Gdy podczas czystek w połowie lat 30. wysokiej rangi enkawudzista lekliwie wyluszczał Stalinowi problem z przymuszeniem niektórych komilitonów Lenina, by wyznali, że zawsze spiskowali przeciw leninizmowi, Geniusz Wszech czasów nagle przerwał mu pytaniem: „Ile waży Związek Sowiecki?”. Zrazu funkcjonariusz po-



myślał, że Stalina naszedł przyływ figlar-
ności, i gotów był zachichotać służalczo. Ale
spostrzegł, że Stalin wcale nie żartuje, prze-
nikliwie patrzy na niego. Wyraźnie oczekuje
poważnej odpowiedzi.

Stropiony enkawudzista odparł tedy, że
ciężar ZSRR wyraża się w wartościach nie-
wycielalnych, astronomicznych. Skoro tak
– skonkludował Stalin – „to czy ktokolwiek
może wytrzymać nacisk tego astronomicz-
nego ciężaru?”. Zaiste, pod ciężarem tym
aresztowani w ZSRR w latach 1936-38 set-
kami tysięcy przyznawali się do winy i gi-
nęli.

Wszystkie te cyklopowe parametry:
kontynentalny obszar, dostęp
do kilkunastu mórz i oceanów,
niezmierzone zasoby naturalne itd., itp.
obciążają od kilku stuleci psychikę rosyjską
gigantomanią w poczynaniach, wylewają
się obsesjami uniwersalistycznymi i zgo-
ła kosmogonicznymi.

Rosja myśli i działa nie tylko w skali kon-
tynentów i całego globu; jej myśl historiozo-
ficzna z przełomu XIX i XX wieku parla już
ku przestrzeni międzygwiazdnej (przyczynił
się do tego Konstanty Ciolkowski, zruszczo-
ny Polak – jego ideami inspirował się Sier-
giej Korolow, twórca sowieckiej kosmonau-
tyki). Stąd ludzie radzieccy potraktowali ja-
ko oczywistość to, że w 1961 roku obywatel
ZSRR, Jurij Gagarin, jako pierwszy człowiek
poleciał w kosmos.

Rozpad ZSRR w 1991 roku dla przytła-
czającej większości Rosjan oznaczał kata-
strofę cywilizacyjną, z której się zrodziła,
trwającą przez okres rządów Borysa Jelcy-
na „wielka rewolucja kryminalna”, kolejne
upostaciowienie smuty („czasów zamętu”).
Zresztą i Putin uznał upadek ZSRR za kata-
klizm dziejowy.

Podjęte po 1991 roku usiłowania, aby zde-
mokratyzować Rosję i urynkować jej go-
spodarkę, ekipa Jelcyna urzeczywistniała
mechanistycznie i naśladowczo. Imitowa-
ła zwłaszcza mechanizmy polskiej „szoko-
wej terapii” bez uwzględnienia licznych róż-
nic kulturowych i historycznych między Ro-
sją a Polską. Co się udało rządowi solidar-
nościowemu w Polsce, w Rosji rządzonej
przez „zdemokratyzowanych” bolszewików,
z ich doktrynerskim pedantyzmem i rewo-
lucyjną kategorycznością, po prostu spłaj-
towało.

Niepowodzenia reformatorskie w go-
spodarce, wraz z dramatycznymi konfliktami
– starciem zbrojnym między ośrodkiem
prezydenckim a poradziecką Radą Najwyż-
szą, konfliktem w Czeczenii itd. – utwier-
dzały ludność, iż jakiś dopust dziejowy za-
mącił utrwaloną w czasach sowieckich har-
monię rzeczy.

Przy kołowaniu dziejowym, kiedy świat
codzienny pospolitego człowieka ucha-
otycznia się i dezorientuje go, stary reżim
– nawet jeśli uchodził za srogi i nie przele-
wało się w nim – jakoś nadobnie, uswoj-
sza się.

Stalinizm Rosjanie często metaforyzo-
wali jako supremację herszta wszechso-
wieckiej przestępczości zorganizowanej
(Wielikij Pachan), ale przynajmniej były
znane wtedy reguły gry, jakie narzucał. Cza-
sy „demokracji” za Jelcyna, przez zwykłych
ludzi ochrzczonej jako „dier’mokratija” (laj-
nokracja), rozczłonkowały zwarty despo-
tyzm sowiecki na wielość lokalnych despo-
tyzmów o takichż zapędach przestępczych,
ale działających nieobliczalnie, bez żadnych
zrozumiałych zasad.

Jeśli dawniej człowieka sowieckiego nę-
kała okazjonalnie „góra” w postaci bezpie-
ki i innych służb, to teraz obywatela „demo-
kratycznej Rosji” ze wszech stron szarpa-
ły zagony kryminalnych „ochroniarzy” i wy-
ludzaczy na usługach nowo powstałego oli-
garchatu rosyjskiego („klanów”).

Rządy Putina utwierdzały się pod
hasłami „dyktatury prawa” i stabili-
zacji (prawa i sprawiedliwości), nade
wszystko zaś odbudowy majestatu wielko-
mocarstwowego i adekwatnego nagłośnie-
nia tego w propagandzie telewizyjnej.

Zapewne niejednemu czytelnikowi przy-
pomina to coś nader swojskiego. Rzeczywi-
ście, doszedłszy do władzy, pisowcy z jed-
nej strony typali wrogim okiem na „kacap-
stwo” usiłujące panoszyć się na dawnych
ziemiach kresowych Najjaśniejszej RP (Bia-
łoruś, Ukraina); z drugiej zapożyczali trady-
cjonalistyczne wzorce putinowskiej bolsze-
wii, zarówno taktykę zamordyzmu, jak też
mentalnej zombizacji ludności za pośred-
nictwem rządowej TV.

Nadto Jarosław Kaczyński uwodzieliński
trzepotał rzeszami na widok Marine Le Pen,
Orbána i innych eurosceptyków, faktycz-
nych jurgielników Putina. Nie przepuścił
okazji, żeby w tym kręgu przyklepać sztamię
na „warszawskim szczycie” sił antyeuropej-
skich w grudniu 2021 roku. A dwa miesiące
później Rosja najechała Ukrainę.

Przez lata panowania PiS-u zwoje mó-
zgowie i zasoby intelektualno-kulturowe
elektoratu pisowskiego wapniały po eura-
zjatycku. Głosujący na PiS „człowiek anty-
sowiecki” myśli i gada jota w jotę to, co wy-
wrzaskuje „człowiek sowiecki” w putinow-
skiej Rosji. Wszak pisowcy rozsmakowują
się, jak to od wieków czyni Rosja, we wrogo-
ści do „zgnilego Zachodu”.

Ukraiński kanał ICTV pokazał, jak do
świata zachodniego ustosunkowują się
w ulicznej sondzie przechodnie rosyjscy. Ich
zdaniem ludzie Zachodu „zadzroszczą nam
[Rosjanom] mocy i niezwykłoności. I na-
szej duszy rosyjskiej. Ponieważ takiej duszy

Putina czeka los albo Pawła I, albo Mikołaja I, albo Mikołaja II.

A Rosję starcia między radykalnymi szowinistami, kremłowską kamarylą zwolenników status quo i demokratami

nie ma na Zachodzie. Tam wszystko spro-
wadza się do pieniędzy. A my potrafimy ko-
chać, przebaczać i cieszyć się nawet z dro-
biażgów” – powiada jedna z respondentek.
„Rosja to kraj darowany przez Boga” – na-
pusza się inna i stygmatyzuje Zachód: „Cała
reszta, zwłaszcza Ameryka, to hurma alko-
holików, bandytów, narkomanów”. „Rosja
to wielki i zasobny kraj – wtóruje jakiś Ro-
sjanin. – I nikt nas, żadnymi sankcjami, nie
zmusi do padnięcia na kolana”.

W innej sondzie ulicznej Rosjanka bul-
goce gniewnie, że Europejczycy „mają
85 rodzajów płci [sic!] zamiast naturalnego
podziału na kobiety i mężczyzn. Mają do-
my publiczne dla zoofilów. Sprawili, że pe-
dofilia stała się legalna, starają się zalegali-
zować także kazirodztwo. W Unii zmuszają
dzieci, żeby wybierały sobie płeć”.

Cóż, w Rosji niedorzeczności wygłasza
się z imperialnym rozmachem, nie to co
prowincjonalne głądy pisowców o „pedało-
-lewakach”, którzy szarogęszą się w UE.

Napaść na Ukrainę, kiedy dość szybko
uwidoczniła się niezdolność Rosji
do blitzkriego, falami powrotnymi
poczęła uderzać w nią samą. Pod ich wpły-
wem targana nadto wieloma sprzecznościami
wewnętrznymi Federacja Rosyjska tym
bardziej się rozwibrowała. Bo kiedy pań-
stwo o samodzielnym systemie władzy
idzie na wojnę, to musi ją wygrać. Przegrana
stwarza ogromne ryzyko dla autokracji –
jak to, nasz przywódca, mesjasz narodowy,
groźny dla wrogów, ojcowski dla swoich,
miałby umoczyć?

A jednak... Pawła I, cara ekstrawagan-
ckiego, który srożył się na wszystkich naoko-
ło, wojny wypowiadał, komu się dało, zgła-
dzili dworacy umęczeni jego szaleństwami.
Mikołaj I, który obsesyjnie musztrował swą
lejbguardię wraz z całym społeczeństwem,
w 1853 roku sprowokował wojnę krym-
ską, którą Rosja sromotnie przegrała, car
zaś szedł do grobu kuchennymi schodami
(przebąkiwano o samobójstwie).

Mikołaj II, w obliczu kryzysu i niepoko-
jów w cesarstwie, za panaceum uznał „ma-
łą zwycięską wojenkę”, wypowiedział ją

wzrastającej potędze, Japonii, i haniebnie
się przeliczył. Przegrana z Japonią rozpęta-
ła cały ciąg wydarzeń, które przez rewolu-
cję 1905 roku i niezbyt chlubny udział Ro-
sji w I wojnie światowej doprowadziły do
upadku caratu w 1917 roku. A cara i jego ro-
dzinę rozstrzelali bolszewicy.

Czy fatalne dla carskiej Rosji klęski
w wojnie z Japonią i porażki w I wojnie, któ-
re rozklekotały system władzy, antycypu-
ją to, co wydarzyć się może w Rosji wsku-
tek jej niepowodzeń w Ukrainie? Dmitrij
Trienin, dawny szef zamkniętego po wybu-
chu wojny rosyjsko-amerykańskiego Cen-
trum Carnegie w Moskwie, twierdzi, że woj-
na z Ukrainą „otworzyła zupełnie nowy
etap rozwoju wewnętrznego Rosji. Zmienia-
ją się jej granice, demografia, system ekono-
miczny, stosunki i postawy społeczne, śro-
dowisko polityczne, ideologiczne dezyde-
raty itd. Federacja Rosyjska »w pierwszym
wydaniu« zakończyła swój żywot, kraj prze-
chodzi do jakościowo nowego stanu, które-
go kontury już się uwidoczniły”.

Cóż to za kontury? Przez klechdy rosyj-
skie przewija się obraz witezia stojącego
na rozstajach, gdzie kamienne drogow ska-
zy informują: na lewo pojedziesz, w mokra-
dlach utoniesz; na prawo ruszysz, wilki cię
rozszarpia. Na rozdrożu stoi dzisiejsza Ro-
sja, którą bezwład terytorialno-kulturowy
i kwitny imperiały rozleniwiają przy
próbach przeobrażenia się w demokratycz-
ne państwo narodowe. A zarazem owa ocię-

żałość, inercja, rutynowe „napliwaciel-
stwo”, dzika korupcja, utrudniają efektyw-
ne działanie pod postacią mocarstwa. Czyli:
ani tu (bo mokradła), ani tam (bo wilki).

Trzydzieści lat temu rosyjski dysydent
i politemigrant Aleksander Janow
przedstawił ideę uzdrowienia Rosji
posowieckiej pod międzynarodowym nad-
zorem. Wzoru dostarczył reżim okupacyjny
zachodnich aliantów nad Niemcami po 1945
roku, który wyciągnął ich z nazizmu.

Ideę Janowa w latach 90. przemilcza-
no, zważywszy na niechęć Zachodu do eks-
ponowania zwycięstwa w zimnej wojnie
i oczywiście z uwagi na opór „demokratycz-
nej” Rosji jelcynowskiej. Tym niemniej Ja-
now przestrzegł, że bez nadzoru Zachodu
Rosję ogarnie „syndrom weimarski”. I nie-
zbyt się mylił.

Dziś amerykański politolog ukraińskie-
go pochodzenia Aleksander Motyl sugeru-
je, aby poważnie się zastanowić, co się sta-
nie z Rosją w razie jej porażki w Ukrainie.
Nieskuteczny ekonomicznie, politycznie,
a zwłaszcza militarnie samodzielną tra-
ci rację bytu w systemie autokratyczno-im-
perialnym.

Putina czeka tedy los albo Pawła I, albo
Mikołaja I, albo Mikołaja II. Jego upadek na
pewno roznamiętni starcia między radykal-
nymi szowinistami rosyjskimi, domagają-
cymi się bardziej stanowczych działań (mo-
że nuklearnych?) wobec Ukrainy i Zachodu,
obrońcami status quo, czyli kamary-
lą kremłowską, która może się wyrzec Puti-
na, wreszcie zwolennikami demokracji i
uzachodnienia Rosji.

Konflikty między nimi rozedrgać mogą
Rosję. Ospala masa ludzka, która zapewnia-
ła „długie trwanie” poprzednim wcieleniom
kraju i na której od ćwierć wieku majesta-
tycznie sunie wierzchem ekipa putinowska,
zderzy się przede wszystkim z oczywistą an-
tytezą. Są nią nie „arcypatrioci” i szowiniści,
ale te rosyjskie elity antyputinowskie, które
przejęły pałeczkę od Rosji europejskiej: kon-
stytucyjnej po 1905 roku, demokratycznej
w 1917 roku i wreszcie pieriestrojkowej, gor-
baczowowskiej i jelcynowskiej. Bo w końcu

historię napędzają świadomi, zdetermino-
wani i dobrze zorganizowani ludzie – bywa,
że nieliczni.

W okresach smuty moloch rosyjski bez-
wiednie rozśrodkowywały tendencje sepa-
ratystyczne. Uwidoczniły się one w Rosji tuż
po rozpadzie ZSRR. I zwiastowały, że lokal-
ne podmioty FR, o wielkości terytorialnej
i ludności dorównującej wielu państwom
na świecie, wynurzywszy się jako byty pań-
stwowe, mogłyby wykrzesać z siebie działa-
nia twórcze, intensywne – w odróżnieniu od
ekstensywnej praktyki gnijących imperiów.

Toteż znów bakcył secesji może się ujaw-
nić w Tatarstanie, Baszkortostanie, republi-
kach autonomicznych Kaukazu Północne-
go, na czele z Czeczenią, w Kraju Nadmor-
skim z Władywostokiem i na obszarach
przyległych do Chin, które w latach 1920-
1922 stanowiły odrębne państwo: Republikę
Dalekowschodnią; może uaktywnić zasob-
ne w surowce mineralne Jakucję oraz Czu-
kotkę.

(Powiadają, że na jakimś zebraniu par-
tyjnym w czasach Breżniewa wystąpił Czuk-
cza, który gniewnie pastwił się nad carem
Aleksandrem II. Zapytano, dlaczego za cel
swych złorzeczeń wybrał akurat tego cara,
oczywiście godnego potępienia jak cały ca-
rat. Odpowiedź była bezzwłoczna: bo Alek-
sander II sprzedał Amerykanom Alaskę, ale
nie sprzedał Czukotki).

Rozczłonkowywanie się Rosji może po-
ciągnąć za sobą wojnę domową. Doświad-
czenia wojny po bolszewickim przewro-
cie 1917 roku po dziś dzień przejmują gro-
zą niczym pamięć o wulkanie, który zdeto-
nował najdziksze i krwiożerce instynkty
Rosjan, z milionami ofiar. Memento tamtej
wojny monstualnie, gdy uwzględni się, że
ewentualny nowy konflikt wewnątrzrosyj-
ski toczyłby się na obszarze nasyconym bro-
nią nuklearną.

Każdy kraj jest uwikłany w swą historię,
która kondensuje się jako kultura: zestaw
skliszowanych idei, urazów i fobii, ambicji
i porywów. Które często kamienią w po-
staci zlogów tradycjonalistycznych. Moder-
nizacja na tym polega, żeby złomować sen-
timentalne i liryczne powaby tradycjona-
lizmu, czyli najmniej rozwojowego rygoru
zachowań społecznych w dziejach.

Z tym problemem bezskutecznie mierzy
się Rosja. A dźwięczy w tym memento dla
Polski tradycjonalistycznej, pisowskiej. ●



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jarosław Bratkiewicz

• ur. w 1955 r., politolog, były dyplomata.
Działal w podziemnej Solidarności. Od 1992 r.
w MSZ, w latach 1996-2001 ambasador na Ło-
twie, a w latach 2010-2015 dyrektor polityczny
tego ministerstwa.

EWA KOBYLIŃSKA-DEHE



MATKA MARZĄCA, NIE MARTWA

Rozmowa Ewy Kalety z Ewą Kobylńską-Dehe
"Nie chcę być jak moja matka", opublikowana
w poprzednim numerze, ukazała się w wersji
nieautoryzowanej, włącznie z tytułem, w do-
datku wkraść się w nią błąd - przywoływany
przez rozmówczynię Peter Sloterdijk mówi
nie o komunitaryzmie, lecz o koimunitizmie.
Panią Ewę Kobylńską-Dehe przepraszamy.

• Zachodni Brzeg,
młodzi przyjaciele - ultraortodoksyjny Żyd i Palestyńczyk
FOT. ODED BALILTY/AP



A GDYBYŚMY SIĘ TAK WSZYSTCY DOGADALI

Uważam, że wy i my, Żydzi i Polacy,
mamy bardzo jasną wspólną strategię

Z DAVIDEM HARRISEM*,
JEDNYM Z NAJBARDZIEJ
ZASŁUŻONYCH LIDERÓW SPOŁECZNOŚCI
ŻYDOWSKIEJ, ROZMAWIA **MATEUSZ
MAZZINI**

Trudno dziś być Żydem w USA? Tylko w ostatnich dwóch latach liczba ataków antysemitycznych wzrosła o jedną trzecią, tak pokazują dane FBI.

– Fakty to fakty, nie można z nimi polemizować. A statystyki FBI są niepełne. Opierają się na raportach z poszczególnych miast, a nie wszystkie miasta zgłaszają każdy incydent antysemityczny. Chociaż, mówiąc szczerze, to wcale nie te dane mnie najbardziej przerażają.

Nie? Trudno mi sobie wyobrazić gorsze.
– Wyciągnął pan z raportów FBI najgłośniejsze liczby. A Biuro mówi też, że ponad połowa wszystkich przestępstw z nienawiści motywowanych religijnie bierze na cel Żydów. Innymi słowy, co drugi atak z powodu niechęci do czyjejś religii to atak na społeczność stanowiącą 2,4 proc. wszystkich mieszkańców USA. Żyd w tym kraju ma dwadzieścia razy większe szanse na bycie ofiarą niż przedstawiciel jakiegokolwiek innej grupy religijnej. Zwłaszcza jeśli jest, jak to się oficjalnie definiuje, „łatwo identyfikowalny” – bo np. nosi jarmułkę.



Skąd ten nagły wzrost? Nie wierzę, że to tylko ta słynna polaryzacja polityczna. – Takie rzeczy nigdy nie mają jednej przyczyny, tak samo jak nie ma jednej szpileczki na wszystkie rodzaje antysemityzmu. Amerykanie mają coraz mniejszą świadomość na temat Holocaustu – jest coraz mniej Ocalałych, coraz mniej tych, którzy wyzwali Europę. Nie ma kto opowiedzieć tych historii, a one są ważne. Nie tylko z powodu tego, co wydarzyło się tym ludziom, ale też z powodu równi pochyłej, jaką jest antysemityzm, jak się rozwija, poczynawszy od słów. Bo antysemityzm nie zaczął się w Auschwitz. Jego początkiem było dehumanizowanie Żydów, odbieranie im prawa do życia w społeczeństwach, w których egzystowali od setek lat. To zawsze była pierwsza lekcja z pamięci o Zagładzie.

Drugi problem to media społecznościowe. Mają niezaprzeczalnie sporo zalet, sam je lubię jako dziadek, który nie musi już czekać miesiącami na listy ze zdjęciami wnuków. Ale jednocześnie stały się wyrzutnią, jakimś rodzajem przylądka Canaveral dla każdej idiotycznej teorii spiskowej, która istnieje na świecie.

Po trzecie, historia jako dziedzina jest po prostu coraz bardziej bez znaczenia, coraz mniej ważna w społeczeństwie. Rośnie liczba ludzi, którzy nie mają pojęcia, czym było Auschwitz.

A po czwarte, spada zaufanie do instytucji i wartości liberalnej demokracji. Jeśli ktokolwiek kiedykolwiek wierzył – jak ja – że powstanie uniwersalna szpileczka na antysemityzm, to miała nią być demokracja liberalna. Ale taka prawdziwie liberalna i prawdziwie demokratyczna, z równością i wzajemnym szacunkiem dla wszystkich.

Czyli – pożyczając od Marksa i Fukuyamy – koniec historii miał przy okazji skończyć antysemityzm? – Nie uważam, że dałoby się go wyeliminować do końca, ale miała wyrzucić go na margines. Zrobić z niego tabu. Ale zaufanie do demokratycznych instytucji zostało podkopane – przez wiele rzeczy, wiadomo. Pandemia, polaryzacja, ekstremizm – wszystko to sprawia, że więcej jest miejsca dla głosów radykalnych. Po każdej stronie. O innych krajach się nie wypowiem, ale w USA to widać bardzo dokładnie. Na lewym skrzydle Partii Demokratycznej są antysemici, którzy zasiadają w Kongresie. I na prawym skrzydle Partii Republikańskiej tak samo.

A którego się pan boi bardziej? Antysemityzmu z lewa czy z prawa? – Pyta pan o wymiar polityczny, a istnieją inne źródła antysemityzmu, nie aż tak łatwe do zidentyfikowania jak neonazistowska skrajna prawica czy lewicowa nawiązanie do syjonizmu albo państwa Izrael. Bardzo wiele ataków na Żydów w USA ma źródła w społecznościach afroamerykańskich. Wciąż ogromnym powodem do niepokoju jest dżihadizm. Przeciwnie w Europie prawie wszystkie śmiertelne ataki antysemitów – we Francji, Belgii, Danii, Bułgarii – były w imię dżihadu. Jeśli pan pogadają z Żydami w dzielnicach, w których jest ich najwięcej – na nowojorskim Williamsburgu na przykład – to wcale panu nie powiedzą, że ich martwią Proud Boys czy radykałowie, którzy szli z pochodniami przez kampus w Charlottesville. Oni się przejmują społecznościami kolorowymi. Tu wyraźnie podkreślam – chodzi nie o całe społeczności, ale o jednostki, które się z nich wywodzą.

Strasznie trudno dyskutować o takich sprawach, bo tu ścierają się mniejszości z mniejszościami. I jedni, i drudzy byli obiektami rasistowskich prześladowań, cierpieli z powodu nierówności. A jednocześnie z tych grup wywodzą się sprawcy zbrodni na innych mniejszościach.

Ale skoro pan bardzo chce rozmawiać o ramach politycznych.... W USA – odwrotnie niż np. we Francji – największe zagrożenie fizyczne dla Żydów płynie ze skrajnej prawicy. Natomiast największe zagrożenie kulturowe i intelektualne idzie ze skrajnej lewicy. Gdyby zapytać o to żydowskich studentów na amerykańskich kampusach – a wiem, bo prowadziłem takie rozmowy regularnie – to bardzo niewielu by powiedziało, że boi się przemarszu neonazistów pod oknami ich akademików. Oni znacznie bardziej boją się tego, co jest wykładane przez niektórych prowadzących, co robią na uczelniach, niektóre grupy aktywistyczne, uchwalając rezolucje nazywające Izrael państwem pariasów, przez co wszyscy, którzy je popierają, sami muszą nimi być. To się oczywiście rozciąga dużo dalej niż tylko na kampusy, ale kampusy martwią najbardziej, bo każdy przyszedł lider Ameryki przechodzi przez któryś z nich.

Boi się pan, że ta przemoc intelektualna przerodzi się w fizyczną? – Odpowiem nie wprost. W niedawnym wywiadzie w „Le Figaro” przewidziałem wielką erupcję przemocy społecznej w USA.

Co to jest „przemoc społeczna”? – Przemoc napędzana zeitgeistem, wojnami kulturowymi. Weźmy wybuch gniewu i przemocy po śmierci czarnoskórego George’a Floyda uduszonego przez poli-

cjanta. Wtedy było kilka przypadków zdemolowania synagog, bo uznano je za przedłużenie państwa Izrael. Miejsca kultu religijnego celem przemocy politycznej – to budzi oczywiste skojarzenia.

Takie iskry, gdy zbierze się ich więcej, mogą wywołać ogień przemocy już nie motywowanej frustracją czy kryminalnie, lecz politycznej. A historia powinna nas już nauczyć, że zawsze, kiedy mamy do czynienia z podobną przemocą czy niestabilnością, Żydzi prędzej czy później są w nią wciągani. Przez jedną czy drugą stronę, przez obie – nie ma znaczenia.

Jeśli Trump wróci do Białego Domu... – ...to może być jedna z tych isker.

Nawet więcej niż iskra. On wielokrotnie mówił rzeczy, z których wnioskować można, że jego zdaniem miejsce amerykańskich Żydów jest nie w USA, tylko w Izraelu. – Nie uważam go za antysemitę. Trump ma córkę, która przeszła na judaizm, oboje z Jaredem Kushnerem traktują swoją żydowską tożsamość poważnie. Mają trójkę dzieci, które wychowują w duchu ortodoksyjnego judaizmu. Trump jest z nimi bardzo blisko. Poza tym w czasie swoich czterech lat w Białym Domu okazał się wielkim przyjacielem Izraela. Przeniósł ambasadę do Jerozolimy, co ma niebagatelne znaczenie, zwłaszcza że wielu prezydentów to obiecywało, a on zrealizował. Nadzorował Porozumienia Abrahamowe, które powinny były mu dać pokojowego Nobla. Cztery traktaty pokojowe? Cztery porozumienia o normalizacji stosunków, których nikt nie był w stanie sobie wyobrazić? Ani administracja Obamy, ani nasi partnerzy z Europy. Nikt.

■

Egipt, Jordania, Arabia Saudyjska, Emiraty, Maroko... Kraje arabskie zrozumiały, że dalsze oddzielanie się od Izraela nie ma sensu.

Pora na kolejne, w dalszej kolejności nawet na Syrię, Iran, Irak

Więc nazwanie Trumpa antysemitą byłoby nieuczciwe. Ale wiele rzeczy, które powiedział albo zrobił, w rodzaju kolacji z rapem Kanyem Westem i komentatorem celebrytą Nickiem Fuentesem, dwoma bardzo prominentnymi antysemitami, pozwoliły antysemitom uwierzyć, że mają znacznie więcej miejsca w przestrzeni publicznej.

Z jednej strony pasmo gestów wobec Izraela, z drugiej wasze własne badanie z 2020 r. wskazało, że 75 proc. Żydów w USA popiera Bidena, a tylko 22 proc. Trumpa. – Od kiedy istnieją nowoczesne sondy – czyli mniej więcej od lat 30. ubiegłego wieku, Żydzi w Stanach głosują w ogromnej większości na Partię Demokratyczną. W 1992 r. Bill Clinton przeciwko George’owi Bushowi dostał prawie 80 proc. poparcia, a najgorszy wynik demokracji to było niecałe 50 proc. Cartera w 1980. A wyjaśnienie tego jest takie, że amerykańscy Żydzi to nie są wyborcy jednej kwestii, którzy kierują się tylko stosunkiem do Izraela. To elektorat taki sam jak każdy inny, tak samo dotknięty zakazami aborcji, prawicowymi nominacjami do sądu najwyższego, katastrofą klimatyczną. Izrael jest ważny, ale nie najważniejszy.

Mówił pan o języku. Kilka lat temu, kiedy na granicy z Meksykiem wybu-

chał kryzys migracyjny, Alexandria Ocasio-Cortez, liderka młodego lewego skrzydła Partii Demokratycznej, nazwała punkty przetrzymywania migrantów obozami koncentracyjnymi. AJC się oburzyło, że to sformułowanie ma tylko jedno znaczenie. Boi się pan, że język Holocaustu zostanie przejęty przez inne grupy i straci swoje pierwotne znaczenie? A może on właśnie powinien być uniwersalizowany? – Jeśli wszystko stanie się Holocaustem, nic nim nie będzie. Jeśli wszystko może być nazwane obozem koncentracyjnym, nic nim już nie jest.

(długa cisza)

Jeśli celem takich zabiegów retorycznych jest uwaga mediów, to owszem, działa – ona to mówi, są setki tweetów, nagłówków, jest uwaga. Ale ostatecznie przynosi skutek odwrotny do zamierzonego, bo przesuwają środek ciężkości debaty. Zamiast rozmawiać o warunkach w tych miejscach, które są pod każdym względem tragiczne, ludzie zaczynają rozmawiać o tym, że Ocasio-Cortez mieszka Mauthausen i Treblinkę z centrami przetrzymywania migrantów. Precyzja wypowiedzi jest ważna.

Ale nie chodzi o samą Ocasio-Cortez. Problem jest szerszy. Choćby w pandemii było mnóstwo zawłaszczania symboliki Holocaustu. Antyszczepionkowcy, którzy nie mogli pracować czy chodzić do restauracji, bo nie mieli certyfikatów, wyciągali żółte gwiazdy i zaczęli siebie określać mianem „współczesnych Żydów”. Jeśli pozwolimy, żeby wszystko było definiowane terminologią związaną z Zagładą i nazizmem, doprowadzimy do rozwodnienia języka. Skrzywimy jego znaczenie i gdzieś później wszyscy za to zapłacimy.

A jakie emocje budzi w panu obecny rząd Izraela, po części populistyczny, po części szowinistyczny, którego lider usiłował zdemontować sąd najwyższy? Szimon Peres nazwał pana kiedyś „ministrem spraw zagranicznych Żydów”. Gdyby dzisiaj zadzwonił telefon z propozycją, żeby został pan ministrem spraw zagranicznych Izraela, co by pan odpowiedział? – W polityce i w dziennikarstwie obowiązuje teoria, że nigdy nie powinno się odpowiadać na hipotetyczne pytanie (*śmiech*). Ale gdybym jako przyjaciel Izraela dostał taką propozycję, powiedziałbym: porozmawiajmy o tych izraelskich sprawach – ale najpierw wyjaśnijmy, dlaczego na świecie nie rozmawiamy o 1400 rakietach wystrzelonych na Izrael kilkanaście dni temu, które wysłały kilkanaście milionów obywateli do schronów? Te rakiety wystrzelili ludzie, których nie obchodzi reforma sądownictwa ani jakość izraelskiej demokracji, tylko zniszczenie państwa żydowskiego. Zapytałbym, czemu nie rozmawiamy o Iranie, który niedawno wzbogacił uran już prawie do poziomu stosowanego w ładunkach nuklearnych, jednocześnie zaopatrując w broń Rosję sięjącą zniszczenie w ukraińskich miastach?

O tym chciałbym najpierw rozmawiać z zagranicznymi komentatorami i politykami, bo uważam, że na liście uniwersalnych priorytetów ludzkie życie powinno znajdować się na czele. Jeśli chodzi o reformę sądownictwa – członkowie mojej własnej rodziny byli na ulicach protestować. Ale te demonstracje są właśnie dowodem siły izraelskiej demokracji i społeczeństwa. Wiadomo, jest tam polaryzacja, podobnie jak w USA czy w Polsce – ale społeczeństwo pokazuje siłę i odporność.

To nie jest tak, że nie martwią mnie te propozycje legislacyjne. Ale skupiam się na tym, że w przeciwieństwie do arabskiej wiosny czy buntu kobiet i młodych w Iranie, kiedy setki tysięcy ludzi wyszło na ulice, rząd Izraela nie zaczął do nich strzelać ani zamykać w więzieniach. Demonstracje są pokojowe, odpowiedź władz taka sama. Izraelczyków dzieli głębokie różnice, ale to, co się tam dzieje, to demokracja na sterach.

To skąd w koalicji partia Żydowska Siła, otwarcie rasistowska?

– Nie mogę się wypowiadać w imieniu Netanjahu, zresztą on bardzo dobrze mówi sam za siebie. Wielu żałuje, że nie mógł skrócić bardziej ku centrum. Ale nie zapominajmy, że on został wybrany w wyborach, że ma poparcie i że to są teraz twarze Izraela.

Zgadzam się, że konsekwencje takiej koalicji są raczej negatywne. Mam jednak sporo wiary w Izrael i uważam, że zdrowy rozsądek z czasem przeważy i obie strony poszukają kompromisu, zamiast narzucać innym swoją wolę.

Pan jest bardzo przekonany o sile izraelskiej demokracji. Ale sporo faktów pokazuje wzrost tendencji antydemokratycznych. Izrael wysłał Zjednoczonym Emiratom Arabskim sprzęt do inwigilacji. Z Izraela na szerszy świat wyszedł Pegasus.

– Nie jestem tu, żeby dobrze mówić o wszystkim, co wychodzi z Izraela, tak samo jak nigdy nie bronilibym wszystkiego, co wychodzi ze Stanów Zjednoczonych. To, że Izrael stał się laboratorium technologii wykorzystywanych przez autokratów, wynika z jednego prostego zjawiska – że jest krajem, który znajduje się w bardzo niebezpiecznym regionie i ma sąsiadów, których trzeba skrupulatnie obserwować. Przez cały czas – żeby o bombach wiedzieć, zanim zostaną wystrzelone, nie po fakcie.

Nie chcę wchodzić w temat wojen kulturowych w Polsce, ale myślę, że akurat taki naród jak wasz, który sporo wie na temat złych sąsiadów i agresywnych zarówno dzisiaj, jak i dawniej, rozumie, o co chodzi. Gdyby Izrael mógł przeznaczyć wszystkie zasoby na znalezienie leku na raka, tamtejsi naukowcy byłiby w awangardzie tego procesu. Ale warunki im na to nie pozwalają. Nie mogą walczyć z rakiem, bo zajmują się politycznym rakiem.

Czyli?

– Chociażby Iranem, który wielokrotnie werbalizował pragnienie całkowitej eliminacji Izraela. Dla wielu to błaża groźba bez konsekwencji, ale Żydzi wiedzą, że kiedy podobne groźby składał Hitler, reszta świata ziewała.

Izrael to państwo o najwyższym na świecie budżecie na badania i rozwój per capita, a fakt, że rozwijają akurat technologie wywiadowcze, jest wypadkową realiów sąsiedztwa.

A dlaczego Izrael tak długo zwlekał z pomocą Ukrainie i nadal angażuje się w nią mniej niż inne kraje? Netanjahu w CNN tłumaczył, że „Izrael ma złożone relacje z Rosją”. Rozumiem te słowa, ale mimo wszystko dziwię się.

– Skoro pan rozumie, to ja nie muszę odpowiadać.

Będę nalegał, bo jako dziennikarz z kraju, który w pomoc Ukrainie zaangażował się ponadprzeciętnie, uważam, że mam prawo pytać o źródła opieszałości Izraela.

– Kilka lat temu prezydent Obama publicznie zadeklarował czerwoną linię wobec konfliktu w Syrii.

Asadowi powiedział, że jeśli ten użyje broni chemicznej, zapłaci ogromną cenę. Pamięta to pan?

Nawet zrobiłem wywiad z Leonem Panettą, który był wtedy sekretarzem obrony.

– To wie pan też, że Asad przekroczył czerwoną linię, i to więcej niż raz. Aż doszło do tego dnia, w którym wszyscy oczekiwali, że Obama wyda siłom powietrznym rozkaz dołączenia do samolotów francuskich i zaatakowania celów w Syrii. Prezydentem Francji był wtedy François Hollande i on już zgodę na atak Francuzów wydał. A Obama mrugnął. Pamiętam doskonale ten dzień, pamiętam odpowiedź Francji. Hollande był absolutnie rozwścieczony amerykańskim zawahaniem. I do dziś w mojej działalności dyplomatycznej ta kwestia nieustannie powraca.

Tylko co to ma wspólnego z Ukrainą?

– To, że wtedy wszyscy powiedzieliśmy: brak ataku na Asada będzie miał dwie konsekwencje. Po pierwsze, Rosja uzyska otwartą drogę do Syrii. Po drugie, wszystkie hasła „Asad musi odejść” straciły jakąkolwiek wiarygodność. A podobno już na polecenie Waszyngtonu i innych rządów agencji nieruchomości szukali mu mieszkania w Dżudzie, Moskwie czy Petersburgu.

Potem wszyscy powtarzali inną mantrę – że jak Rosjanie już wejdą do Syrii, to ugrzęzną jak w bagnie, bo przecież Amerykanie ugrzęźli w Iraku i w Afganistanie. Tymczasem Asad jest tam, gdzie był, Rosjanie nie mają w Syrii problemów – a dla Izraela zmieniło się absolutnie wszystko.

To jest mój argument – że Rosja siedzi na północnej granicy Izraela, a to, co dzieje się w Syrii, ma egzystencjalne znaczenie dla izraelskiego państwa. Po pierwsze, dlatego, że Iran używa Syrii jako kanału eksportu swojej broni i personelu wojskowego, omijając sankcje. Po drugie, przez Syrię przechodzi broń, która potem trafia w ręce Hezbollahu na terenie Libanu. Te czynniki stanowią zagrożenie dla istnienia i izraelskiej armia nie może funkcjonować bez chociaż częściowej znajomości rosyjskich ruchów w Syrii. Inaczej może dojść do jakiegoś nieprzewidzianego incydentu i Izrael znajdzie się w otwartej konfrontacji z Rosją. To warunkuje politykę wobec Moskwy.

A jeśli chodzi o kwestie moralne, to nie mam wątpliwości, że Izrael jest po właściwej stronie historii. Minister spraw zagranicznych Eli Cohen, był niedawno w Kijowie – i by go tam nie było, gdyby Wołodymyr Zelenski nie był pewien, że dostanie więcej niż tylko dobre myśli i modlitwy. Dni, w których zagraniczni politycy jeździli do Kijowa tylko po to, żeby zrobić sobie zdjęcie z Zełenskim, dawno minęły, i jestem przekonany, że szef izraelskiego MSZ nie pojechałby tam teraz z publiczną wizytą, gdyby Izrael nie był gotów pomóc Ukrainie.

Strasznie czarne są barwy pana opisu rzeczywistości wokół Izraela. Widzi pan gdziekolwiek szanse na demilitaryzację, dialog, obniżenie temperatury?

– Tak, ale tylko pod warunkiem poszerzenia zakresu działań po-

kojowych. W 1979 r. wszedł do niego Egipt, pod wieloma względami najważniejszy kraj arabski. W 1994 – Jordania, z którą Izrael ma najdłuższą granicę. Do tej listy trzeba dopisywać kolejne kraje. Sudan może być w tej chwili trudnym partnerem, z racji na toczący się tam konflikt, ale poszerzenie działań pokojowych powinno być tylko kwestią czasu.

Porozumienia Abrahamiczne pokazały, jak ważna jest rola Stanów Zjednoczonych. To nie jest tylko pokój oparty na wartościach, tam był istotny element transakcyjny. Tak samo jak w 1979 r., za czasów Cartera. Dlatego pytanie brzmi, co Amerykanie są w stanie zaoferować jako gwarancje pokojowe. W Maroku rząd poprosił o uznanie kontroli nad Saharą Zachodnią. W Sudanie zażądano zdjęcia z listy krajów wspierających terroryzm i zakończenia procesów sądowych z tym związanych. Emiraty Arab-

wilo – w świecie arabskim narasta frustracja wywołana zachowaniem Palestyńczyków. Coraz częściej pada pytanie: ile jeszcze trzeba będzie czekać, zanim pragmatyzm zastąpi maksymalizm? Liderzy państw arabskich zdają sobie sprawę, że w ostatnich dekadach na stole położono poważne propozycje istnienia dwóch państw, Izraela i Palestyny – za czasów Clintona, Ehuda Baraka, Ehuda Olmerta. A ze strony Palestyńczyków ciągle słyszy się „nie”. Ile jeszcze takich „nie”, zanim padnie jakieś „tak”?

Pozwoli pan, że wrócę na chwilę do Obamy, bo przy całym moim szacunku do niego i jego prezydentury, w tym regionie popełnił sporo poważnych błędów.

To nie jest chyba specjalnie kontrowersyjna opinia.

– To zależy, w dzisiejszej, spolaryzowanej Ameryce jak się powie coś dobrego o Trumpie, to

W Europie pokój zaczął się od węgla i stali. Dlaczego na Bliskim Wschodzie miałby nie zacząć się od energii i środowiska?

skie chciały amerykańskich myśliciów, a od Izraela – porzucenia planów okupacji 20 proc. terytorium Zachodniego Brzegu.

Te kraje rozumiały, że dalsze oddzielanie się od Izraela nie ma sensu. Pora na kolejne, w dalszej kolejności nawet te, które są otwarciem przeciwko Izraelowi, w tym Syrię, Iran, Algierię, Jemen, Irak – choć ten ostatni kraj biorę w nawias, bo jest w tej chwili podzielony i niektóre jego części są bardziej przeciwne Izraelowi niż inne.

A co z Palestyną?

– Nie można udawać, że kwestii Palestyny nie ma. Ale trzeba podkreślić, jak ważna była zmiana paradygmatu w ostatnich latach, głównie za sprawą administracji Trumpa. Chodzi o to, żeby przestać się trzymać niedziałającego modelu przeprowadzania wszystkiego przez polityków w Ramallah [nieformalna stolica Palestyny]. Ramallah od lat jest niereprezentatywne, wetuje wszystkie propozycje i nawet inne kraje arabskie zaczynają mieć tego dość, czują się zakładnikami Palestyńczyków. Z Ramallah wyszło wezwanie do kolejnej intifady, a inne kraje zostały w tę politykę wciągnięte.

Teraz takie kraje jak Zjednoczone Emiraty Arabskie mówią, że nadal chcą osobnego państwa dla Palestyny, ale nie są już gotowe poświęcić swoich głównych interesów związanych z Izraelem. Mogę to powiedzieć otwarcie, bo w większości z tych krajów byłem osobiście i wiele osób mi to mó-

nie wolno chwalić Obamy – i odwrotnie. Ale Obama parę razy się na Bliskim Wschodzie potknął. Przede wszystkim w kwestii Iranu i porozumienia nuklearnego.

Bo?

– Kraje arabskie były jednocześnie zszokowane i oburzone, że Amerykanie podpisali to porozumienie. Informacja o tajnych negocjacjach w Omanie wywołała wstrząs. Naprawdę – to była sprawa najwyższej wagi dla Saudyńczyków czy w Emiratach. Oba te kraje uważały JCPOA za bardzo słaby układ, choć nie powiedziałyby tego publicznie – zostawiły to Izraelowi, licząc, że ma większy wpływ na USA, a w razie czego to tam spadną rakiety, nie na kraje arabskie.

Ale dlaczego uważali, że to było słabe porozumienie? Pół świata się z niego cieszyło.

– Dlatego że ich zdaniem Iranowi nie można ufać. To nie jest wiarygodny partner, irański podpis na kartce papieru nic nie znaczy. Poza tym – gdzie były zapisy o rakietach balistycznych? Nie było. Gdzie były zapisy o zachowaniu Iranu wobec sąsiadów z regionu? Nie było. Co o tyle ważne, że przecież Arabia Saudyjska i Emiraty walczyły w Jemenie przeciwko partnerom Iranu. I tak dalej, lista jest długa.

W pewnym sensie Porozumienia Abrahamowe zaczęły się jeszcze przed Trumpem, związały ze sobą kraje, które za sobą nie przepadają, ale umowa z Iranem zmieniła układ sił. Są re-

lacje, według których Netanjahu jeszcze w poprzedniej kadencji pojechał do Rijadu. Izraelski premier w Arabii Saudyjskiej! To przecież nie do pomyślenia – a jednak. Nie uda nam się do wszystkich krajów arabskich dotrzeć z dnia na dzień, ale proces idzie do przodu. I z czasem Palestyńczycy też podejmą wreszcie dobre decyzje.

Co w tym kontekście się kwalifikuje jako „dobre decyzje”?

– Wejście do pociągu z napisem „pokój”. Świat arabski będzie wtedy gotów powiedzieć Izraelowi, że ze wsparciem USA i Unii Europejskiej pomoże przeprowadzić i opłacić proces pokojowy.

Wie pan, ludzie pytają mnie, czy jestem pesymistą, czy optymistą. Odpowiadam tak: za dużo okrucieństwa w życiu widziałem, żeby być bezwarunkowo optymistycznie nastawiony do świata. Ale też widziałem za dużo cudów, żeby być bezwarunkowym pesymistą. Porozumienia Abrahamiczne są jednym z powodów, dla których trzymam się optymizmu. W Europie współczesny pokój zaczął się od węgla i stali. Dlaczego na Bliskim Wschodzie miałby nie zacząć się od, na przykład, energii i środowiska? Europa ma wiele do zaoferowania krajom Bliskiego Wschodu właśnie jako model współzależności, które od gospodarki przeszły w kulturę, mentalność, politykę.

A Chiny? Nie śnią się panu po nocach? Układ z Iranem, porozumienie z Arabią Saudyjską, długo by wyliczać.

– I tak zawsze uważałem, że sen jest przereklamowany.

Ja się chyba nie zgodzę. Naprawdę Chiny pana nie martwią?

– Całe życie wierzyłem, że potrzebne jest zaangażowanie USA w sprawy międzynarodowe. Nawet więcej, że jest potrzeba amerykańskiego przywództwa. Jednym z większych współczesnych wyzwań jest zapewnienie tego zaangażowania, aby Ameryka chciała partycypować na każdym froncie. Nie tylko militarnie, ale też gospodarczo, dyplomatycznie, kulturalnie. Tak samo mocno wierzyłem zawsze w Unię Europejską. To jeden z najambitniejszych i najbardziej udanych projektów pokojowych w historii. I, po trzecie, wierzę w partnerstwo atlantyckie – dlatego niepokoiły mnie starania Trumpa prowadzące do osłabienia Europy od wewnątrz, w czym próbował użyć Polski jako ważnej siły odśrodkowej.

Amerykańskie zaangażowanie jest potrzebne nie tylko w partnerstwie z Europą, ale też z Indiami, Japonią, Emiratami, Australią. Każda z tych konfiguracji ma inne strategie, inne punkty wyjścia, niektóre zmuszają do współpracy z mniej demokratycznymi krajami. Ale w tym coraz bardziej spolaryzowanym świecie trzeba próbować się dogadać. Nie jesteśmy w stanie powstrzymać Chin przed tym, co teraz robią. Jak rozwijają się militarnie, jak stają się coraz bardziej agresywne w Afryce czy Ameryce Łacińskiej. Natomiast musimy pilnować, żeby działania Chin nie zastrębiły nas śpiących, biernych i podzielonych.

Sekretarz stanu Antony Blinken powiedział, że strategię wobec Chin trzeba budować wzdłuż trzech kanałów: współpracy, rywalizacji i konfliktu.

– Konflikt trzeba umieć antycypować, przeciwdziałać mu, a potem nim zarządzać. Niektóre obszary konfliktu już znamy i sporo działań gospodarczych, technologicznych, sojuszniczych już rozpoczęto, tylko trzeba je prowadzić z wyrafinowaniem. Rywalizacja? Spoko, trzeba to zaakceptować. Wszyscy rywalizują. Europa rywalizuje ze Stanami, kraje europejskie rywalizują między sobą. Byle rywalizacja była uczciwa. Wyzwaniem pozostaje współpraca. Musimy zidentyfikować te obszary, w których możemy współpracować – to mogłyby być choćby zmiana klimatyczna czy zdrowie publiczne.

Ale wie pan, to wszystko jest bardzo ważne, ale nie najważniejsze. Nie w tej chwili.

A co jest?

– Nie pozwolić, żeby Rosja wygrała. Musimy doprowadzić do sytuacji, w której Rosja zrozumie, jakie są konsekwencje takich działań. Rosja – czyli również wszystkie inne kraje patrzące na Moskwę z zaskakowaniem i nadzieją – Chiny, Korea Północna, Iran. A więc najważniejszym elementem wszystkich procesów, o których rozmawiamy, jest zapewnienie zwycięstwa Ukrainy.

Wszyscy rozumiemy, że to, co pan mówi, ma szczególną wagę, bo wypowiada się pan jako amerykański Żyd, przedstawiciel ważnego, wpływowego, zaangażowanego w sprawy publiczne środowiska. Albo – zaryzykuję – postrzeganego jako takie. Bo co w ogóle dzisiaj znaczy być Żydem w Ameryce? Jeszcze w pana czasach American Jewish Committee sporo narzekało, że młodzi amerykańscy Żydzi za mało się publicznie identyfikują ze swoją tożsamością.

– Zmiana nastąpiła głównie w religijności. Ameryka była postrzegana jako jedno z najbardziej religijnych społeczeństw na świecie – to już przeszłość. Wielu Amerykanów mówi dzisiaj, że nie wyznaje żadnej religii. To w pewnym sensie odzwierciedlenie trendu z Europy, gdzie też coraz słabsze są religie zinstytucjonalizowane. Wielu młodych amerykańskich Żydów odzwierciedla ten trend.

Drugą zmianą jest styl życia – sporo osób jest niezadowolonych ze struktur amerykańskich społeczności żydowskich. Członkostwo w AJC czy przynależność do synagogi to związane się z instytucją, płacenie składek, co jest sprzeczne z ogólną tendencją odchodzenia od stałych związków z organizacjami. Młodzi Żydzi w Ameryce po prostu robią to, co większość Amerykanów. Zmienia się definicja przynależności – jeśli w czymś jestem i za coś płacę, chcę mieć sporo do powiedzenia na temat tego, jak organizacja działa.

No i pozostaje pytanie, co definiuje żydowską tożsamość. Bóg? Religia? Polityka? Dla starszych pokoleń centralnym punktem była państwowość Izraela, ale też pamiętać, świadomość Holocaustu. To, jak już mówiłem, się zmienia. A jeśli chce pan spytać, co dalej – to nie wiem.

A odbiór Polski przez amerykańskich Żydów? Też się zmienia?

– Oj, to już całkiem inna opowieść.

Tym bardziej pogadajmy.

– W dużym skrócie – i podkreślę, że mówię to bez naukowej precyzji, bo nie mam danych i nie wiem, czy one w ogóle istnieją – obawiam się, że Polska obecna jest w żydowskiej świadomości w USA głównie wciąż przez pryzmat przeszłości i bolesnych historii rodzinnych, nawet wcześniejszych niż II wojna. Zgodnie z prawdą czy też nie – to temat na osobną dyskusję, ale pokazujący spektrum złożonych relacji polsko-żydowskich. Mam wrażenie, że Polsce wciąż nie udało się zamienić tego zestawu obrazów na nowy.

Przy czym dyplomaci, politycy, eksperci zdają sobie sprawę, że Polska to kraj postkomunistyczny, dzisiaj demokratyczny. Sojusznik USA, model pozytywnego przyjmowania uchodźców z Ukrainy i kraj, który miał strategicznie ważną relację z Izraelem – przerwana co prawda w ostatnich kilku latach, ale teraz idącą powoli w kierunku odnowy.

Polska wielokrotnie stawiała w obronie Izraela na forum UE, w przeciwieństwie do innych krajów. Żydowskie życie wróciło do Polski i kwitnie, jest tu wiele prężnych społeczności. Miejsca pamięci Holocaustu są odnowione, zabezpieczone, AJC też w tym procesie pomagało. Wiele lat staraliśmy się zadbać o Bełżec, kosztowało to masę pieniędzy, wspierał nas rząd Leszka Millera. Oczywiście, była ustawa o IPN, były wypierające, agresywne czy nieprzyjemne reakcje na rozliczenie się z Jedwabnem i na kolejne bolesne odkrycia Jana Tomasza Grossa, teraz jest atak na Barbarę Engelking. Ale to wszystko miesza się z listą pozytywów, które przed sekundą panu wymieniłem. Kilka lat temu nie było nawet tej listy.

Skoro wspomniał pan o Barbarze Engelking, domyśla się pan, że nie mogą tego wątku nie pociągnąć. Rozmawiamy w samym środku dyskusji o granicach wolności akademickiej, a poniekąd o polityce historycznej, prawdzie i populizmie, a obecny polski rząd nie jest fanem niuansów historycznych. Czy znowu grozi nam krok wstecz?

– Moje pierwsze spotkanie na temat relacji polsko-żydowskich miało miejsce w 1981 r. w Chicago. Zaczęło się bardzo dobrze, bo był poniedziałek, więc na początku ludzie zaczęli rozmawiać o wynikach weekendowych meczów. Potem dalej było dobrze, bo gadali o pogodzie – i też się dogadywali. Do tego stopnia, że zacząłem się zastanawiać, co ja w ogóle tam robię. A potem przeszliśmy do pierwszego poważnego punktu obrad i natychmiast zaczęła się wymiana wzajemnych oskarżeń.

Gdybym był wtedy bystrzejszy, tobym pewnie powiedział, że życie jest za krótkie i można w nim inne rzeczy robić. Ale wciągnęła mnie ta rozmowa, więc w niej trwam do dziś. Może jestem naiwny, ale zawsze wierzyłem, że Polacy i Żydzi powinni być po tej samej stronie historii, pomimo wszystkich różnic. Lecz za każdym razem, kiedy próbujemy się tam dostać, trafiamy na minę. I kiedy ona wybucha, pojawia się bardzo przewidywalna choreografia w wykonaniu wiadomych aktorów. Głosy umiarkowane, ze środka, które chcą tę relację pchać do przodu, przy uwzględnieniu wszystkich jej niedoskonałości, są zakrzykiwane przez radykałów i zamiast iść do przodu albo przynajmniej się nie cofać, skupiamy się na zarzą-

dzaniu kolejnym kryzysem. Potem wszystko się uspokaja, mamy znowu kilka lat postępu, i zaczyna się od nowa. A nie mówię o ostatniej dekadzie czy dwóch, tylko o czterdziestu latach.

Jeszcze przed chwilą wydawało nam się, że wychodzimy z kryzysu dyplomatycznego wywołanego nowelizacją ustawy o IPN, z odwołanych wizyt młodzieży izraelskiej do Polski. Już pojawiło się nowe porozumienie o wyjazdach, już nas zapewniano, że wytypowano nowego ambasadora Polski w Izraelu, już miał być koniec kryzysu, po czym nagle polski minister edukacji wychodzi z oświadczeniem na temat profesor Engelking i temperatura znowu się podnosi.

Trzeba zadać pytanie, czy te same głosy, które ją podnoszą, są w stanie nad tym zapanować? Czy zdają sobie sprawę z szerszych, niż tylko wzajemne relacje, konsekwencji? Bo śmieje się z tego przede wszystkim Putin. Jego celem jest poróżnić wszystkich ze wszystkimi, więc jeśli udaje się poróżnić choćby na chwilę Polaków i Żydów albo Polskę i Izrael, to świetnie. Im więcej chaosu sieje na Zachodzie, tym silniejszy się czuje, bo odwraca uwagę od Ukrainy.

Proszę spojrzeć. I Żydzi, i Polacy rozumieją odwagę i cierpienie. Wasze państwo zniknęło z mapy na 123 lata, Izrael na trochę dłużej, ale my i wy wiemy, co to znaczy. Polacy zostali niejednokrotnie zdradzeni przez wielkie mocarstwa, Żydzi też. Mogę tak w nieskończoność, bo zawsze próbowałem się skupiać na tym, co nas łączy. Podobnie patrzę w przyszłość – i uważam, że mamy bardzo jasną wspólną strategię, którą jest obrona wartości świata zachodniego. Możemy sobie w tym wzajemnie pomóc. Dlatego nadszedł czas, żeby centrum zaczęło krzyczeć najgłośniej. Do tej pory było zakrzykiwane przez ekstremistów – teraz role muszą się odwrócić. ●

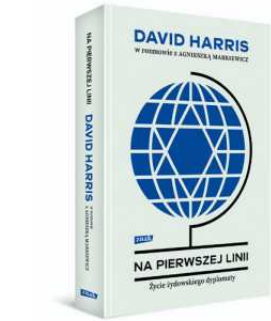


FOT. MARCIN ŁOBACZEWSKI

*David Harris

• w latach 1990-2022 dyrektor generalny American Jewish Committee, największej organizacji zajmującej się sytuacją Żydów na świecie. Pracował naukowo na Johns Hopkins University oraz Uniwersytecie Oksfordzkim. Jest mężem, ojcem i dziadkiem.

„Na pierwszej linii. Życie żydowskiego dyplomaty” – wywiad rzeka Agnieszki Markiewicz z Davidem Harrisem już w dobrych księgarniach, również w formie e-booka.



Wykończmy wołyńskiego wampira

Jeśli wszyscy zaczną wywlekać ofiary z grobów i podawać „potomkom zbrodniarzy” do przepraszania, Europa zmieni się w piekło.

Ziemowit Szczerek

Ukraińcy przepraszali już za Wołyń. I to nieraz, na różnych szczeblach. W 2016 przeprosili wspólnie dwaj byli prezydenci: Wiktor Juszczenko i Leonid Krawczuk. Też w 2016 na kolana przed pomnikiem Ofiar Rzezi Wołyńskiej w Warszawie padł ówczesny prezydent – Petro Poroszenko. Co jakiś czas przeprasza ta czy inna postać ukraińskiej debaty publicznej. Po najeździe Rosji i spontanicznej polskiej pomocy udzielonej Kijowowi ukraińscy wolontariusze z własnej inicjatywy uporządkowali polskie cmentarze na Wołyniu.

Słowa rzecznika MSZ Łukasza Jasiny, że Zelenski powinien akurat teraz przeprosić za Wołyń, wydają się więc po prostu tradycyjnym i po pisowsku mało wyrafinowanym zagraniem: wkładaniem palca w bolącą ranę po to tylko, żeby coś doraźnie ugrać. A biorąc pod uwagę, że rzecznik Jasina nie jest w MSW samodzielnym graczem – po prostu posłużono się nim, żeby rzeczony palec wsunął. Tu, teraz i po coś. Jasina zaś posłusznie to zrobił, sprowadzając bolesną kwestię do poziomu karty przetargowej.

Jeśli jednak przełożyć debatę wołyńską na szerszą skalę, to okazuje się, że ani w Ukrainie, ani w Polsce nikt z niej w zasadzie wniosków nie wyciąga. Zarówno Ukraińcy, jak i Polacy czczą – na stopie oficjalnej czy mniej oficjalnej – własnych faszyzujących nacjonalistów i ksenofobów (albo i po prostu faszystów): w Ukrainie co chwila natknąć się można na portrety czy ulice Stepana Bandery, Romana Szuchewycza, „Kłyma Sawura”, a w Polsce ten czy inny oficjel pojawia się na fecie czczącej ten czy inny oddział „żołnierzy wyklętych” mający na sumieniu kupę niewinnych ofiar.

I nie chodzi o to, by potępiać w czambuł wszystkich „wyklętych” czy żołnierzy UPA: wielu miało motywacje szlachetne i chciałoby się wierzyć, że udało im się uniknąć wojennego moralnego upodlenia. Chodzi o to, by pamiętać, że wszelkie Wołynie zaczynały się od wywołania masowego hejtu wobec całych narodów czy grup społecznych. Już po wszystkim zaś tliły się długo w społecznej glebie, wtedy gdy idealizowano ludzi taką nienawiść usprawiedliwiających. A i w Ukrainie, i w Polsce nienawistnicy, zamiast w publicznej pamięci leżeć jak wampiry poprzebijane kolkami, hulają sobie dowolnie po całym kraju. I manifestują się bezwstydnie. Czy to w formie nazistowskiego haka w symbolice pułku Azow (zasłużonego w Mariupolu i samoczyszczającego się z faszystów, to trzeba przyznać), czy w postaci Marszu Niepodległości, co roku zamieniającego centrum stolicy w brunatny rynsztok. I ani my, ani Ukraińcy nie jesteśmy dziś w stanie pochować ofiar Wołynia, przyjąć przeprosin, wybaczyć.

Wołyń był tragedią. Jedną z wielu, które naznaczyły ciało Europy. Jeśli wyobrazić sobie nasz kontynent jako miejsce, w którym co chwila wywleka się ofiary z grobów i podaje „potomkom zbrodniarzy” do całowania i przepraszania – to byłoby miejsce piekielne. Pełne ciągłego jęku, płaczu, nienawiści, toksyn i jadu. Powybijajmy więc odpowiedzialne za to wszystko wampiry. Każdy swoje. I idźmy w końcu, do ciężkiej cholery, dalej. ●

„Tatuaż z tryzubem” i „Wymyślone miasto Lwów”, czyli Szczerek opisuje Ukrainę od środka. Książki dostępne na stronie wydawnictwa Czarne i w formie ebooków na Publio.pl.

NASZA EUROPA

Michel Houellebecq:

JESTEM PRÓŻNY,
A WIĘC
NAIWNY

FOT. LIMITED PICTURES/AGEFOTOSTOCK/EAST NEWS

O wiele bardziej niepokojąca od pornografii jest dla mnie szerząca się aseksualność.

Vincent Trémolet de Villers

LE FIGARO

Opublikował pan właśnie „Quelques mois dans ma vie” (Parę miesięcy mojego życia), swoistą spowiedź dotyczącą dwóch wydarzeń, które skomplikowały panu ostatnio życie: pana komentarzy we „Front Populaire” o islamie i filmu erotycznego nakręconego niby z pana udziałem, ale bez pana wiedzy przez holenderskiego artystę. Dlaczego napisał pan tę książkę? Czy to próba ekspiacji?

– Plan był zrazu skromniejszy. Holenderski „artysta” udzielał wywiadów na mój temat, chciałem opowiedzieć, jak do tego doszło. Kiedy opublikowałem krótszą wersję w „Le Point”, Bernard-Henri Lévy powiedział mi, że według niego są dwie możliwości: spojrzeć na sprawę z dystansu, próbować odnaleźć w tym jakiś sens, albo też pójść w całkowitą szczerość, co ostatecznie wybrałem – może to dobry pomysł. Podążając tą ścieżką, wciąż próbując wyciągnąć jakieś nauki dla siebie, zrozumieć, co ten holenderski artysta sobą reprezentuje, co istnieje takich jak on mówi nam o naszych czasach. To, do czego się przyznaję, przede wszystkim w tych okolicznościach, to moja własna wielka głupota. Może pasowałby podtytuł „Jak można być tak głupim?”.

No właśnie, jak?

– Wielką rolę gra tu próżność. Bierze się ona z sukcesu, dzięki niej wierzysz, że wszyscy cię kochają, ba, nawet pożądają. To dlatego próżność idzie w parze z pewną naiwnością. Nie miałem pojęcia, że dzięki mojej sławie moje życie seksualne może zyskać wartość rynkową. Czasem zapominam, że jestem sławny. Toczyłem i będę toczył ostre spory intelektualne, ale jak dotąd moje życie prywatne było jakoś tam oszczędzone, przecież jestem tylko pisarzem – myślałem, że zachowam względny

spokój, unikając pewnych błędów, takich jak sypianie z aktorkami i polityczkami.

W całej pana twórczości jest dużo seksualności, wręcz pornografii. Ale tym razem po raz pierwszy to właśnie powód pana kłopotów.

– Odkryłem filmy porno, kiedy miałem dwadzieścia lat, długo po prawdziwym seksie, i byłem szczerze oburzony. To było paskudne, złe zagrane, a przede wszystkim katastrofalne, jeśli chodzi o inicjację seksualną. Po trzydziestu latach odkryłem jednak interesujące porno amatorskie, które pogodziło mnie z tym gatunkiem. Myślę, że to normalne, kiedy para od czasu do czasu się filmuje, to może budować dobre wspomnienia. Dziwne wydaje mi się wstawianie tego do internetu z myślą o innych, obcych ludziach, ale to chyba różnica pokoleniowa. Niektórzy nie potrafią ugotować prostego gulaszu, nie wieszając zaraz jego zdjęć na portalach społecznościowych. Nie przyszkolony mi to do głowy, ale przyznam, że nie rozumiem antypornograficznej kruczaty części katolików – swego czasu Kościół był w tych sprawach bardziej tolerancyjny. Dla mnie to jeden z wielu symptomów szkodliwego wpływu protestantyzmu na współczesność, np. w prawosławiu nie czuć tej tendencji. Katolicy powinni się zająć raczej prawdziwymi problemami moralnymi, jak eutanazja.

Pisze pan w swojej książce, że „w seksualności najważniejsza jest miłość”. To jednak dalekie od anatomiczno-technicznej pornografii?

– W amatorskich filmach porno jest dużo miłości, naprawdę. O wiele bardziej niepokojąca od pornografii jest dla mnie szerząca się aseksualność. Kiedy seksualność zostanie ostatecznie oddzielona od prokreacji i kiedy ogarnie nas cyfrowa wirtualizacja, będziemy mogli naprawdę martwić się nie tylko o reprodukcję, lecz także o seksualność.

W pana książkach jej akurat nie brakuje.

– Jest jej mniej, niż się czasem mówi, i moim zdaniem nie więcej niż w prawdziwym życiu. Jest może, to prawda, bardziej dosadna niż u innych. Pornografia wydaje mi się jednak ciekawsza od erotyki.

Te wszystkie nieszczęścia spadły na pana, odkąd – ponownie będąc faworytem – znów nie dostał pan Nobla...

– Nobel nie robi na mnie większego wrażenia. Dostali go niedawno Le Clézio i Modiano, więc pomyślałem, że to nie czas na kolejnego Francuza. Teraz, po nagrodzie dla Annie Ernaux, stało się to jeszcze trudniejsze, wręcz niemożliwe, chyba że żyłbym 120 lat.

Ernaux mówiła o mnie niemiłe rzeczy, więc chciałbym się zrewanżować tym samym – ale wciąż jej nie przeczytałem.

Kiedy powstawał film o panu za pańskimi plecami, pan robił inny, z Guillaume'em Nicloux i Blanche Gardin.

– Skoro o kinie mowa, muszę powiedzieć, że wielkim wsparciem okazał się Gérard Depardieu, któremu opowiedziałem o moich nieszczęściach. Poradził, żebym walczył na wszystkich frontach: literatura, sprawiedliwość, media... Fascynuje mnie jako aktor, jest bardzo masywny, a porusza się jak baletnica, z prawdziwym wdziękiem. Nie wierzę ani trochę w oskarżenia seksualne pod jego adresem.

Zna pan esej, który napisali o panu w „Le Monde” pisarz Sylvain Tesson i Yann Moix? Zaliczyli pana do skrajnej prawicy.

– Nie. Przyjmuję z góry, że nie jest to fascynujące dzieło. Zaczepiające mnie „Rappel à l'ordre” (Przywołanie do porządku) Daniela Lindenberg'a miało sens. Wysoko cenilem książki Philippe'a Muraya i Maurice'a Danteca, z którymi utrzymywałem przyjacielskie stosunki. Sylvaina Tessona nie znam. Jeśli chodzi o skrajną prawicę, to nie wiadomo, co to w ogóle jest. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek spotkał kogoś z tej formacji światopoglądowej. Ale tak, jestem populistą. Demokracja przedstawicielska nie ma dla mnie żadnej wartości, jestem zwolennikiem demokracji bezpośredniej, referendum i inicjatywy obywatelskiej.

Jak powiedział Céline, głupcy to zawsze większość. Pan się nie zgadza?

– To kompletna bzdura. Czy nam się to podoba, czy nie, Szwajcaria, gdzie referenda są na porządku dziennym, jest dobrze zarządzana. Z jednym małym zastrzeżeniem – niestety, większość może błędzić w kwestiach moralnych, np. w przypadku eutanazji. Powinna istnieć władza duchowa, która w naprawdę wyjątkowych sytuacjach może zyskiwać pierwszeństwo przed władzą doczesną, ale dziś wydaje się to niemożliwe.

W pana wywiadzie dla „Front Populaire” pojawia się wątek imigracji. Czy pana zdaniem fala uciekinierów z Południa do Europy jest nieuchronna?

– Nie, nic nie jest nieuchronne. Nie jest niemożliwy rozwój Afryki, który stworzy tam perspektywę do lepszego życia. A gdyby niestety stało się inaczej, Europa odkryje zalety murów.

Jeśli wolno mi pozwolić sobie na krótką pochwałę literatury, to powiem, że wizerunek krajów skandynawskich, a zwłaszcza Szwecji jako integracyjnej idylli, został

w dużej mierze nadszarpnięty przez skandynawską literaturę. Bywa tak, że w pewnym momencie w pewnym kraju tylko powieść mówi prawdę.

Czytał pan pikantną powieść ministra gospodarki i finansów Bruno Le Maire'a?

– Jeszcze nie, ale przeczytałem, chociaż ostatnio wracam do literackich odpowiedników klasycznego rocka, nie jestem w fazie muzyki klasycznej. Lubię jego pióro, podobały mi się bardzo cytowane w prasie fragmenty z Nicolasem Sarkozy'm.

Pana opinia o prezydencie Emmanuelu Macronie?

– Nie wiem. Nie całkiem rozumiem tego człowieka. Chciałbym, ale wciąż mi umyka. Do Sarkozy'ego mam pozytywne nastawienie. Podoba mi się u niego wszystko, nawet to, że wysyła SMS-y, siedząc za stołem u królowej Anglii. A jego zdanie z własnego procesu o sędziach „podobnych do siebie jak zielone groszki” było niesłychane, genialne i tak prawdziwe. Ale ten jego styl bycia go dużo kosztował i nadal kosztuje.

A nowa tura francuskiej debaty o islamie?

– To moja wina. Powinienem się wczytać uważniej we własne słowa na ten temat we „Front Populaire”. Dawno zrozumiałem, że problemem nie jest islam, tylko przestępczość. Czytając reportaż „V13” Emmanuela Carrère'a o procesie Salaha Abdeslama, organizatora zamachów w Paryżu w 2025 r. – gorąco polecam – uświadamiamy sobie, że dżihadysty nie znają się na sprawach wiary. To przede wszystkim przestępcy, którzy kochają przemoc. Chcą prowadzić wojny, paradować w wojskowych dżipach, ścinać więźniów i grać w piłkę ich głowami – i chcą, żeby uległy kobiety witały ich jak bohaterów. To brutalni barbarzyńcy, a wojna jest ich rozrywką – już Pascal to powiedział.

Poza tym musimy skończyć z obsesją na punkcie asymilacji. Co mnie obchodzi, że jakaś dziewczyna jest w burkini na basenie? Chińczycy byli długo najmniej zasymilowanymi imigrantami, a zarazem najbardziej docenianymi, bo po Chinatown można było chodzić o drugiej nad ranem bez żadnego ryzyka, choćby w minispódnicy. Nie trafiają do mnie wielkie słowa o sekularyzmie i republikańskich wartościach, dla mnie to pustosłowie. Myślę, że muzułmanie łatwiej zaakceptowałyby taki status we Francji, jaki mają chrześcijanie w tolerancyjnych krajach muzułmańskich – jestem prawie pewien, że takie gdzieś istnieje. Czyli obywatel jak inni, którzy praktykują swoją religię dyskretnie, bo nie jest to religia dominująca.

NASZA EUROPA

Ale takiej religii nie mamy i nie będziemy już mieć. Choć i w krajach, gdzie nie dominuje żadna religia, bywało i jest nadal możliwe neutralne współlistnienie, np. w Beninie.

Co do asymilacji: jej głównym motorem pozostaje język – niekiedy też małżeństwo – ale nie należy jej się domagać za szybko.

Czy jest pan nadal ateistą?

– Nie jestem ateistą, tylko agnostykiem. Jestem też pozytywistą, ale nie materialistą. Skoro fascynuje mnie myśl Auguste’a Comte’a, różni idioci twierdzą, że jestem nacjonalistą integralnym, ale najwyraźniej nie czytali ani Comte’a, ani Maurrasa. Religie, owszem, interesują mnie. Byłem na wielu koncertach rockowych, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego jak Światowe Dni Młodzieży w Paryżu z Janem Pawłem II. Było to na torze wyścigowym Longchamp, dwa miliony młodych ludzi, naprawdę imponujące.

Z drugiej strony bardzo lubilem Benedykta XVI – błyskotliwy umysł. Dodam, że pierwszy raz wyjechałem za granicę na obóz językowy w Traunstein, miasteczku w Bawarii, w którym przyszły papież ukończył seminarium.

Ale pociągają mnie też inne religie, stwierdzam to poważnie na końcowych stronach „Unicestwiania”. Nie jestem pewien, czy wierzę w reinkarnację, ale miałem już niebywale déjà vu, to było naprawdę niepokojące...

Wierzy pan w grzech pierworodny?

– Wystarczy zaliczyć szkołę z internatem dla chłopców, żeby wiedzieć, że człowiek nie jest z natury dobry. To było jak więzienie, tyle że nie aż tak brutalne. Dużo mówi się teraz o wykorzystywaniu seksualnym, ale nie mówi się wszystkiego. Te lata w szkole z internatem dla chłopców to strach przed molestowaniem, biciem, upokarzaniem, czasami zgwałceniem przez starszych nastolatków tej samej płci. W „Częstkach elementarnych” jest o tym wstrząsający rozdział. Ofiary bardzo często wstydy się tego, że zostały zgwałcone, bo to jednak hańba – mówiąc wulgarnie – zostać wyruchanym.

Kiedy przypominam sobie, że uniknąłem wtedy prawdziwego gwałtu, dochodzę do wniosku, że ostatnie kilka miesięcy kłopotów to drobiazg – to tylko jakiś cyberstalking. Ścisłej rzeczy biorąc, to szantaż sekstaśmami plus próba oszustwa, a wszystko opakowane w fałszywe artystyczne pretensje.

A wierzy pan w jakąś formę pierwotnej czystości?

– Tak, istnieje miłość. Istnieje też coś dziwniejszego, nazywają to współczuciem. Rozbrajało ono nawet takiego pesymistę jak Schopenhauer. Zaskakuje, jak pisze, „władok dwójga obcych ludzi, którzy biegną ku sobie radośnie niczym starzy znajomi”. Kolejny argument za reinkarnacją.

Co pan robi, kiedy rząd zaproponuje ustawę o eutanazji?

– Choć tego nie lubię, przystąpię do walki. Nie bez wątpliwości co do walki, może bowiem błędę, ale fikcja literacka jest o wiele silniejszą bronią. Bardzo lubię nowelę Richarda Mathesona „The Test”. Opowiada ona o parze mieszkającej z ojcem męża – co roku przechodzi na badanie, które zdecyduje, czy ma prawo pozostać przy życiu. Tym razem są prawie pewni, że obiele. Żona nie martwi się szczególnie, że spadnie z nich ten ciężar. Mąż czuje właściwie to samo, mają małe mieszkanie, ale pamięta też szczęśliwe dzieciństwo z ojcem. Ale dla ich dzieci to już normalne, przeszły już kurs obywatelski. Matheson wspańiale uchwycił atmosferę narastającej niezręczności. W jego opowiadaniach w chwilach wielkiego napięcia słycać nawet lot muchy. ●

tłum. Sergiusz Kowalski

Litwa kontra smok

Wilno postawiło się Chinom – i na tym korzysta. Jakim cudem?

Litwa zezwoliła Tajwanowi na otwarcie przedstawicielstwa dyplomatycznego. Pekin zareagował presją ekonomiczną. Bałtowie uznali jednak, że taki ruch jest dla nich opłacalny. Przy okazji Wilno pokazuje, jak mały, ale przewidujący gracz może skutecznie zdystansować się od Chin.

Tobias Kaiser

Welt

Litwa, licząca 2,8 miliona mieszkańców, jest jednym z najmniejszych krajów w UE, ale – może zresztą właśnie dlatego – jej politycy nie wahają się stawiać wielkim Chinom. W listopadzie 2021 r. rząd zezwolił Tajwanowi na otwarcie prawdziwego przedstawicielstwa dyplomatycznego w Wilnie.

W stolicach prawie wszystkich krajów świata oficjalnie działają jedynie przedstawicielstwa stolicy Tajwanu, Tajpej. Ponieważ Pekin nie uważa demokratycznego Tajwanu, który de facto odłączył się od Chin kontynentalnych w 1949 r., za suwerenny byt polityczny, konsekwentnie próbują go izolować na arenie międzynarodowej.

Pekin szybko zareagował na ten ruch Wilna – i oficjalnie obniżył rangę stosunków dyplomatycznych z Litwą. Jednocześnie nastąpiła natychmiastowa presja gospodarcza na ten bałtycki kraj. Dziś jest jednak już jasne, że Litwa dzięki swojej protajwańskiej postawie raczej zyskuje, niż traci.

Tajwańska wdzięczność

Rząd w Tajpej robi wiele, aby państwa bałtyckie (Estonia i Łotwa także opuściły w sierpniu 2022 firmowany przez Pekin format współpracy między krajami Europy Środkowej i Wschodniej a Chinami) nie poniosły żadnych szkód gospodarczych swojego zwrotu w polityce wobec Chin. W ubiegłym roku rząd w Tajpej przeznaczył 200 milionów dolarów na inwestycje na Litwie.

Fundusz, który jest prowadzony przez firmę venture capital Tajwanu, zamierza obecnie inwestować w całej Europie Środkowej. Do tej pory jednak pieniądze trafiają głównie do start-upów na Litwie. Np. w styczniu 4,4 miliona euro do Oxipit, firmy, która chce wykorzystywać sztuczną inteligencję do diagnozowania medycznego.

Ponadto rząd w Tajpej utworzył pulę z miliardem dolarów, z której mają płynąć m.in. tanie kredyty na wspólne projekty gospodarcze litewskich i tajwańskich firm. Pierwsza pożyczka została udzieleną producentowi paneli fotowoltaicznych SoliTek. Dla Litwy, której cały roczny PKB wynosi ok. 67 miliardów euro, są to znaczne sumy.

Firmy i inwestorzy z Tajwanu mają wesprzeć kraj w szczególności w budowie przemysłu półprzewodników. Może to przynieść znaczny impuls modernizacyjny dla gospodarki Litwy, która jak dotąd eksportuje głównie produkty rolne i proste towary, a dopiero od kilku lat koncentruje się na biotechnologii i fintechu, czyli innowacjach w sektorze finansowym.

– Litwa chce się stać potęgą high-tech w UE z pomocą Tajwanu – powiedziała minister gospodarki Aušrinė Armonaitė podczas niedawnej wizyty w Tajpej. To może na razie wydawać się wygórowaną ambi-

cją, ale dzięki aktywnej i przemysłanej polityce Wilna okazuje się, że nawet agresywna dyplomacja Chin może się stać w tym konkretnym przypadku błogosławieństwem, a nie problemem.

Najbardziej spektakularny projekt został przypieczętowany w styczniu, gdy po miesiącach negocjacji Tajwański Przemysłowy Instytut Badawczy zawarł umowę z litewską firmą Teltonika, która do tej pory produkowała routery, modemy i ładowarki do samochodów elektrycznych. Na pierwszy rzut oka suma, o jaką chodzi, nie jest powalająca: 10 milionów euro ma popłynąć z Tajwanu, 4 miliony dołoży rząd Litwy.

Decydującym czynnikiem jest jednak transfer wiedzy: Teltonika i inne firmy z nią współpracujące będą mogły korzystać z arcycennej, zaawansowanej technologii półprzewodnikowej tajwańskich partnerów. W przyszłości chipy o wielkości kilku nanometrów będą opracowywane i produkowane także na Litwie.

Wykuwanie własnej niszy

Zgodnie z planem do 2032 r. w Wilnie powstanie park technologiczny. High-Tech Hill to nazwa tego projektu, a znajdujące się tam centra badawcze i fabryki mają w niedalekiej przyszłości obejmować cały łańcuch dostaw w branży półprzewodników. Przynajmniej tak to sobie wyobraża Arvydas Paukštys, założyciel i prezes Teltoniki. W ciągu 10 lat firma chce wyeksportować zaawansowane technologie o wartości 9 miliardów euro, co samo w sobie będzie stanowić ponad 5 procent całkowitej produkcji gospodarczej Litwy.

Jeśli prognozy szefa Teltoniki się sprawdzą, sam ten projekt zawiązką zrekompensuje straty poniesione przez jego kraj przez zerwanie z Chinami. Jednak nie wydaje się jeszcze jasne, skąd będą pochodzić pieniądze na niezbędne inwestycje.

Wiadomo za to, że w listopadzie fundusz Tajwanu Fund zainwestował 3,5 miliona dolarów w litewski start-up Lilitit zajmujący się technologią laserową. Pieniądze te pomogą firmie stać się czołowym na świecie producentem w branży, entuzjastmował się wówczas jeden z udziałowców.

Od 20 lat Litwa pracuje nad swoją pozycją w ścisłej czołówce tej dziedziny. W tym czasie liczni litewscy naukowcy i badacze, którzy prowadzili badania w Stanach Zjednoczonych, powrócili, aby założyć firmy w swoim kraju.

„Litwa ma kilka firm, które już są światowymi liderami w dziedzinie laserów dla medycyny, diagnostyki medycznej i produkcji chipów” – mówi Michael Manke z firmy doradczej Rödl & Partner, który doradza zagranicznym firmom w inwestycjach na Litwie.

Tajwan jest najwyraźniej zainteresowany wykorzystaniem tego know-how we własnym przemyśle chipowym. W lutym w Wilnie otwarto Tajwańsko-Litewskie Centrum Półprzewodników i Nauk Materiałowych. Pierwszym projektem jest opracowanie nowego typu lasera dla inżynierii mechanicznej i przemysłu półprzewodnikowego. Kolejnym projektem ma być wspólne centrum badawcze na Tajwanie.

Rozwój sytuacji jest zaskakujący, ponieważ początkowo wyglądało na to, że litewski rząd się przeliczył. Chiny oficjalnie nie nałożyły sankcji na Wilno, ale Litwa z dnia na dzień zniknęła z chińskich rejestrów celnych.

Litewski import nie mógł być dłużej obsługiwany. Wołowina, torf i inne towa-

ry eksportowane do Państwa Środka z Litwy utknęły w chińskich portach, a tamtejsi klienci musieli poszukać innych dostawców. Oficjalnie chińscy urzędnicy tłumaczyli, że to błąd oprogramowania, ale nikt w Wilnie w to nie uwierzył.

Agresywna reakcja Chińskiej Republiki Ludowej była jednak od początku do zniesienia, ponieważ kraj ten nie odgrywał znaczącej roli w bilansie handlowym Litwy. Sprzedaż do Chin stanowiła zaledwie 1 procent całego eksportu. Nie było też prawie żadnych chińskich inwestycji.

Problemy zaczęły rosnać, gdy bojkot Litwy przez Pekin dotknął inne podmioty. Np. niemieccy dostawcy motoryzacyjni Continental i Hella nagle przestali być w stanie realizować dostawy dla chińskich fabryk samochodów. Szybko stało się jasne dlaczego: obie firmy produkowały również w fabrykach w Kownie na Litwie, a produkty tych koncernów zawierały także komponenty stamtąd. Ponieważ problem dotyczy również firm z innych krajów, UE podejmuje kroki prawne przeciwko Chinom przed Światową Organizacją Handlu (WTO) – nawet jeśli za zamkniętymi drzwiami Bruksela uważa jednostronne działania Litwy za „niepotrzebne”.

Krótkie wahanie inwestorów

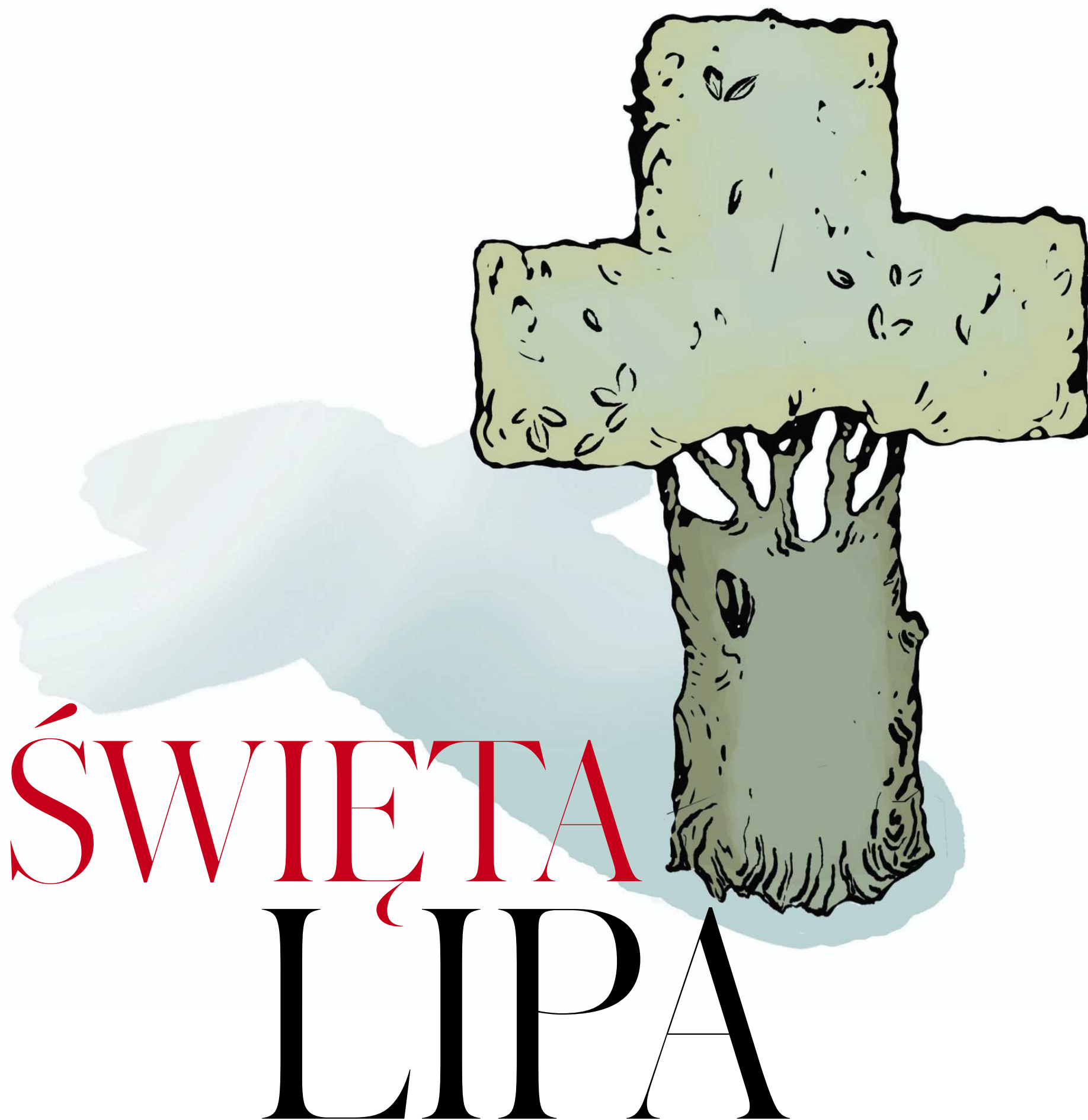
Wyglądało więc na to, że Litwa zapłaci jednak wysoką cenę za swoje stanowisko. „Istniała ogromna obawa, że zagraniczne firmy nie będą już inwestować na Litwie w przyszłości, jeśli w rezultacie zamknie to cały chiński rynek dla ich produktów” – mówi Niklas Becker, który monitoruje kraje bałtyckie dla niemieckiej agencji promocji handlu zagranicznego GTAI. Stawką były inwestycje i oczywiście miejsca pracy.

Obawy nie były bezpodstawne. „Jestem pewien, że co najmniej kilka zagranicznych firm rozważało inwestycje na Litwie, ale potem zdecydowało się na inne kraje właśnie z powodu sporu z Chinami – mówi Michael Manke. – W wielu rozmowach z klientami dało się wyczuć, że obawiają się takiego scenariusza”.

Blokada początkowo dotknęła wiele małych i średnich przedsiębiorstw z Litwy. „Ale wydaje się, że to już przeszłość. Obecnie pozytywne skutki wsparcia ze strony Tajwanu, który traktuje to prestiżowo i jako zobowiązanie, przeważają nad negatywnymi. W dłuższej perspektywie Litwa może wygrać na relacjach z tajwańskim kapitałem” – mówi Manke. Zagraniczni inwestorzy już zreorganizowali swoje łańcuchy dostaw w taki sposób, że żadne produkty z litewskich fabryk nie są sprzedawane do Chin, ale działają z myślą o innych rynkach.

Continental chce nadal inwestować na Litwie. Nawet tradycyjne filary eksportu Litwy sobie radzą: Tajwan właśnie otworzył swój rynek dla wołowiny z tego kraju.

Ponieważ inwestycje w zaawansowane technologie przynoszą wymierne efekty w dłuższej perspektywie, Tajwan już teraz przekazuje pieniądze w formie pomocy rozwojowej. Dzięki pożyczce w wysokości 7 milionów euro Wilno chce na przykład kupić nowe autobusy elektryczne. A kolejne umowy z tajwańskimi firmami odbierają ostatnie argumenty krajowym krytykom, którzy uważają kurs konfrontacyjny z Chinami za niebezpieczny. ●



**Szatan tak się wściekł,
że odkurzacze sam się
włączył, a woda sama
z kranu poszła!**
Szurało, prychało, puka-
ło wszystko.

Janusz Anderman

I o był dzień jak nie z tego świata; na ulicy Wiejskiej nie było nikogo, żadnych protestujących ani ciekawych, zlaknionych jakiegoś widowiska; nawet ruchliwi szaleńcy, od których roi się w mieście, nie dopisali. Polyskiwały mdło metalowe bariery, dniem i nocą chroniące brzuchate budynki przed ludem i tylko kleiły się do nich niezliczone kartki, z którymi używał życia wiatr i wywiewał je przez otwarte okna z pomieszczeń; to były jakieś zapomniane lub porzucone w pół słowa i nikomu niepotrzebne projekty ustaw i uchwał, a także teksty przemówień, które może kiedyś były wykrzyczane z trybuny. A może nie.

Spokój zakłócił jedynie na moment jakiś poseł w pasiastej piżamie, który wypadł z drzwi hotelu poselskiego i gnał ze zwierzęcym rykiem przez skwerek, aż luźne spodnie od tej piżamy zsunęły mu się na kolana i zaplątał się w nogawki, i runął w kępę ziół, wzniciając obłok rudych pyłów; tam dopadli go czujni funkcjonariusze

straży marszałkowskiej i najpierw naciągnęli spodnie od piżamy na bufiasty zad, a potem porwali go za nogi i za ręce, a najwyższy stopniem dźwżył oburącz głowę, i ponieśli go, ryczącego, na powrót do pieleszy.

– Albo obrało go z rozumu, znakiem tego, albo go niespodzianie derylka trachła, tak z nagle jak to ona... – mruknął ten najwyższy stopniem. – Co się dziwić, toż tu jak raz wszystkie żyły wodne się krzyżują, podziemne...

Jacyś ludzie jak kuropatwy przypadli na trawniku za pomnikiem Armii Krajowej; przybysze byli ożywieni i mowni, a nad nimi ślaniały się dwie blisko rosnące obok siebie brzozy; jedna mniejsza, druga wyższa, i splatały się ciasno koronami, i chwylały łakomie za gałązki. Na pierwszy rzut oka ludzie odziani byli jak zwykli turyści, ale gdy się przyjrzeć, zaraz wzbudzali niepokój; na ramionach trzymali plecaki; niektóre z nich były bardzo staromodne, z wypłowiałego brezentu, także nowsze nosiły ślady intensywnego użytkowania. Jedni mieli na głowach szaliki zawiązane pod

brodą, drudzy z boleścią trzymali się za policzki.

Z za sylwety pomnika, który wyglądał jak gigantyczna krocząca postać, pozbawiona przez artystę głowy, pokazała się policyjna czapka bejsbolowa i lypnęły sprytnie oczka policjanta; miał tak nisko opuszczony daszek, że aby ocenić sytuację, która zaistniała wraz z pojawieniem się grupy, musiał wysoko zadzierać głowę, jakby pilnie obserwował grę obłoków. Teraz fachowo ocenił rozłożonych beztrosko wśród traw ludzi i odwrócił się do policjantki przycupniętej za murkiem okalającym pomnik.

– Robimy wkroczyć! – szczełknął. – Dzika manifestacja się zawiązała na terenie. Dysponuję prowodyrem.

Policjantka żwawo się wyprostowała i odruchowo obciągnęła kurtkę mundurową, by nieco przyplaszczyc zuchwałe piersi baraszkujące pod materią, które w tym momencie nie dodawały jej powagi. Ale policjant dla pewności uniósł daszek czapki, by ostatecznie zlustrować sytuację, i na-

gle zesła od niego cała energia, i oklapł entuzjazm przed akcją, bo się zorientował, że ten, którego wytypował do roli prowodyra, odziany jest w mnisi habit. Więc tylko nieznacznym ruchem dłoni powstrzymał policjantkę.

– Ale byśmy się wychujali, degradacja o jeden stopień jak nic – szepnął do niej i gwałtownie przelknął ślinę. – To jakaś procesja dziękczynna czy coś. Z księdzem... Lepiej nie mówić w złą godzinę...

Oboje odwrócili się i wolno ruszyli w stronę głównej bramy, zřęcznie udając obojętność i syty spokój.

A wśród ludzi rozłożonych na trawie rzeczywiście był młodziutki zakonnik; wyglądał jak rachityczny chłopiec, ale zgromadzeni i tak zwracali się do niego z szacunkiem: ojczu. Zakonnik opleciony był specjalną uprężą, a do niej na giętkiej sztycy umocowany był głośnik, który z każdym jego ruchem kołysał się we wszystkie strony, i zakonnik wyglądał jak ryba głębinowa, jak żabnica, która ma nad głową wiciowaty wabik zakończony świecącym wyrostkiem, i tym światelkiem wabi w lodowatej otchłani oceanu naiwne ofiary, by je pożreć.

Zakonnik ujął w delikatną dłoń mikrofon i wtedy rozchybotany głośnik zachrypiał, pisał i popłynęły słowa zdecydowanej komendy:

– A te wszystkie świństwa wybierajcie na kupę, aby oka nie gorszyć. Bo – zapalił się nagle – jeśli tedy prawe oko twoje gorzy cię, wyrwij je. A zarzuć od siebie, albowiem pożyteczniej jest tobie, aby zginął jeden z członków twoich, niżliby miało być wrzucone wszystko ciało twoje do piekła!

I ludzie się dzwignęli i zaczęli podnosić porzucone po dawnych i nowszych manifestacjach hasła wypisane na teksturach i prostokątach dyktę; niektóre były już niemal nieczytelne, bo rozbełtały je deszcze; i znosili je pod dwie brzozy i utykali między pniami, napisami do środka. Jedni nawet przezoranie nie patrzyli, inni ukradkiem próbowali odczytywać słowo.

„Chuje, nawet weganie rzucają w was mięsem”, „Jarek nawet jak bije się z myślami, dostaje wpierdol!”, „Tak się zaczął wielki bój, milion cipek, jeden chuj”, „A żeby ci się kot w łóżku zesrał!”, „Liber-té! Égalité! Wypierdalajcie!”, „Gdyby ministraci zachodzili w ciążę, aborcja byłaby sakramentem”, „Władza minie, wstyd zostanie”, „W wiosce smerfów największym zagrożeniem też był stary dziad z kotem”, „Paranoja musi odejść!”, „Obywatele! Obudź się, zanim ktoś zagłosuje za ciebie w wyborach!”, „Annuszka już rozlała olej...”

A potem ludzie znowu zalegli w trawie. – Uwaga na instruktaż ostateczny! – zachrypiał zakonnik przez głośnik. – No więc już niebawem pojawi się pojazd z pierwszym turnusem. Pierwszy wyleczony turnus opuszcza pojazd, a wtedy nasz turnus bieżący zajmuje wyżej wymienionym miejsca i ruszamy trasą na skróty, Grójec, Końskie, Włoszczowa i nawet się nie spostrzeżemy, jak jesteśmy w Cielętnikach. I tam niezwłocznie z zapalem rozpoczynamy kurację uzębowania za pomocą cudownych i całkowicie nadprzyrodzonych właściwości kory lipiej. Jej dawcą, tej kory, jest lipa, co się wznosi przy kościele pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego. Lipa owa niestrudzenie oraz hojnie niesie pomoc cierpiącym już od stu lat, czyli można śmiało powiedzieć, że od pomroki dziejów. I żeby zadziwić zgromadzonych, lipa, jak to się mówi, liczy sobie już lat siedemset. Szmata czasu. Ona jeszcze niejednego króla pamięta naszego polskiego... I ma jedenaście metrów obwodu w pniu. Nawet ponad...

Podstarzały działacz harcerski w kompletnym mundurku i w zbyt małej rogatywce na głowie z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Jedenaście? W życiu nie uwierzę, proszę ojca. Góra dziesięć, czuj czuj, czuwaj!

– Komisyjnie mierzonym pień był. To co mi tu syn, synu... Komisyjnie! – obruszył się zakonnik. – A więc, jak wiadomo, kora tej lipy leczy wszelkie choroby zębowe, bez najmniejszego wyjątku. I to od lat, co już nadmieniałem. Wystarczy tej kory pojeść. Takie to cuda! Wiele dorocznych pielgrzymek do Częstochowy zbacza z trasy, aby się bezpłatnie wykurować.

– A jak kto nie ma już zębów? – zapytał mężczyzna w myśliwskim kapelusiku z piórkiem. – To odrosną one? Konkretnie mojej osobie? Może to lipa sprawić? Zna czy lipia kora? Bo ja aktualnie mam sztuczne, od szwagra pożyczone na nasz wyjazd leczniczy.

– Odrosnąć to one nie odrosną, synu... Chyba... – Zakonnik się zamyślił.

– Bo ja niegdyś swoje na dyskotecę utraciłem, nie wiadomo kiedy. Tylko się człowiek na chwilę zagapił i masz babo prezent. Masz chłopie w tym danym wypadku...

– Tu gwarancji na odrost uzębienia nie można zagwarantować. Chyba...

– A takiemu rekinu odrastają, jak utraci. Było w wiadomościach tiwi – upierał się mężczyzna w kapelusiku.

– Jak w wiadomościach było, to odrastają – zgodził się zakonnik.

– Ale że rekin było. A ja konkretnie o człowieka pytam. Czyli o siebie samego... – To ja już nie wiem...

– A ja to bym była zainteresowana, żeby wypadaly... – odezwała się młoda kobieta z przerośniętymi szczękami i zuchwą jak wysunięta szuflada; do złudzenia przypominała kogoś z rodu Habsburgów, którzy z powodu upodobania do kazirodstwa i wynikających z niego komplikacji genetycznych nagminnie cierpieli na taką samą przypadłość.

– W twoim wieku, dziecko? – zdumiał się zakonnik. – Co ty wiesz o zębach?

– By się ojciec zdziwił! Bo ja mam odwrotnie. Ja się już urodziłam wraz z zębami. Wszystkie jak jeden miałam. Nawet mądrości. Potem mi jeszcze drugi komplet wyrósł i częściowo trzeci. Na podniebieniu, na dziąsłach od środka jamy gębowej, gdzie się da... Dlatego na mnie już w podstawówce wolali Pirania. Nie chciałby ojciec tego widzieć... A już na pewno nie zapoznać mnie tak na stopie prywatnej... Masakra!

– Aaaa! – zachnął się zakonnik. – Na co mnie takie zbytki oglądać...

– Nie to nie... Bez łaski... – obruszyła się Pirania. – Bo zasadniczo to mogłabym zademonstrować. Ale na siłę nie będę się pchała na afisz.

– A mogłaby taka lipa, proszę ojca... – zakwilila staruszka. – Rozchodzi mnie się o to, czy taka lipa wyrывa też zęby, w razie potrzeby?

– Wyrwać nie wyrwie raczej – wyjaśnił zakonnik. – Ale może sprawić, że same wypadną. Kory pojeść i ufnie czekać. Raz dłużej, raz krócej... I wypadną one. Tylko na co mają wypadać, jak je lipa uleczy? Głowę jedynie zawracasz, córko!

– Nie, ja tylko tak... Jakby panu odrosły – staruszka odwróciła się do mężczyzny w myśliwskim kapelusiku z piórkiem – to niech pan mnie wyśle odkrytkę, że odrosły. Jedno zdanie wystarczy, że zęby znów na posterunku. Bo mój małżonek też zęby utracił... Już pod trzydzieści lat będzie...

– Także na dyskotecę? – zainterwował się mężczyzna w myśliwskim kapelusiku i zaczął podrygiwać jak w tańcu.

– Gdzie na dyskotecę! Dzwon jemu zęby odebrał!

– Dzwon? Chciał pogryźć dzwon? – zainterwowała się inna kobieta ze szczerlnie zabandażowaną twarzą.

– Jak pogryźć! Mąż dzwonnikiem jest u nas na parafii. Znaczy był. Raz wraca z dzwonienia. I ja patrzę, a on zębów nie ma. Ty, a gdzie zęby, się go pytam. Ty się z moimi zębami możesz już pożegnać, on mi na to. Za zbytńio dzwon rozbijałem i już nie zdążyłem odeskoczyć. I akuratnie dzwon wycentrował mi w zęby. Oni gdzieś tam powinni jeszcze leżeć na dzwonniki-

cy w szparach pomiędzy deskami, mówi, te zęby. Taki dzwon to jest waga... Ale on już i tak ziemię gryzie, dwadzieścia pięć lat będzie jak ruskiego spirytusu na chrzcinach popił. Najpierw oślepl, a potem to już z górki...

– Bez popitki musiał spożywać... – odezwał się z boku partyzant, a może żołnierz wykłety; o jego przynależności do zbrojnego podziemia mogły świadczyć niedorzecznie dobrane fragmenty umundurowania i biało-czerwona opaska na ramieniu, a nawet zdobyczny plecak Wehrmachtu ze skórzaną klapą, pokrytą płową sierścią. I tylko jego wygląd wskazywał na to, że w chwili zakończenia wojny partyzanta nie było jeszcze na świecie.

– Tak że pan poje sobie tej kory, to pan pilnuje czy równo rosną. – Staruszka zignorowała go.

– Tylko jak ja mam tę korę jeść, jak ja nie mam zębów? Tylko wypożyczone? Jak ją rozgryźć? Szczęka pójdzie w drebieźgi, i jak się szwagrowi na oczy pokaże?...

– To ssij pan czy jak... Może też zadziała.

Adres potem panu dam.

– Jaki adres? – No, żeby pan tę odkrytkę wysłał, jak się pieńki zaczną wyrzynać... Dla mnie taka wiadomość to byłoby znaczne urozmaicenie życia...

Przypominam, że patronką wszystkich dentystów na kuli ziemskiej jest święta Apolonia – wyjaśniał zakonnik. – Jej z kolei zęby wytłukli poganie u zarania historii. Warto do niej westchnąć, a może wzmocni działalność kory.

– A jej, świętej znaczy, odrosły? – ożywił się partyzant.

– Proszę nie zadawać prowokacyjnych pytań! No! Przecież tej lipy w czasach pogańskich jeszcze nie było pośród nas! I przypominam, że gryźć można na dowolnej wysokości.

– Ale tej kory to już pewnie jak pies napłakał... – odezwała się kobieta w kominiarce, która rozgrzewała jej lupiące trzonowce.

– Kot napłakał, mówi się przysłowiowo – sprostował partyzant.

– Może i kot. Ja tam nie wiem. Kotów nie lubię, bo fałszywe. Ale podejrzewam, że mało jej, kory, będzie, jak tam całe pielgrzymki pielgrzymują... I że miejscami gołe może prześwituje...

– I coś asfaltem zalatuje... Tak słyszałem... – odezwał się niepewnie stary harcerz.

– Ekolodzy, nasienie diabelskie, smołą smarują, żeby odstraszyć – zarządził przez głośnik zakonnik. – Niby drzewo chcą chronić, ale wiadomo, jaką brudną pieczęć chcą upiec na brudnym ogniu! I szkalują! I szkalują! Że niby pień pogryziony jak przez stado bobrów... Lewaki jedne!

Ekolodzy, nasienie diabelskie, smołą świętą lipę smarują, żeby odstraszyć – zarządził przez głośnik zakonnik

– Ja tam lubię smak benzyny... – rozmarzył się strażak w galowym mundurze.

– To nie benzyna, tylko smoła! – zdenerwował się zakonnik. – A kory dla wszystkich starczy. Żeby nie skłamał, to prawda, że tam pielgrzymki z całego kraju ciągną i poobgryzali, wiadomo! Jak z dołu mało, to podskoczyć i dziabnąć zębami. Odrobinka wystarczy, byle rękami nie obrywać, tylko zębami. Tam w promieniu pięćdziesięciu kilometrów wszyscy dentyści zbankrutowali, taka jest moc lipy! I w Radomsku, i w Szczekocinach, i gdzie tylko chcecie! W Koniecpolu nawet! Pięćdziesięciu dentystów na stałe bezrobotnych!

– Pięćdziesięciu? – Harcerz pokręcił głową. Ja bym szacował, że góra czterdzieści pięć, czuj, czuj, czuwaj! Pięciu wyjechało poza granicę jak nic...

– Aaaaa tam! Jest, jak mówię! Najbliższy dentysta dopiero w Częstochowie przyjeżdzuje. A i tak pacjentów ma garstkę, bo się wszyscy u lipy leczą... Wszyscy gryzą pień.

– A tak wagowo, to ile konsumpcja ma wynieść? – zainterwowała się kobieta w kominiarce.

– Nie tam wagowo! – huknął głośnik. – Ugryźć, usiąść spokojnie i powolutku dziać... Tak, żeby ząb poczuł. Cała filozofia...

– A na inne przypadłości lipa działa? – zapytał wychudzony starzec.

– Na jakie przypadłości? – No, nie wiem... Na dowolne... Mnie, na ten przykład, jeszcze za komuny diabeł córkę opętał. Ciekawość, czy by lipa zadziałała na takiego diabła...

– Nic mi o tym nie wiadomo, synu. – W sumie, oczywiście, to się dobrze stało, że ją ten diabeł wziął i opętał...

– Opętanie dobre? No, synu... Nie prowokuj... Nie bluźnij! Tfu! Tfu! Tfu! – Zakonnik ze zgrozą trzykrotnie splunął przez lewe ramię.

– No bo ja się jak raz chciałem grodzić, a gdzie za komuny gwoździa kupisz? Nie kupisz! Ale przyszedł ksiądz, co miał uprawnienia na diabła, i zaczął jego z córki wypędzać...

– Wiadomo, rzecz prosta... – zgodził się zakonnik.

– Pokropił ją wodą święconą, a ta po twarzy się zmieniła, jak ci nie skoczy? I gwoździami zaczęła rzygać! Całe dwa wiadra gwoździ narzygała, tak ten diabeł się bronil! No i spokojnie mogłem się grodzić. A gwoździe co do jednego zużyłem. Tyle że się gięły przy wbijaniu jak opętane... Tak że czasem...

– Niezbadane rzeczy się dzieją... A ja sobie teraz przypominam, synu, że w zeszłym roku byłeś w Licheniu na pielgrzymce z małżonką... Po tych gwoździach sobie przypominałem, bo tamtego roku też o gwoździach opowiadałeś...

– Ja każdego roku o gwoździach opowiadam...

– No, a małżonka czemu nie z nami? Na zęby nie cierpi?

– A bo zmarła. – Zmarła? No patrzcie, jak to człowiek nie zna dnia ani godziny... Na co zmarła nieboszczka? – zafrasował się zakonnik.

Starzec zaczął liczyć na palcach. – Na co? A tak na wrzesień.

Albo taki przypadek czytałem... – wtrącił się harcerz. – Ciekawość, czy lipa by pomogła... Na skutek amputacji człowiek utracił nogę, no, nieszczęście! I co? Położył się spać, a ta noga w nocy całkowicie mu odrosła! I to prawa noga. Miało to miejsce ponad czterysta lat temu, ale fakt ten po dziś dzień miejscowi pamiętają. Zresztą to jest potwierdzone notarialnie, czuj, czuj, czuwaj!

– Ja zanim zaczęłam jeździć na tramwaju – wzdygnęła się kobieta w kominiarce – to wrózką byłam. Doszło do tego, że bez takich kart albo takiego wahadłka kroku nie mogłam zrobić. Jak takiego wahadłka zapomniałam i wyszłam z domu, to mi się mieszało w głowie i nie pamiętałam, gdzie mieszkam, nic. I jeszcze nie widziałam

grzechu we wrózeniu... Dopiero jak córka za karę zaczęła chorować, a syn się stoczył, zrozumiałam i poleciałam do spowiedzi...

– Od razu trzeba było, córko! – wykrzyknął zakonnik. – I co dalej?

– Szatan tak się wściekł, że jak powróciłam do domu, to odkurzacze sam się włączył, a woda sama z kranu poszła! Szurało, prychało, pukało wszystko, tak to było...

– Żeby aż woda sama sobie poszła? Dajcie spokój! – Strażak złapał się za głowę.

– A co by było, jakbym tak umarła z tym całym wrózeniem? Piekło przy tym wszystkim to mały pikus! Ale nie umarłam i szatan mnie prał! Niby on ciała nie ma, a bolało jak jasny piorun... Policzki mi wykręcał, jak chciał! Aż z czasem przetrwałam zniewolenie. Ale to się ciągnęło, bo jak sprzątałam, to te różne przedmioty, co nie chciały być wyrzucone, sprytnie się chowały przede mną.

– Byłych uzdrowiaczy, którzy nakładali ręce na choroby, to tak palą teraz dłonie, jakby je w ogniu trzymali. Taka przypadłość za pokutę... – Zakonnik pokiwał głową.

– A jak żyć z opętanym mężem? – zawołała kobieta z twarzą szczerze pokrytą bandażem, który chronił jej napuchnięte policzki. – Nie ma wtedy życia... Głowa mała wręcz!

– Jak się miało współpracę z mocami, trzeba odpokutować. Jak odrzuciłam wahadelko, to tak mnie ręka zaczęła rwać, że musiałam nią wymachiwać z wielką szybkością, jak śmigłem... Głównie w nocy. Szatan nie mógł przeboleć, że się wahadelką pozbyłam bezpowrotnie. – Kobieta w kominiarce zamyśliła się.

– A piekło onanii, czuj, czuj, czuwaj? – wykrzyknął harcerz.

– Co pan takie świństwa, naprawdę... – Bo nawet małeńkie dzieci już zanęcają do onanii! Ledwo drobiazg od ziemi odrośnie...

– Kto zanęca? – Strażak zbladł.

– Lewactwo tęczowe! I szatani! Nawet harcerzy zanęcają! Zamiast zataić przed dziećmi, że istnieje taka igraszka, oni zachwalają czynność! Nie ma już prawie ani jednej niewinnej duszy na tym świecie! I nawet nie wiem, czy z takim onanizmem sama lipa by sobie poradziła... – Harcerz zaszlochał.

– Bo onania to ciężka choroba! – wyłożył zakonnik. Trzeba dużo wysiłku na świeżym powietrzu, że by się od niej oderwać... Znaczy, żeby ręce od samego siebie oderwać... Taka jest prawda i innej prawdy nie ma!

– To karalne powinno być przez sądy! – Mężczyzna w myśliwskim kapelusiku porwał się na nogi. – I do więzienia! Chędożenie baby z chłopem bez przymusu zamiarowania poczęcia? Też za kraty! Już nie mówię, jak chłop z chłopem się grzmoci albo baba z babą gucka! Już nie mówię!

– Albo przymusowa służba wojskowa, żeby o głupotach nie miał czasu myśleć.

Długie godziny dnia na strzelnicy... – kombinował partyzant.

– Tak jest! Ćwicz oko i dłonie w ojczyny obronie, czuj, czuj, czuwaj!

– I więzienie za zdradę małżeńską jak najbardziej! – chlipnęła wdowa po dzwonniku.

– Do mnie, nie chwalcę się, szatan esemesy wysyłał. Jak działałem wydatnie

i natychmiast, nie wiadomo skąd, wychynał ten policjant, a za nim dreptała policjantka i nerwowo obciągała na piersiach bluzę mundurową, i policjant uśmiechał się błogo sam do siebie na myśl o dotkliwym mandacie, który zaraz przysoli.

Ale ze zgrzytem rozsunęły się drzwi busa i ukazał się w nich inny zakonnik w habicie; wystawił najpierw głowę, by nie za-

chrypiał przez głośnik, wciskając mikrofon do ust:

– Tragedia jest! Apokalipsa w Cielętnikach! Armagedon jakiś! Nie ma już świętej lipy, ludzie! Siedemset lat ona dumnie szumiła, aż diabli przygnali huragan „Ksawery”, a ten podstępnie obalił nieszczęsność! Ksiądz proboszcz w Cielętnikach mówił, że to przez ciemny naród się stało nieszczęście, że zamiast korę gryźć, naród i pień napoczął i w szybkim czasie dogryzł się do rdzenia, ale raczej ksiądz proboszcz w szoku był, jak to mówił w przyływie rozpacz! Na pusto jechaliśmy, na pusto!

Ludzie popatrzili po sobie posępnie, jakby nie dowierzali duchownej osobie, ale pierwszy otrząsnął się z osłupienia partyzant i wymamrotał:

– To tego... Wynika niezaprzeczalnie, że zwrot pieniędzy za wyjazd do lipy pójsć musi... Niemale koszty nastąpiły...

– Na to wychodzi – z wahaniem zgodził się stary harcerz. – Nie chce być inaczej, czuj, czuj...

I odwrócili się, szukając wzrokiem swojego zakonnika, ale ten przed momentem, zaraz po usłyszeniu hiobowej wieści, gwałtownie opuścił głowę na kolana, symulując głęboki sen, i tylko głośnik na sztycy chwiał się miarowo na boki jak wskazówka metronomu.

– A co ojciec taki cichutki jak jaka trusia!? – zawołała kobieta w kominiarce. – Niech ojciec powie... – I zaraz ściszyła głos. – Chyba śpi... Utrudzone biedactwo...

– Niech sobie ojciec kimie... My tam już bardziej nie zbiedniejemy – oświadczył mężczyzna w myśliwskim kapelusikiem z piórkiem. – Trza się nam zbierać do domu...

– I zasadniczo to nawet nie chrapi... – rozczuliła się Pirania. ●

Ale byśmy się wychujali, degradacja o jeden stopień jak nic – szepnął do koleżanki policjantki i gwałtownie przełknął ślinę.

– To jakaś procesja dziękczynna czy coś. Z księdzem

w gronie egzorcystów – zmienił temat za kłopotany zakonnik.

– Ciekawość, z jakiej sieci. Na abonament miał czy na doładowanie? A co pisał? – Piranii z emocji aż pokraśniałylica.

– Różnie... Zdechniesz za to, co zrobiłeś, na przykład pierwszy z brzegu. Albo pożałujesz tego, kiecuchu, dość już tego, dość, dość, dość... Dość, mówię! Tak mówił, czyli pisał. Ale to dobrze, bo jak zły duch się wścieka, znaczy, że porządnie trafiony w słabiznę! Albo kiedyś zapytałem złego ducha, co zrobić, żeby opuścił opętaną osobę. On mówi chytrze, modlić się po francusku. I dwoje ludzi z grona egzorcystów zaczęło się modlić po francusku! Ja im mówię, żeby tego nie robili, ale już było za późno... I nic nie pomogło, że po francusku. Nie spojrzeli z punktu widzenia...

– Mnie też raz zadzwonił telefon. Niby nic, ale on był bez baterii! – Kobieta z bandażowaną twarzą zamyśliła się.

– Ciekawość, z jakiej sieci dzwonił – drażyła Pirania. – Na abonament miał czy na doładowanie?

A wtedy w głębi ulicy Matejki pojawił się wolno sunący w stronę Wiejskiej bus i zaraz zatrzymał się na wysokości trawnika, na którym umościli się uczestnicy kolejnego turnusu; we wnętrzu udręczeni bólem ludzie bezsilnie opierali głowy o zasnute brudem szyby. Kierowca zaparkował w niedozwolonym miejscu

wadzić o górną framugę głośnikiem przytwierdzonym na sztycy, którą podtrzymywała na nim specjalna uprząż; policjant zrobił w tył zwrot i z impetem uderzył daszkiem bejsbolówki w daszek policjantki, aż obojgu spadły czapki, więc gwałtownie się po nie pochylili i huknęli się czolami, i na moment ich zamroczyło, a po chwili lekko oprzytomnieli i powlekli się w stronę głównej bramy.

– Pierdolić taki interes... – wybelkotał jeszcze policjant. – To już w ogóle nie karakuje... Karna degradacja o dwa stopnie jednego dnia by poszła za omyłkowe nękanie kleru...

A zakonnik wyskoczył z busa i nawet nie musiał się zbliżać do uczestników następnego turnusu, którzy już się pozbierali z trawy i ruszyli w jego stronę, tylko

wyborcza | **magazyn wyborczej** **WOLNA SOBOTA**

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Lista do redakcji: lista@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imieliński, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielicki
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wierczok, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTOREDACJA: Marta Błażejewska

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

CO* 16-17/06
FEST
ANSWEAR.LAB
GRANE
WOMEN'S VOICES

WARSZAWA
OŚRODEK WAWELSKA 5
DAWNA SKRA

NOSOWSKA

SOKÓŁ FEAT. PONO

BEDOES 2115

MROZU

WOMEN'S VOICES
KOLEKTYW
CIG FESTIVAL

PAULINA PRZYBYSZ | NOSOWSKA | MARGARET
JULIA WIENIAWA | ZALIA | OFELIA | MARIKA

ORGANIZATORZY:
AGORA | wyborcza.pl

patronat honorowy
Prezydenta miasta
Stolicy Wielkiej
LAB

PARTNER GŁÓWNY:
PERŁA

SPONSOR:
Warszawa
Kino
bueno
instax
FLUFLU
Lipton
FACTORY
Inka

PARTNERZY:
wysokobieny.pl
ZET
ams
HELIOS
WP
Rytm.pl
HIRO
helio
media
CBM

PATRONI MEDIALNE:
eBilet
Going
empik
bilety
BILETOMAT
kicket

BILETY:

OGŁOSZENIE 34251008

1 RP

eprasa.pl 24e0213a4c

Czy teraz wypada się zakochać

Kiedy zauważam, że uodparniam się na wojnę, czuję lęk.

Wiktoria Bielaszyn



Od ponad roku zmagam się z poczuciem winy. Daje ono o sobie znać w niespodziewanych momentach. Na przykład kiedy ktoś pyta: „Jak się masz?”, „Co u ciebie?”. Bo czy wypada być szczerą? Czy jest dzisiaj przestrzeń na to, by otwarcie cieszyć się wiosną? Mówić o umacniających się przyjaźniach, poznawaniu nowych ludzi, kolejnych ciekawych projektach zawodowych? O zaplanowanych na najbliższe miesiące podróży? O bukiecie frezji otrzymanym bez okazji? Czy można zwracać jakąkolwiek uwagę na wiszącą nad głową różową chmurkę? Mówić o zakochaniu, kiedy ukraińskie miasta są atakowane przez rosyjskie pociski i drony, a po obu stronach frontu giną tysiące? Czy wypada celebrować życie w czasie szalejącej śmierci?

Moje urodziny zbiegły się w czasie z przeprowadzką. Nic nadzwyczajnego – przewieźć książki, ciuchy i kilka ulubionych mebli z mieszkania na warszawskiej Starówce (nie, młodzi dziennikarze nie żyją na takiej stopie; odziedziczyłam je po poprzednich najemcach ze stawką czynszu sprzed półtora dekady, ale nic nie może wiecznie trwać) do mieszkania w nieco odleglejszej dzielnicy. Kilku dniowy proces pakowania, segregowania, wyrzucania rzeczy niepotrzebnych, jęczenia nad zbyt dużą liczbą książek i wszystkich innych przedmiotów, a później układania, sortowania i znajdowania wszystkiemu nowych miejsc zmęczył mnie i znużył. Do tego stopnia, że po opróżnieniu ostatniego kartonu oznajmiłam: „Kolejna dopiero w momencie, kiedy będę mogła sobie pozwolić na to, by wyjść z domu tak, jak stoje”.

I wtedy przypomniałam sobie o Lenie.

Poznałam ją kilka lat temu w Moskwie. Miała tyle lat, co ja dzisiaj, i stała się o kredyt na mieszkanie. Międzynarodowa nagroda dziennikarska i praca na drugi etat podniosły jej zdolność kredytową na tyle, że marzenie o własnych czterech kątach w niebotycznie drogiej stolicy zaczęło się spełniać. A Lena zaczęła oszczędzać.

Kiedy my, grupa młodych dziennikarzy i studentów, przesiadywaliśmy w modnych knajpach na Patriarszych Prudach, pijąc stanowczo zbyt drogie drinki i jedząc jeszcze droższe, ale szalenie wtedy modne hawajskie bowle, Lena remontowała i wykańczała. Wybierała płytki, cyklinowała parkiet, szukała hydraulików i specjalistów od instalacji elektrycznej. Z czasem zaczęła kupować przedmioty, które miały „tworzyć dom”. Czyli: fajansowa zastawa na dwanaście osób, bardzo ciężki, dębowy stół („solidny stół można mieć nawet całe życie”), duży, porządny materac („który okazał się odrobinę zbyt miękki”), lustro, na tyle piękne i stare, że trudno myśleć o nim inaczej niż o anty-

ku, dwa dywany, półki na kolekcję książek („żadna nie będzie przypadkowa”).

„Otaczałam się ukochanymi przedmiotami w myśl zasady: mój dom – moja twierdza. W wieku 32 lat musiałam zostawić wszystko, ale przynajmniej teraz wiem, że »dom« wychodzi poza ramy kontrolowanej przestrzeni”, napisała mi kilka dni temu z Rygi, gdzie wspólnie z koleżanką wynajmują niewielkie mieszkanie. Podobnie jak tysiące innych Rosjan musiała w pośpiechu, z dnia na dzień, wyjechać z kraju, bo sprzeciwiała się wojnie i groziły jej poważne represje. Ale „w rzeczywistości, której nie da się przewidzieć, mobilność jest konieczna. I na co my mamy narzekać? Przynajmniej nie musimy siedzieć w schronach i piwnicach, by uchronić się przed bombami”.

Rozglądając się po dopiero co odświeżonym, urządzonym i wysprzątanym mieszkaniu, poczułam zakłopotanie. Nie po raz ostatni tego dnia.

Najpierw wiozący mnie wielkory taksówkarz wetknął za lusterko wsteczne zdjęcia grupy mężczyzn w ukraińskich mundurach. „Nasi dzielni chłopcy. Ten z prawej to mój syn”, wyjaśnił ze smutnym uśmiechem, widząc moje spojrzenie.

A później, podczas dziewczynskich rozmów ze znajomymi z Ukrainy, Białorusi i Rosji, które od wielu miesięcy zdają sobie sprawę, że czasy, kiedy wydawało nam się, że powodem poważnego smutku może być np. mężczyzna, odeszły w zapomnienie. No, może nie całkiem.

„Siostra poprosiła chłopaka, żeby – jak przyjedzie do Kijowa na przepustkę – oddał nasienie. Chcą je zamrozić. Wiecie, na wypadek gdyby coś się stało. Nie mają dzieci”, mówi jedna. Druga opowiada o lęku o brata, którego czeka w Rosji mobilizacja. Trzecia o przyjacielu, białoruskim więźniu politycznym, który odbywa wyrok w kolonii karnej. „Od trzech tygodni nie ma od niego listu”.

A ja? Mam się żalić, że zmęczyłam się przeprowadzką? Że bilety na Maja-jorkę podróżowały, bo euro skoczyło? Albo że pod moimi tekstami hejtują mnie rusofobi albo ktoś rzuci „ruska k...” w metrze, gdy rozmawiam przez telefon? Bo to najgorsze, co spotyka mnie, pół-Rosjankę, w związku z wojną. Słucham i jeszcze bardziej uświadomiam sobie małość własnych trosk i problemów. Ale przecież nie wypiszę się z życia, a życie powinno przynosić właśnie takie troski i problemy. I właśnie tego wszyscy chcemy, żeby Ukraińcy – i Syryjczycy, i Jemeńczycy, i wszyscy im podobni – mogli mieć problem z przeprowadzką, kłótnią w związku, drożącą kawą. Czyli normalnie żyć.

„Proszę nie być dla siebie zbyt surową”, powtarza mi terapeutka; „Przestań się biczować”, mówią przyjaciele; „Z jakiej racji akurat ty czujesz się winna?”, pytają coraz bardziej zmęczeni i poirytowani bliscy. A później spotykam przyjaciół z Rosji. I widzę w ich oczach błysk zrozumienia, a później słyszę krótkie: „Ja też, ja też tak mam”.

Kiedy zauważam, że uodparniam się na wojnę, czuję lęk, choć psycholodzy twierdzą zgodnie, że w dobie zalewających nas tragicznych informacji to nieuniknione. Stawiając barierę poznawczą, pomagamy sobie nie oszaleć.

A potem śni mi się kolejny koszmarny, w którym Rosja wygrywa. I czuję – choć się tego wstydzę – ulgę. Wojna boli mnie tak samo jak przedtem. ●

A potem gej i lesbijka żyli długo i szczęśliwie

Na bazarze ktoś wyrzeka na to całe „elgiebete”. Na tym samym bazarze dwie kobiety będące w długim związku kupują pomidory i ogórki. I to też trzeba pokazywać.

Magdalena Dubrowska

Niedawno ukazała się „Piosenka o miłych rzeczach” – singiel zespołu Nanga, w którym śpiewam, piszę teksty i gram na basie. Utwór to wyliczanka rzeczy sprawiających mi przyjemność: galaretek w cukrze, pizzy na śniadanie, ośnieżonego parku, futerkowych stworzeń, starych piosenek i komedii romantycznych.

To najbardziej pozytywna w całej mojej tekściarskiej karierze piosenka o miłości, nawiązująca do tekstów Agnieszki Osieckiej, w których uczucie wyraża się nie poprzez wielkie metafory, ale codzienność: kuchenny łufcik, marchewkę z nacią. Tylko że to piosenka skierowana do kobiety.

„A ty jesteś Julią Roberts, a ja jestem Whoopi Goldberg” – śpiewam w refrenie.

Zaprawdę stworzyć też adekwatny teledysk, który byłby trochę antyteledyskiem. To znaczy – w którym nic by się nie działo, w którym trwałoby po prostu zwykłe szczęśliwe życie dwóch kobiet będących razem od wielu lat. Wspólne gotowanie, czytanie książek, głaskanie psa.

Bo jestem już naprawdę zmęczona tym, że miłość osób LGBTQ najczęściej przedstawiana jest w popkulturze w kontekście przemocy i cierpienia. Bycia ofiarą. Po latach nierównej walki o równą prawa, zaangażowanych artystów i manifestacji chciałabym dla odmiany czegoś miłego. I żeby życie osób LGBTQ zaczęło być pokazywane jako zwykłe. Przyjemne. Nudne. Tak jak w naszym klipie, w którym zagrały się zagrać dwie wspaniałe aktorki: Magdalena Kuta i Maria Maj.

Amerykańska inicjatywa LGBT Fans Deserve Better, która działa na rzecz pozytywnej reprezentacji gejów, lesbijek, osób transpłciowych i niebinarnych w mediach i popkulturze, kilka lat temu przeprowadziła badanie, z którego wynikało, że twórcy seriali o wiele chętniej uśmiercają bohaterki homoseksualne niż heteroseksualne. Spośród 629 postaci lesbijskich i biseksualnych, które odnotowano wówczas w amerykańskich serialach na przestrzeni 30 lat, 146 zmarło. Barbara Kean z „Gotham” została zabita przez swoją dziewczynę; Martha z „Opowieści podręcznej” – powieszona za homoseksualizm, Poussey Washington z „Orange Is the New Black” – uduszona itd. Szczęśliwe zakończenie przewidziano tylko dla 10 proc. tych bohaterów.

W czasie odkrywania swojej tożsamości intensywnie poszukuje się w kinie czy literaturze wątków, z którymi można się zidentyfikować. Pamiętam, z jakimi wypiekami czytałam „Mojego Giovanniego” Jamesa Baldwina, z jakim przejęciem oglądałam takie filmy jak „Filadelfia”, „Nie czas na lzy” czy „Aimee i Jaguar”.

Ale wiemy przecież, jak kończą się te wszystkie historie: żyli (i żyły) krótko i nieszczęśliwie. Osoby LGBTQ w filmach i książkach umierają na powikłania wskutek AIDS, są szykanowane i wyśmiewane, bite i mordowane, zamykane w szpitalach psychiatrycznych, a ich zakazane związki kończą się szybko i tragicznie.

„Tajemnica Brokeback Mountain”, „Carol”, „Obywatel Milk”, „Anioły w Ameryce”, „Godziny” – mogłabym długo wymienić.

Czy muszę tłumaczyć, jaki obraz miłości niehetero buduje się w chłonaącej to wszystko młodocianej głowie?

Bycie osobą nienormatywną i dorastanie w kraju, w którym homofobia wylewa się z telewizji, mównicy sejmowej, szkoły i kościoła, a w dodatku jeszcze w filmach i książkach związki osób tej samej płci pokazywane są jako skazane na porażkę i cierpienie – to nie rurki z kremem.

A przecież geje, lesbijki, osoby transpłciowe czy niebinarne tworzą też szczęśliwe, długotrwałe relacje. Oczywiście, że nie ma w Polsce możliwości zawarcia formalnego związku, ale jednak te związki istnieją.

Nie mówię, że teraz to tylko brokat i jednoróżce. I żeby przestać nagłaśniać przemoc wobec osób LGBTQ.

To jest superważny temat, bo homofobiczna opresja dotyka naszej społeczności i mogę zaręczyć, że każda osoba nienormatywna doświadcza jej na co dzień. Mowa nienawiści jest jak smog – niby niewidoczna, lecz trująca, stale obecna w pracy, na placu zabaw i na osiedlowym bazarze.

Spośród 629 postaci lesbijskich i biseksualnych, które odnotowano w amerykańskich serialach na przestrzeni 30 lat, 146 zmarło. Szczęśliwe zakończenie przewidziano tylko dla 10 proc. tych bohaterów

Ale na tym samym bazarze dwie kobiety będące w długim związku kupują pomidory i ogórki.

I to też trzeba pokazywać. Pozytywny przekaz jest tak samo ważny.

Dlatego fajnie, że coś się jednak zmienia. Także w Polsce. Oglądając serial „Królowa”, w którym Andrzej Seweryn wcielił się w rolę drag queen, i mając w pamięci sceny z takich filmów jak „Priscilla, królowa pustyni”, czekałam tylko, aż Loretta zostanie upodłona przez „prawdziwych mężczyzn”. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Koniec końców górniczy okazali się słodziakami.

W szesnastym polskim hicie Netflixa „Jeszcze przed świętami” Maria Maj i Małgorzata Hajewska-Krzysztofik grają parę starszych lesbijek z sąsiedztwa – i jest to wątek zupełnie pozbawiony ciężaru. Ot, dobre sąsiadki, które od czasu do czasu zajmują się synem głównej bohaterki.

W osłupienie wprowadził mnie „Mój agent” z genialną Aleksandrą Pisulą jako agentką gwiazd i lesbijką. Podczas scen erotycznych trzy razy sprawdzałam, czy na pewno włączyłam rodzi-my serial, a nie najnowszy sezon „The L Word” z polskim dubbingiem.

Czekam na więcej takich produkcji, czekam, aż życie osób LGBTQ przestanie być pokazywane jako coś sensacyjnego i tragicznego zarazem, a pary gejów i lesbijek na dobre zamieszkają w naszych serialach i teledyskach. Nawet jeśli ma to być bajka. Niech trwa. ●

Jaki jest kolejny dzień tygodnia

W kąciku lewego oka Dziadka urodziła się dziwnie wielka, samotna Iza. Mienia się w niej jakieś twarze, krajobrazy, litery

JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

Januszowi Klammerowi, Jego cierpieniu i godności poświęcam, jm

– Dzień dobry, Dziadku!
– Dzień dobry, Aaa... – Dziadek zatrzymał się na pierwszej sylabie imienia Kasi i nie mógł ruszyć dalej.
– Kasiu?... – zasugerowała nieśmiało Kasia.
– Taaak, Kasiu! – roześmiał się Dziadek z ulgą i przytulił wnuczkę ze zdwojoną siłą.
Od jakiegoś czasu Dziadek co jakiś czas nie mógł znaleźć słowa. A to nazwy rzeczy w rodzaju kaloryfer czy długopis, a to imienia z gatunku Agatka, Weronika czy Małgosia.

Bywało też, że nie mógł znaleźć drogi. Nieczęsto chodził bez Babci, ale kiedy raz wybrał się sam do dentysty, po godzinie zadzwoniła recepcjonistka i powiedziała, że Dziadek wyszedł i wrócił, bo nie wie, jak dojechać do własnego domu.

– Dzień dobry, Dziadku!
– Czeeeść! – zawołał Dziadek i zamiast wpuścić Kasię do domu, zaczął wychodzić, jak gdyby tylko czekał, aż ktoś otworzy mu drzwi od zewnątrz.
– Dokąd to, Dziadku? – powiedziała Wnuczka wesoło, choć trochę przestraszyła się nieprzeniknionej, nieobecnej twarzy Dziadka.
Kasia zawróciła Dziadka do wnętrza, odprowadziła do kanapy i pomogła usiąść.
– Co się dzieje? – spytała.
– Nie wiem już – odpowiedziała Babcia. – Tak jest coraz częściej. Czasami nie rozpoznaje nawet mnie...

– Dzień dobry, Tato! – wesoło powiedziała Karolina, kiedy spotkali się przed wejściem do poradni lekarskiej.
Tato, czyli Dziadek, uśmiechnął się po swojemu, jak zawsze uprzejmie i filuternie, ale nic nie odpowiedział. Chwycił tylko swoją Żonę za rękę i ruszył w kierunku ulicy.
– Nie tam... Tutaj! – powiedziała Mama, czyli Babcia, podniesionym głosem. Zniecierpliwionym, a może przestraszonym.
Karolina wzięła Tatę za rękę i poprowadziła do wejścia. Patrzył na nie bez ruchu, więc otwierane drzwi uderzyły go w stopę.
– Tato, przesun nogę, proszę – powiedziała Córka.
Widząc, że Tata nie reaguje, pochyliła się i rękami uniosła mu tydkę.

– Poniedziałek, wtorek... – zaczęła lekarka. – Jaki dzień jest później?
– Poniedziałek, wtorek... – powtórzył Tata.
– Jeszcze raz – odpowiedziała spokojnie lekarka. – Poniedziałek...
– ...wtorek, środa, czwartek... – wymienił Tata kolejne dni tygodnia.
– A potem?
Patrzył na lekarkę niepewnie jak chłopiec, który wybił piłką szybę w oknie sąsiada.
Po kilku innych pytaniach i nieodповідziach lekarka poprosiła, żeby Tata z Babcją wyszli, wypisała skierowanie na prześwietlenie głowy i powiedziała Córce Taty, że bez żadnych wątpliwości jest choroba Alzheimera.
– Na pewno? – dopytywała Karolina, choć od jakiegoś czasu sama już podejrzewała, że to właśnie to straszne, obco brzmiące słowo, dużo o nim zdążyła przeczytać i raczej nie miała nadziei na inną diagnozę. – Przecież Tata jest matematykiem, jeszcze niedawno wykładał na uniwersytecie...
– To naprawdę nie ma znaczenia – przerwała jej lekarka. – To choroba robotników i filozofów, sportowców i rolników, leni i pracusiów, gospodyń domowych i pisarek... Nie wiemy, skąd przychodzi, wiemy tylko, jak się objawia, wiemy, że wszystkim w rodzinie jest z tym bardzo ciężko, i wiemy też, co robić, żeby było ciut lżej.

– Dzień dobry, Dziadku! – zawołały Weronika, Kasia i Małgosia, kiedy Babcia otworzyła im drzwi i wskazała ręką Dziadka siedzącego na kanapie.

– Jak się masz, Tato? – spytała Karolina.
– Świetnie! Świetnie! – zawołał Tata, czyli Dziadek, po czym położył sobie prawą rękę na kolanie i zaczął szurać po spodniach: szur, szur, szur, szur, szur, szur...
Weronika położyła dłoń na jego dłoni.
Dziadek uniósł głowę i spojrzał na nią zagubionymi oczami.
Babcia się rozplakała.
– Chodźmy na spacer – powiedziała Karolina. – A wy posiedźcie z Babcją.
– Nie mam już siły – wyszłochała Babcia.
– Nie miałam siły – wydusiła Karolina, wracając z Tatą.
Czyli z Dziadkiem. – Zaczął iść prosto, choć powoli, ale już na rogu zaczął kłaść się w powietrzu, ciągnąć mnie w dół... Ledwo go utrzymałam.
– Ze mną robi to samo! – wyplakała Babcia, jak gdyby chciała nakrzyczeć na Dziadka, czyli na Męża, że robi coś, czego nie robił przez całe życie, a teraz zaczął robić, wbrew niej, wbrew sobie, wbrew wszystkim, jakby na złość...

– Cześć, Dziadku! – zawołała Małgosia. – Idziemy na spacer!
Dziadek patrzył nieruchomo w telewizor i potrząsał równomiernie nogą, jak gdyby chciał zrzucić z kolana jakiś ciężar.
– Nie dasz rady – powiedziała Babcia.
– Dam! – zapewniła Małgosia. – Kupiłam balkonik... To znaczę taki stojak na kółkach. Dziadek będzie się na nim opierał rękami i nikogo już nie pociągnie w dół.
– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć... Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć... Raz, dwa, trzy...
– A może raz, dwa, trzy i raz, dwa, trzy? – spytała Małgosia, próbując zmienić utarty rytm dziadkowego liczenia. – No, spróbujmy: raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy...
– ... dziesięć... raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć...
– Oko! – zawołał nagle Dziadek niecierpliwie.
W kąciku lewego oka Dziadka urodziła się dziwnie wielka, samotna Iza. Małgosia zauważyła, że mienia się w niej rozmaite kolory przypominające jakieś twarze, krajobrazy, litery.
Wyjęła chusteczkę, otarła łzę i postanowiła zachować. Nawet jeśli wiedziała, że po chwili z tej barwnej lzy zrobi się wodna plamka i wsiąknie w bibułę.

– Dzień dobry, Dziadku! – zawołała Weronika od progu. Szur, szur, szur, szur...
– Jak się masz, Babciu? – spytała Wnuczka. Szur, szur, szur, szur...
– Jak Dziadek?... – dodała.
– Psiakrew! – krzyknął głośno ni stąd, ni zowąd Dziadek, który szurając palcami po stole, patrzył we włączony telewizor. – Jakieś głupoty opowiadają!...
– No on tak czasem ma – zaczęła usprawiedliwiać Męża Babcia głosem na granicy szloch. – Nigdy nie wybuchał, nie złościł się, a teraz... Szkoda gadać... Potrafi krzyknąć nawet na mnie, kiedy go karmię...
Babcia rozplakała się, Weronika przytuliła ją i nie wiedziała, co ma w tej chwili powiedzieć.
– Choć jeszcze czasem podaje mi płaszcz – rozczuliła się Babcia, czyli Żona. – I często wstaje, żaby się przywitać... Przypomina wtedy siebie dawnego. Sprzed roku... Nie, sprzed dwóch lat... To już tyle, Weroniczko?
– Sprzed czterech – poprawiła ją wnuczka.

Szur, szur, szur...
– Niestety, będzie coraz gorzej. Powinna pani rozważyć, czy nie podzielić się z kimś opieką nad Mężem...
– Co?! – wybuchła szloch. Babcia. – Oddać go do domu starców?!!! Co to, to nie. On na to nie zasługuje!!!
– Proszę pomyśleć o tym inaczej – odpowiedziała Pani Psycholog. – Proszę się zastanowić, co będzie lepsze dla Męża... Pani się denerwuje, bierze do siebie jego wybuchy gniewu, które przecież nie są adresowane do Pani. Są skierowane do świata, którego nie widzimy. Świata upiórów w jego głowie, wobec których sam jest bezbronny... Denerwuje się Pani, że Mąż nie jest taki jak dawniej. Czuje się Pani

bezsilna i z tej bezsilności wpada pani w rozpacz... A może to Pani zdenerwowanie nie jest dobre dla Męża? Na pewno nie jest to dobre również dla Pani? Może powinna się Pani przyznać przed sobą, że nie ma siły, że Pani nie może żyć, nie mając czasu dla siebie... Nawet na chwilę samotności...
– Nie oddam go, nie oddam! – rozkrzyczała się Babcia, czyli Żona Dziadka, a jej krzyk mieszał się ze szloch. – Co to tam takie, psiakrew – rzucił Dziadek, czyli Mąż Babci. Do nikogo widzialnego, tylko jak gdyby pod naciśnięciem zgęstniałego powietrza.
– Sama pani widzi!... – rozplakała się Babcia.
– Widzę – odpowiedziała Pani Psycholog. – I uważam, że powinna pani dać sobie pomóc.

– Dzień dobry, Tato! – zawołał od progu Konrad, Syn Taty. – Dzień dobry, Mamo!
– Dzień dobry! – zawołało pięcioro wnucząt, z których dwoje w tej opowieści występuje po raz pierwszy, a w rzeczywistości zawsze w niej było.
– Dzień dobry, Tato i Mamo! – zawołała Córka. Szur, szur, szur, szur, szur, szur, szur, szur...
Kiedy wszyscy usiedli przy stole, Córka wzięła sprawy w swoje ręce. Czyli zaczęła rozmowę.
– Jest tak – powiedziała – że trzeba coś w końcu postanowić i zrobić... Z Tatą jest coraz gorzej, zanika. Coraz trudniej jest z nim spacerować. Robi siusiu i kupę, nie patrząc na to, gdzie ani kiedy. Jest coraz bardziej smutny... Mama jest chora na serce... Co robimy?
– To znaczy?... – spytał Brat. Czyli Syn.
– To znaczy: oddajemy go... przepraszam – powierzamy go do ośrodka opieki, gdzie są specjaliści i mają cierpliwość do ludzi z chorobą Alz... z tą chorobą... Albo ktoś zamieszka z Rodzicami... z wami, Rodzice... i będzie bez przerwy opiekował się Tatą, albo...
– No właśnie: albo co?... – Mama, czyli Babcia, przytrzymała się ostatnich słów Córki jak nadziei na szczęśliwe rozwiązanie...
– Nie wiem – odezwał się Syn. – Chyba trzeciego rozwiązania już nie ma... Sama nie dasz sobie rady, Mamo... Trzeba poszukać kogoś do pomocy...

Wszystkie bajki mają swój koniec i jest to często koniec szczęśliwy. Na przykład Czerwony Kapturek wraca do mamy. A ta bajka nie ma szczęśliwego końca.
Oto człowiek mądry, wykształcony, troskliwy, zachorował na – nazwijmy to w końcu, skoro on tego nie słyszy – na chorobę Alzheimera, i już. Stało się.
Niektórzy mówią, że to choroba ludzi, którzy nie ćwiczą umysłu... Na przykład nie rozwiązują krzyżówek... Nieprawda: on ćwiczył mózg od dzieciństwa po starość.
Skąd więc się ona wzięła?
Nie wiadomo.
Wiadomo tylko, że oto nagle człowiek troskliwy, wykształcony, mądry, kochany i kochający zaczął się gubić, mylić słowa, przeklinać, zapominać imiona, nie rozpoznawać dzieci, wnucząt ani żony, zasępić się i szurać dłońią po stole, szur, szur, szur.
A potem znów: szur, szur, szur...
I znów: szur, szur, szur, szur, szur, szur...
Nie możemy zrobić nic więcej ani dla tego Pana, ani dla jego Rodziny.
Mogliśmy tylko opowiedzieć pokrótce ich historię.
Żeby, kto ją przeczyta, wiedział, że jeśli ktoś na ulicy nagle krzyczy, denerwuje się albo nie odpowiada na pytania... albo podchodzi do nieznanym ludzi i nie wie, co powiedzieć, to może być człowiek chory.
I żeby, kto przeczyta, wiedział, że razem z nim choruje i cierpi jego Rodzina. Na rozpacz, że widzi kogoś innego w tym samym wcieleniu co przedtem. Na bezsilność, bezradność i smutek.

Myszę, że oni – Żona, Córka, Syn, Wnuczęta – wciąż siedzą z Tatą przy stole i nie wiedzą, jak postąpić, żeby było najlepiej dla wszystkich.
Tylko on, Tata, wie, co ma robić w tej chwili. Choć może nie wie, ale robi. Jakoś tak sam z siebie. Jak gdyby prawa ręka była całkiem poza jego władzą.
Szur, szur, szur...
Szur, szur, szur, szur, szur...
Szur.

PO ŚMIERCI CYWILNEJ JERZEGO STUHRA

Rozczarowane dzieci potępiają ojca

I ty możesz paść ofiarą rygorystyki moralnego, zgodnie z którym jeden nieopatrzny, głupi czyn przekreśla człowieka.

Ewa Kaleta

S toję po stronie autorytetów, być może jako ostatnia, wierzę w nich i w nie bardziej niż w słusze idee. Dlatego, że człowiek w swojej podwójności, w sprzecznościach, w momentach wzlotów, upadków i przemian na przestrzeni lat, daje nam ważniejszą refleksję niż uwodząca idea.

Choroba Jerzego Stuhra, starzenie się, jego błędy i bliskość śmierci, z którą się z pewnością konfrontuje, są dla mnie tak samo ciekawe jak jego role w filmach Kieślowskiego. Pamiętam go w „Amatorze”, gdy dokonywała się erozja wielkich marzeń Filipa Mosza. Ostatnim gestem bohatera, reżysera amatora, jest odwrócenie kamery w swoją stronę, żeby pokazać prawdę o sobie i swoim życiu, z bezkompromisową szczerością, tą samą, z którą dokumentował życia innych. Nie wiem, czy Jerzy Stuhra wykonał taki gest sumienia wobec siebie, choć przeczuwam, że tak – wiem natomiast, że nie dokonują go jego żarliwi krytycy.

Ot takie próbki: „Ciężko o bardziej klasyczny zestaw klasystowskich i pełnych pogardy poglądów niż te Stuhra i Lisa. Elity wciąż ciemnieją Polaków tylko dzisiaj swoje interesy muszą przykrywać frazesami o moralności” (Jan Śpiewak).

„Jazda po pijaku. Zwyklak: bandyta. Zamożny/sławny: ma swoje demony. Buc w pracy. Zwyklak: buc. Zamożny/sławny: jest trudny, wymaga. Alkoholizm. Zwyklak: pijak. Zamożny/sławny: toczy walkę ze słabościami. Niesolidność. Zwyklak: olewus, leń. Zamożny/sławny: ekscentryk, żyje poza schematem” (Łukasz Najder)

Bunt młodych, który obserwujemy i o którym się rozpisujemy, ma wymiar narcystyczny i terapeutyczny jednocześnie: wyraża się przede wszystkim poprzez spłot konfliktu, negacji, potrzeby wypowiedzenia się na swój własny temat i żądania uznania. Chętnie przeczytałabym manifest pokoleniowy lewicowych aktywistów,

który nie byłby uszyty jedynie z krytyki poprzednich pokoleń. Krytyka trwa w najlepsze, poszukiwanie nowych (z góry) skazanych również. Czekam, aż w końcu przedstawią się oskarżyciele.

Aktywiści i moralisci – dziś to kategorie tożsame – zapominają, że uznanie autorytetu czy dorobku artystów nie jest totalizmem czy kultem. To oni, aktywiści, dokonują wypaczenia, interpretując artystów czy intelektualistów jako postaci nieskazitelne – a potem z tej nieskazitelności rozliczając, że zaś jest ona nieosiągalnym i wyobrażonym ideałem, rozczarowanie jest gwarantowane. A w tym wieku i na tym etapie emocjonalno-ideologicznego wzmoczenia reakcją na rozczarowanie jest potępienie tego, który sprawił tę przykrość. W czambuł, jak mawiało pokolenie moich ulubionych rozmówców i Jerzego Stuhra (ach, jak chciałam z nim porozmawiać, nie zdążyłam).

Zastanówcie się, jakiego człowieka stworzy świat, w którym kara nie ma końca, a zawstydzenie przeżywa samego skazanego

Jako publiczności przyszło nam pomóc talent, błąd i śmiertelność jednego człowieka. Czy to naprawdę takie trudne? Poznać sprzeczne? Kultura terapeutyczna, którą tak celebруем, czy służy jedynie definiowaniu własnych traum? Szukaniu adresatów swojej złości? Co z tymi wszystkimi „jesteśmy pełni sprzeczności”, „bądź dobry/dobra wystarczająco”, „nie wymagaj od siebie tyle”, co z tymi wszystkimi sloganami o wybaczeniu, zrozumieniu, szansie? Odnoszą się tylko do nas samych?

Purytański rygorystyczny, moralny maksymalizm nakazujące głosić, że jeden nieopatrzny, głupi czyn przekreśla człowieka, jest aktem odczłowieczenia. A może i gorzej – bo prowokuje do kłamstwa na temat tego, kim jest człowiek w przestrzeni publicznej i prywatnej. Do pomijania tego, co zgrzyta w biografii aktualnie obo-

wiązujących idoli swojej bańki i do biografii własnych. Bo jaki jest powód tego, że na fejsie w aktywistyczno-progresywnych bańkach nikt nigdy nie przejeżdża na czerwonym, nie jeździ starym dieslem, nie wyrzuca wszystkiego, jak leci do zmieszanych, nie lata Ryanaiem na last minute, nie wytacza się z modnej knajpy bohemy podtrzymywany przez kolegów i nikomu nigdy nie wymyka się reakcyjne słowo?

Palimy na stosie kozła ofiarnego, aby spalić z nim symbolicznie to, czego w sobie nie akceptujemy. A najbardziej nie akceptujemy – i dlatego naszym kozłem stał się boomer – uprzywilejowania. Które jest naszym udziałem, ale się go wstydzimy, uważając jednocześnie, że należy się nam go więcej, tylko ładniej nazwanego. (Eksperyment myślowy – jakie byłyby wśród progresywnych moralistów reakcje na błąd Stuhra, gdyby w miejsce emblematycznej trójcy Ustosunkowany Sławny Człowiek Wraca z Partii Po Dobrym Winie Lexusem podstawić, dajmy na to, Ofiarę Balcerowicza Ochroniarza Wiesława Wracającego z Ryb Starym Passatem. Albo Prekariuszkę Baristkę Zośkę Wracającą Ze Schodków Veturilo).

Zapożyczenie prestiżu poprzez krytykę stało się główną formą publicznej aktywności młodych i biernych. Teraz pilnują Jerzego Stuhra, bo na niego akurat padło, lecz wszyscy wiemy, że nie on pierwszy i nie ostatni będzie dyscyplinowany i rozliczany – jako ojciec.

Tak. Ojciec to kolejna figura, z którą usiłują rozliczyć się lewicowi kaznodzieje. Rozczarowani ojcem nie dość idealnym, poturbowani upadkiem dziecięcej wiary w idealnego dorosłego, pytający – rozpaczliwie wzruszająco, gdyby nie kryło się w tym pytaniu tyle agresji – gdzie jest idealny świat, który mieliście nam pozostawić w spadku.

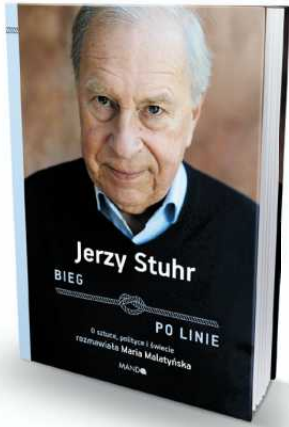
No nie zostawili. Chociaż obiecali. Nakłamali, jacy to nie są i jakim się być powinno. A okazali się inni. Wszystko prawda. Ale to przecież pierwsze lekcje, jakich doświadczamy w gabinetach terapeutycznych: pożegnanie z idealizacją i trudne spotkanie z prawdziwym człowiekiem. Ojcem, matką, żoną, chłopakiem. Jedno jest splecione z drugim. Odmowa podpalenia stosu pod czarownicą, ścięcia kozła ofiarnego jest po-

łączone z zobaczeniem w sobie tego, co widzimy w symbolicznym „złym”. Przyjrzyjcie się swoim kozłom ofiarnym, a zobaczycie swoje pogmatwane obsesje i naiwną chęć ostatecznego oczyszczenia.

Za to konsekwencją terapii nieudanej, niedokończonych lub niepodjętej, konsekwencją nieprzepracowanej dewaluacji, radykalnego przekreślenia i upokorzenia Tamtego jest niezgoda na własny błąd. Radykalna postawa zmusza do tworzenia nowego tabu. Co wy będziecie zamiatać pod dywan w świecie nierealnych wymagań, które sami stworzyliście? Kiedy dorośniecie do lekcji, której zawdzięczamy naszą kulturę, lekcji odwrócenia kamery w swoją stronę?

Tworzyć społeczne egzorcyzmy mające wyrzucić z nas to, co grzeszne, nie mogąc pozbyć się uporczywej nadziei, że sami jesteście pozbawieni cienia. Nie jesteście. Ale zastanówcie się, jakiego człowieka stworzy świat, w którym kara nie ma końca, a zawstydzenie przeżywa samego skazanego. ●

Z Jerzym Stuhrem porozmawiać szczerze bardzo chcieliśmy, ale się nie udało. Jest ciężko chory, w szpitalu. Ale coś o sobie – bliskich ludziach, fascynacjach i rozczarowaniach, presji i konieczności spojrzenia sobie samemu w twarz – zdążył opowiedzieć w wywiadzie rzece „**Bieg po linie. O sztuce, polityce i świecie**”. Książka w dobrych księgarniach i w formie ebooka na Publio.pl.



ZAPRASZAMY NA PREMIEROWE SPOTKANIE Z PAWŁEM KOWALEM:

30 MAJA (WTOREK) G. 19.00

Warszawa, Muzeum Powstania Warszawskiego

Prowadzenie: BEATA TADLA
Goście specjálni: MILADA ŚLIŹIŃSKA
WOJCIECH SOKÓŁ

WSTĘP WOLNY

PAWEŁ KOWAL

ABAKANOWICZ

TRAUMA I SŁAWA

Pierwsza biografia Magdaleny Abakanowicz

Porywającą opowieść o jednej z najwybitniejszych, a jednocześnie najbardziej tajemniczych polskich artystek

Dobrze się stało, że pisania o Magdalenie Abakanowicz podjął się politolog, gdyż sięgnął do źródeł, które mógł pominąć historyk sztuki. Nikt, kto znał artystkę, nie zdziwi się, że ta pozycja wychodzi dopiero po jej śmierci; za życia by na nią nie pozwoliła.

Anda Rottenberg

FOT. ZBIORY INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ ODDZIAŁOWA KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWY POLSKIEMU W KRAKOWIE

Jak to możliwe, że przez cztery dekady nie udało się ustalić, co dokładnie robił Pyjas w ostatnich godzinach życia



Z **CEZARYM ŁAZAREWICZEM**, REPORTEREM, LAUREATEM NAGRODY LITERACKIEJ „NIKE”, AUTOREM KSIĄŻKI „NA SZEWSKIEJ. SPRAWA STANISŁAWA PYJASA”, ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAŚ**

Byłeś 7 maja w Krakowie, w 46. rocznicę śmierci Stanisława Pyjasa?

– Tak, byłem też przed rokiem i są to uroczystości coraz skromniejsze, wykruszają się znajomi Pyjasa.

Bardzo szanuję ludzi, którzy w 1977 roku tworzyli w Krakowie Studencki Komitet Solidarności. Poznałem ich i w jakimś sensie stali mi się bliscy. Ujęli mnie tym, że pomimo drastycznych różnic, rozsiani od lewa do prawa, wciąż potrafią ze sobą rozmawiać. Po kilku minutach spędzonych przed tablicą przy Szewskiej, po złożeniu kwiatów, chwili zadumy, idą wspólnie na piwo, by wspominać dawne czasy. To dla nich ważniejsze od przepychanek współczesności.

Jak wielu z nich jest przekonanych o tym, że Pyjasa zabiła Służba Bezpieczeństwa?

– Nie badałem tego i chyba nie chciałbym wiedzieć. Ale wiem, że nie wszyscy odnoszą się do mojej książki z entuzjazmem. Zostałem w tym roku w Krakowie przyjęty dość chłodno. Bo ja, oczywiście, wysłałem im tekst przed drukiem, czułem się w obowiązku to zrobić, bardzo mi przecież pomogli, włożyli mnóstwo pracy i starań w to, żeby powstało „Na Szewskiej”. Wiem z głosów, które do mnie docierają, że przynajmniej części efekt mojego reporterskiego śledztwa i pochylenia się nad sprawą śmierci Pyjasa nie przypadł do gustu. Nikt, jak dotąd, nie powiedział mi tego w twarz.

Podchodziłem do pracy bez żadnych uprzedzeń. Chciałem odciec fakty, to, co wiadomo, od domysłów i fantazji z początku lat 90. ubiegłego wieku, gdy dziennikarze – i nie tylko oni – puszczali wodze fantazji i próbowali ferować wyroki.

Zająłeś się tym tematem sam czy ktoś cię zachęcał?

– Najpierw na tę książkę namawiała mnie Liliana Sonik, z domu Batko, jedna z osób najbardziej zaangażowanych w powstanie SKS-u w Krakowie i działalność opozycyjną pod koniec lat 70. Wspierał mnie jej mąż, Bogusław. Obojgu podobała się moja książka „Żeby nie było śladów” o pobitym przez milicję Grzegorzu Przemyku. Uznali, że potrzebny jest ktoś z zewnątrz, spoza środowiska dawnego SKS-u, kto byłby w stanie zebrać to wszystko i opisać, co faktycznie wiadomo, a co nadal pozostaje zagadką.

SPRAWA, W KTÓREJ NIE MA ŚLADÓW

Swoją drogą myślę, że wiele osób do dziś nie zdaje sobie sprawy, jak ważne miejsce w historii kształtowania się opozycji demokratycznej w Polsce odegrali ci ludzie. Spędziłem długie godziny na lekturze dokumentów w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej i to z nich na przykład dowiedziałem się, co sądziły bezpieka, milicja i – szerzej – władza komunistyczna. Na przykład Adam Krzysztoporski, generał brygady Milicji Obywatelskiej i w czasie, gdy zmarł Stanisław Pyjas, szef Służby Bezpieczeństwa, dyrektor Departamentu III MSW, napisał jesienią 1977 roku raport o tym, gdzie leży prawdziwe zagrożenie dla ówczesnego ustroju. I poza Komitetem Obrony Robotników oraz Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela wskazywał właśnie na środowisko krakowskiego SKS-u. Z tych trzech organizacji był on najbardziej prężny, najbardziej wolnościowy, pozbawiony utrudniających jego funkcjonowanie struktur. To, co zaczęło się w Małopolsce, rozlewało się – niczym trucizna – po całym kraju. SKS-y powstały w Gdań-

sku, Łodzi, Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu, a bezpośrednim powodem była nagła i tajemnicza śmierć Pyjasa. Ona była zapalnikiem, młodzi ludzie zbierali się i zaczęli działać w przekonaniu, że bezpieka zabiła ich kolegę z Krakowa.

Było jeszcze coś, co mnie do sprawy Pyjasa przyciągało. I oni, myślę o Sonikach i całym ich środowisku, i my, osoby przez lata związane ze środowiskiem „Wyborczej”, mamy wspólnego „trupa w szafie”. Mówię o Leszku Maleszce, przyjacielu Staszka Pyjasa i Bronisława Wildsteina, który – jako, jak się okazało po latach, jeden z „najlepszych” współpracowników krakowskiej bezpieki, „Ketman” – spojrzenie na wydarzenia z roku 1977 mocno wykrzywia. Był wyjątkowo skutecznym współpracownikiem SB, donosił na koleżanki i kolegów z SKS-u, pisał o nich straszne rzeczy, ale nie można podważać, że jednocześnie był wyjątkowo kreatywny w wymyślaniu sposobów, jak ten komunizm obalić. Ta dwoistość jego natury była dla mnie niezwykle intrygująca.

Gdy ukazywała się książka „Żeby nie było śladów”, mówiłeś, że to była sprawa pokoleniowa, chciałeś opisać, jak i dlaczego zginął Przemyk, oddać mu cześć, a jego matce, Barbarze Sadowskiej, sprawiedliwość. A w przypadku Pyjasa?

– Było zupełnie inaczej. Państwo Sonikowie mnie namawiali, a Dorota Nieznalska w jakimś sensie przymusiła. Organizowała w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku wystawę poświęconą Pyjasowi i poprosiła, bym napisał wstęp do jej katalogu. Nie jakieś publicystyczne fiu-bzdziu, ale reportaż o Pyjasie i jego sprawie. Wtedy zorientowałem się, że niewiele wiedziałem. Napisałem tekst, z którego nie byłem do końca zadowolony. Rozmawiałem z jego przyjaciółmi, skubałem trochę wiedzy z dokumentów źródłowych, ale w głowie mnożyły mi się kolejne pytania. Zamówiłem też książkę prof. Zdzisława Marka, najczarniejszego wówczas bohatera tej historii oskarżanego o fałszowanie dokumentacji sekcji zwłok Pyjasa. Tylko ja „poznałem” go przy pisaniu książki o śmierci Grzeska Przemyka. Tam był stanowczy, zdecydowany i bezkompromisowy. Nie zgodził się zamieścić sprawy pod dywan, zrzucić winy na sanitariuszy i do końca przekonywał, że pobili milicjanci. To dlaczego sześć lat wcześniej miałby na zlecenie kłamać i manipulować?

Ciekawiło mnie też, jak to możliwe, że przez cztery dekady nie udało się ustalić, co dokładnie robił Pyjas w ostatnich godzinach życia i dlaczego powstało na ten temat tak wiele legend.

Marek nie widział ciała Pyjasa, które znaleziono na klatce schodowej przy Szewskiej 7 w Krakowie. Ale bronił ekspertyzy stworzonej przez jego podwładnych. Jako szef Katedry Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Krakowie i biegły sądowy nie podważał ich ustaleń.

– I przy okazji wszystkich pytań z prokuratury zawsze konsultował odpowiedzi z podwładnymi, którzy dokładnie zbadali ciało zmarłego studenta.

Pyjasa o poranku znalazł na parterze klatki schodowej, przy ścianie, jeden

z mieszkańców kamienicy. Odchylił ciało, sprawdził, że nie ma pulsu i nie oddycha, wezwał milicję. Funkcjonariusze z kolei poprosili o wsparcie wydział kryminalny. Dla śledczych badających tę sprawę na miejscu było jasne, że Pyjas spadł z drugiego piętra. Tam zresztą, pod jednymi drzwiami, znaleziono jego chlebak.

To był dla nich rutynowy, niebudzący wątpliwości przypadek. Niezwykły stał się po godzinie ósmej rano, gdy komendant wojewódzki MO dowiedział się, że denatem jest student. Musiał o tym – zgodnie z procedurą – powiadomić kierownictwo miejscowej bezpieki. Wpadli w popłoch, gdy okazało się, że Pyjas „pozostawał w zainteresowaniu” SB. Zaczęły się telefony do Warszawy i pilna narada w ministerstwie. Władza słusznie przeczuwała, że o tej śmierci będzie głośno. Osobiście zajmował się tym generał Adam Krzysztoporski i tam należy szukać właściwego początku tego, co nazywane jest sprawą Pyjasa.

Nikt z przyjaciół Staszka nie widział jeszcze wówczas jego ciała – będzie to tylko jedna osoba, Bronisław Wildstein – i dopiero wkrótce mieli się dowiedzieć o jego śmierci, a następnie przekazać tę wiadomość Jackowi Kuroniowi oraz innym działaczom KOR-u. A dowiedzieli się dzięki milicji i bezpieczeń, która zaczęła wyciągać znajomych Pyjasa na przesłuchania. Studenci byli w szoku – jak to, jeszcze kilka godzin temu żył, a teraz znaleziono jego ciało?

Po południu, koło 17, do Zakładu Medycyny Sądowej poszli Bronisław Wildstein ze swoją późniejszą żoną oraz Jacek Nowaczyk. Laborantowi dali stówę, Wildstein podał się za członka rodziny zmarłego i pozwolono mu zobaczyć zwłoki. Powiedział, że jego zdaniem Staszek został zamordowany przez bezpiekę. Ta wieść rozeszła się po Krakowie natychmiast, na Szewską zaczęły zmierzać tłumy, a Bogusław Sonik zadzwonił do Kuronia do Warszawy. Stamtąd wiadomość – po zbadaniu sprawy w Krakowie przez wysłanników Kuronia, czyli Seweryna Blumsztajna i Pawła Bąkowskiego, którym nie udało się wejść do prosektorium i którzy zawierzili przyjaciołom Pyjasa – przedostała się na Zachód i zaczęło ją podawać Radio Wolna Europa. Wszyscy powtarzali, że studenta zamordowało SB. Wszyscy poza władzą, która od początku twierdziła, że znajdujący się pod wpływem alkoholu i mający 2,6 promila we krwi Pyjas zmarł wskutek nieszczęśliwego wypadku.

To, co mówili komuniści, nie miało już jednak większego znaczenia. Mało kto miał dostęp do faktów, sporo było niewiadomych, a śmierć przy Szewskiej 7 stała się jednym z mitów założycielskich polskiej opozycji demokratycznej.

Nie będzie przesadą, gdy powiem, że do dziś dość powszechne jest przekonanie, że Stanisława Pyjasa zabiła bezpieka. W Krakowie są tablice i pomnik, które o tym mówią wprost.

Nie chciałem napisać książki, która by to kwestionowała.

A jaką?

– Gdy siadałem do pracy, byłem raczej przekonany, że będę w stanie znaleźć winnych, nic powiązań, że trafię na ślady, które na zawsze rozwieją wątpliwości. Podejrzewam, że dokładnie tak samo myśleli kolejni prokuratorzy, którzy badali tę sprawę od lat 90. Tylko że nie ma jednego i jednoznacznego śladu, który by pozwolił sprawę Pyjasa po 46 latach rozwiązać: rozkazu, mataczenia, zacierania śladów, rzucania winy.

Sprawa śledztwa – najdłużej toczącego się śledztwa w Polsce, bo w zasadzie od 1977 do 2019 roku – zdawała mi się mniej ciekawa. O wiele bardziej interesujące były te, które ujrzały światło dzienne przy okazji.

Czyli działalność TW „Ketmana”, Lesława Maleszki, jednego z czołowych działaczy SKS-u oraz agenta SB, a w wolnej już Polsce przez lata redaktora „Wyborczej”?

– Maleszka fascynuje z wielu powodów. Ponad dekadę współpracował z SB, milczał, nie miał odwagi, by się przyznać. Po trzeciej,

jak wiele innych osób, które część życia zawodowego spędziły w „Wyborczej”, byłem nim autentycznie zafascynowany.

Poznałem go w 1994 roku dzięki Beacie Pawlak, gdy przyjechałem na staż w dziale reportażu. Dla niej Leszek był jednym z wielkich bojowników o wolność z kategorii tych, którzy się nigdy nie ugięli, jednym z nielicznych prawdziwie odważnych. Leszek był osobą powszechnie szanowaną w redakcji, przyciągał jak magnes, a do tego wspaniale redagował teksty. Był omnibusem, erudytą, miał pojęcie o każdej sprawie, w której się wypowiadał.

To jak zareagowałeś, gdy w 2001 roku przeczytałeś wyznanie: „Byłem Ketmanem”?

– Pracowałem już poza „Wyborczą”, dzwoniłem, składałem propozycje. Nie wiedziałem jeszcze, że nie ma szans, zrozumiałem to dopiero, gdy okazało się, że odmówił przyjaciołom, choćby Romanowi Gracykowi i Michałowi Matysowi. A przecież dobrze się znali, gwarantowali mu bezpieczeństwo rozmowy.

Gdy myślałem o tym, co czuję po lekturze jego wyznania, chyba – jak wiele osób w tamtym czasie – dochodziłem do wniosku, że Maleszkę bezpieka zaszczuła, zapędziła w kozi róg, a on nie miał odwagi odmówić. Był ofiarą przemocy domowej i bał się bicia. To go naturalnie nie usprawiedliwia, ale zapewne gdyby nie śmierć Pyjasa, jego działanie nie wyszłoby na jaw. Informacje, które przekazywał bezpieczeń do początków maja 1977, były istotne, ale być może nie najważniejsze? Nie działał przecież sam, był też Andrzej Balcerek, który okazał się bardzo płodny w tworzeniu raportów na kolegów w okresie, gdy kształtowało się środowisko późniejszego SKS-u, było wielu innych.

Ale jednak Maleszka, który zgodził się na współpracę, donosił na przyjaciół, przez jakiś czas mieszkał z Pyjasem w akademiku, był blisko z Wildsteinem.

– To jasne. I to właśnie informacje przekazywane bezpieczeń między innymi przez Maleszkę zostały wykorzystane przez tajniaków do stworzenia anonimów, które w kwietniu dostali znajomi Pyjasa. Chodziło o to, by ich poróżnić, rozbić, by pokazać, że władza wie o nich wszystko – także o sprawach bardzo prywatnych i intymnych. Wildstein na przykład dostał wiadomość zaczynającą się od słów „Drogi wuju”. To był ich wewnętrzny język, skąd więc bezpieka miała to wiedzieć?

Ale gdy znaleziono ciało Pyjasa, sens i znaczenie anonimów preparowanych przez SB uległy radykalnej zmianie. Uznano, że były zapowiedzią zbrodni. Ciężko było środowisku późniejszego SKS-u tak nie myśleć, skoro jeden z listów zawierał groźbę: „Zajebać takich jak ty”.

Zresztą Maleszka i Sonik wpadli na pomysł, że w sprawie anonimów złożą zawiadomienie w prokuraturze, bo przecież były w nich groźby karalne. Zrobili to, a dwa dni później Pyjas nie żył.

Maleszka jednocześnie donosi na przyjaciół i wraz z nimi rzuca władzy, która go oplaca, dość jednak spektakularne kłody pod nogi...

– W książce Nikosa Kazantzakisa „Ostatnie kuszenie Chrystusa” pojawia się zdanie, że miał on – bohater – „dwoistą naturę”. Ja to samo powiedziałbym o Maleszce. Gdy przebywał z przyjaciółmi, był niezwykle kreatywny, wymyślał sposoby, jak dobrać się do jądra systemu i je zniszczyć, jak sprawić, by SKS był skuteczny. Gdy pisał raporty i przedstawiał się w tajnego współpracownika, starał się być możliwie najbardziej użyteczny, denerwował się, że SB nie umie jego informacji wystarczająco wykorzystać.

Nie chciałem w tej książce skupić się na ocenie Leszka Maleszki, inni zresztą już dawno to zrobili. Ale teraz, gdy rozmawiamy, mogę powiedzieć, że tak, jego postawa zasługuje na potępienie, że tak, mógł zachować się inaczej. I drugie ale – czy my umie-

my w ogóle pojąć, co jest w stanie zrobić człowiek przeżarty strachem i prowadzony przez to uczucie? Niezależnie, czy jest ono racjonalne, czy nie. Adam Szostkiewicz, jedna z osób ze środowiska, w którym obracał się Maleszka, powiedział mi, że po śmierci Pyjasa wyjechał z Krakowa do Zabrza, skąd pochodził, bo naprawdę bał się, że wkrótce bezpieka może zabić kolejną osobę. Dziś być

Maleszka był osobą powszechnie szanowaną w redakcji, przyciągał jak magnes, a do tego wspaniale redagował teksty, był omnibusem, erudytą

może brzmieć to groteskowo, ale nie mamy pojęcia, pod jaką presją wówczas ci ludzie działali. Tym większy szacunek dla tych, którzy 15 maja 1977 roku publicznie odczytali oświadczenie o powstaniu SKS-u, podają w nim swoje imiona, nazwiska, adresy i numery telefonów, jeśli ktoś z nich miał. Dziś to się wydaje czymś zwykłym i normalnym, a wówczas było aktem niezwyklego heroizmu.

Pisząc „Na Szewskiej”, spotkałeś się z Bronisławem Wildsteinem. Nie uznaje ustaleń prokuratury, także tych z 2019 roku o umorzeniu śledztwa.

– To raczej kwestia wiary, która go nie opuściła, gdy w zakładzie medycyny widział ciało Pyjasa. W sprawie śmierci przy Szewskiej 7 nie ma stuprocentowego dowodu – nie ma kogoś, kto widział i mógłby powiedzieć: „Na moich oczach Pyjas zatłukła bezpieka”. Prokurator IPN, który do 2019 roku prowadził postępowanie, nie był w stanie tego udowodnić.

A ja, opierając się na prokuratorskich dowodach, dostarczam w mojej książce racjonalnych argumentów, które w istotny sposób podważają jego graniczące z pewnością przekonanie, że Staszka Pyjasa śmiertelnie pobili ubecy. Nie ma na to żadnego dowodu. Więcej – biegło to ostatecznie wykluczyli. Do tego wniosku doszedł prowadzący ostatnio śledztwo prokurator Łukasz Gramza. I gdzie też każdy, kto przeczytał dziewięćdziesiąt jeden tomów akt sprawy.

Nie mam poczucia zwycięstwa. Choć bardzo rzetelnie – jak sądzę – opisałem wszystkie etapy śledztwa, dotarłem do ludzi, których podejrzewano o jakikolwiek związek z tą śmiercią, choć oddałem głos wszystkim stronom, jeśli było to jeszcze możliwe, ale nie wierzę, że moja książka cokolwiek zmieni. Zawsze będzie ktoś, kto z pełnym przekonaniem powtórzy, że Stanisław Pyjas został pobity przez bezpiekę.

Jestem panu Bronisławowi bardzo wdzięczny za to, że zgodził się ze mną spotkać. Wysłuchałem go i chciałem w tej książce przedstawić jak najlepiej jego punkt widzenia. Gdyby nie determinacja Wildsteina, nigdy byśmy pewnie o Pyjasie nie usłyszeli, być może nie doszłoby do powstania SKS-u. Piszę o tym w książce, przypominam zapominalskim, że on był nieprawdopodobnie zdeterminowany, sprzedał chociażby kolekcję znaczków zmarłego kilka lat wcześniej ojca, by przekazać zdobyte w ten sposób pieniądze na działalność KOR-u. I że był w 1977 roku niebywale odważny, bo podczas przesłuchania – co zostało zaprotokołowane – mówił, że Staszek został zabity.

Co zrobiło na tobie największe wrażenie podczas pracy?

– Chyba to, że osobami, które rozpracowywały grupę Pyjasa, Maleszki, Wildsteina, So-

nika, Batko czy Józefa Ruszara, byli starsi od nich o dwa, trzy lata koledzy z tej samej uczelni, czyli z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeden z tych esbeków, do którego udało mi się dotrzeć, powiedział mi, że on też waletował w „Żaczku” – na drugim lub trzecim piętrze. Pamięta, że poloniści byli znacznie bardziej rozpolitykowani od matematyków, do których on trafił. Tamci konspirowali, on

z kolegami grał w karty. Ale, jak powiedział, wystarczyło przecież, by decyzją administracji trafił do pokoju, w którym spał Pyjas, Wildstein czy Maleszka, a jego losy mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej.

Zrobiło też na mnie wrażenie, że grupa, która rozpracowywała to studenckie środowisko w Krakowie, była naprawdę liczna – samych tajnych współpracowników było kilkunastu. Dla władzy ci młodzi ludzie stanowili, jak widać po latach, realne zagrożenie.

Mówisz, że twoim zdaniem ta książka niczego już nie zmieni.

– Dwie rzeczy są teraz jasne. Po pierwsze, prof. Marek, któremu zarzucano uległość wobec komuny i któremu Wildstein wytoczył proces – z kretesem przegrany – nie manipulował przy ekspertyzach. A za tym idzie sprawa druga: jest niemal pewne, że Staszek spadł ze schodów, wiadomo nawet, z którego dokładnie miejsca, bo udało się to ustalić w toku ekspertyzy biomechanicznej w odtworzonej, wirtualnej klatce schodowej. Nie został przyniesiony skądś, nie został pobity, na Szewską nie podrzucono jego zwłok. Przyczyną śmierci Pyjasa był upadek z wysokości. Jedyne, czego nie wiadomo i czego zapewne już nigdy nie da się ustalić, to kwestia przyczyny upadku – spadł sam czy ktoś go zepchnął.

Jak ustalili biegli, ślady, które znajdowały się na ciele, wzięły się od upadku z wysokości. Miał 2,6 promila alkoholu we krwi, mógł się potknąć, mógł próbować złapać się poręczy, która na tej klatce schodowej była wyjątkowo nisko, na wysokości kolan człowieka o wzroście dość średnim – jak to miało miejsce w przypadku Pyjasa.

Być może najważniejszym pytaniem jest dziś to o znaczenie tej śmierci. Bo czy to wciąż najbardziej istotne, jak do niej doszło? Dla bliskich na pewno, ale w ogólnym rozumieniu? Kto wie, jak potoczyła się polska historia, gdyby Pyjas nie zmarł 7 maja 1977 roku na klatce schodowej przy Szewskiej 7 w Krakowie. Adam Szostkiewicz powiedział mi, że wówczas był przekonany o tym, że SB chce ich po kolei zabijać, dziś ma inne zdanie na temat tamtych wydarzeń, ale jest to „kawał naszej historii” i nic już tego nie zmieni. Historia najciekawsza jest wtedy, gdy poznajemy te jej elementy, które zmieniają bieg wypadków. Tak było z pewnością ze śmiercią Pyjasa.

Po lekturze twojej książki Wildstein nie chciał z tobą rozmawiać. A Maleszka?

– Wysłałem mu tekst. Jeszcze się nie odezwał. Przecież nie będę dzwonił i pytał, co o niej sądzi. Dla mnie to tylko tekst, a dla niego – jego życie. Moja książka zdejmuje z niego odpowiedzialność za śmierć Pyjasa, ale nie jest on pozytywnym bohaterem tej opowieści... ●

SZCZUPLI STAJĄ SIĘ CHUDZI

Zapotrzebowanie na lek odchudzający jest tak duże, że realizacja recepty przypomina polowanie

Katarzyna Staszak

– Na majówkę wynajęliśmy ze znajomymi dom w Chorwacji. 10 osób, głównie pracownicy korporacji. W naszej wspólnej lodówce zobaczyłam dwa pudełka leku odchudzającego podpisane imionami koleżanek. Nigdy nie były grube, teraz są chude. Czy ja też mogę dostać receptę na ten lek? – pyta mnie Ola. Waży 60 kg.

JAK VIAGRA I BOTOKS

W styczniu w polskich aptekach sprzedano ponad 150 tys. opakowań semaglutynu i liraglutynu, czyli leków, które hamują apetyt i ułatwiają odchudzanie – wynika z danych firmy PEX PharmaSequence. W marcu sprzedaż wzrosła do niemal 200 tys. opakowań, co przekłada się na około 60 mln zł wydane w aptekach. Ta kwota mogłaby być wyższa, ale leków brakuje – zapotrzebowanie na świecie jest tak duże, że realizacja recepty przypomina polowanie. Trzeba obdzwaniać apteki i rezerwować pojawiające się opakowania. Podobnie jest w innych krajach. Szczupli ludzie stają się chudzi, a ci, którzy od zawsze kojarzyliśmy z nadwagą, nagle zmniejszają swoje rozmiary – donoszą amerykańskie media. Leki na otyłość są okładkowym tematem magazynów na całym świecie. Ich kariera już jest porównywana do sukcesu botoksu i viagry. Każdy mówi, że nigdy tych produktów nie używał, a wszyscy je znają i potrafią opisać ich działanie. „Semaglutyd z medycyny stał się symbolem statusu” – napisał magazyn „New York” w reportażu o modzie na odchudzanie, która ogarnęła Los Angeles i Nowy Jork. W Polsce media nie mogą używać nazw handlowych leków, czyli tych widocznych wyraźnie na opakowaniach. Informujemy tylko o substancji czynnej. W USA takich ograniczeń nie ma. Amerykańskie filmiki zachwalające działanie nowych leków zalały serwis społecznościowy TikTok.

EFEKT UBOCZNY: CHUDNIĘCIE

Semaglutyd i liraglutyd to leki z grupy analogów ludzkiego peptydu glukagonopodobnego 1, w skrócie: GLP-1. To hormon wydzielany przez jelito w odpowiedzi na posiłek. Czy leki z grupy GLP-1 rzeczywiście są przełomem w leczeniu otyłości? – Mamy do czynienia z prawdziwą rewolucją – potwierdza prof. Alina Kuryłowicz, diabetolożka i endokrynolożka. Pracuje w Poradni Leczenia Otyłości Szpitala im. Orłowskiego w Warszawie, a w PAN prowadzi badania dotyczące zaburzeń w funkcjonowaniu tkanki tłuszczowej. Nowe leki, nie są tak naprawdę zupełnie nowe. Analogi GLP-1 od lat stosuje się u chorych na cukrzycę. Ich działanie odchudzające lekarze zaobserwowali jako skutek uboczny terapii. – Białka, które naturalnie wydzielają się w naszym przewodzie pokarmowym po posiłku, dają trzy ważne sygnały. Pierwszy do trzustki: wydziel tyle insuliny, ile wynosi stężenie cukru we krwi. Z tego wzięło się podstawowe zastosowanie tych leków do leczenia cukrzycy. Drugi sygnał idzie do głowy: ja dleś, nie musisz jeść więcej. Ośrodek sytości jest pobudzony. Trzeci sygnał idzie do żołądka: pracuj wolniej, ciesz się tym posiłkiem, będziesz dłużej syty – tłumaczy prof. Kuryłowicz. Leki sprawiają, że sygnały z jelit docierają we właściwe miejsca z całą mocą. A to chroni pacjentów przed ciągłą potrzebą podjadania. Apetyt maleje, waga spada. Liraglutyd trzeba sobie wstrzyknąć pod skórę codziennie. Semaglutyd wystarczy wstrzyknąć raz w tygodniu. Liraglutyd pozwala schudnąć 10-12 kg, z semaglutydem ten spadek może sięgnąć nawet 20 kg.

BESTSELLER NA SETNE URODZINY

Leki, na które trzeba polować w aptekach, wyprodukowała duńska firma Novo Nordisk. W swoje setne urodziny może cieszyć się sukcesem, który przerósł jej oczekiwania – w tym roku sprzedaż semaglutynu ma sięgnąć 12,5 mld dol. Co ciekawe, historia koncernu zaczęła się także od leku na cukrzycę. W 1921 r. duński laureat Nagrody Nobla August Krogh i jego żona Marie, lekarka chorująca na cukrzycę, dowiedzieli się o odkryciu insuliny. August wybrał się do Kanady i poprosił tamtejszych naukowców o zgodę na produkowanie insuliny w Danii. Wiosną 1923 r. pierwsi pacjenci skorzystali z leku Novo Nordisk. Popularność analogów GLP-1 ma ogromne konsekwencje w całej branży związanej z chudnięciem, zdrowiem i dobrym samopoczuciem. Amerykańska spółka oferująca program dietetyczny WeightWatchers kupiła firmę telemedyczną, żeby wystawiać recepty. Po 60 latach uczenia zdrowych nawyków, poprawiania diety klientów i zachęcania ich do ruchu zarząd WeightWatchers uznał, że te metody klientom już nie wystarczą. Jeśli nie dostaną w pakiecie recepty na leki odchudzające, mogą pójść gdzie indziej. Osoby, które stosują semaglutyd, wymieniają się doświadczeniami w zamkniętych, ale liczących tysiące osób grupach na Facebooku. Przejrzałam dyskusje na jednej z polskich grup. Większość osób opisuje rezultaty swojej terapii i możliwe skut-

ki uboczne, jak nudności i wymioty. Są pytania o schematy zwiększania i zmniejszania dawek. Sporo jest zdjęć pokazujących różnicę w wyglądzie – przed kuracją i po niej. Zdarzają się jednak nadmiarowe oczekiwania: „Wczoraj wzięłam pierwszą dawkę w udo. Zero efektów”. Ktoś pyta: „Czy można po miesiącu przerwać branie na dwa tygodnie (wczasy w Toskanii) i sobie pofolgować z jedzeniem i winem?”. Szczupła dziewczyna (sądząc po profilowym zdjęciu) chce sprzedać dwa opakowania leku, bo zabrakło jej na mieszkanie.

Ile to kosztuje? Jedno opakowanie semaglutynu do wstrzyknięć w najniższej dawce kosztuje ok. 350 zł. Niektórzy pacjenci z cukrzycą mogą skorzystać z refundacji NFZ, wtedy płacą za semaglutyd w formie wstrzyknięć 30 proc. Żeby załapać się na dopłatę NFZ, trzeba mieć: wskaźnik masy ciała (BMI) powyżej 30; procent hemoglobiny glikowanej (HbA1c) powyżej 7,5 pomimo leczenia dwoma lekami na cukrzycę; wysokie ryzyko zawału serca lub udaru mózgu. Jedno opakowanie drugiego leku – liraglutynu – kosztuje ok. 400 zł. Ten lek nie jest refundowany. Czy receptę na taki lek może dostać osoba ze zbyt dużą masą ciała, ale bez cukrzycy? Na liraglutyd bez problemu. Semaglutyd wciąż czeka w Polsce na rejestrację do leczenia otyłości. W aptece pojawią się wtedy pudełka z tą samą substancją, ale z inną nazwą handlową – tylko tym różni się lek na otyłość od leku na cukrzycę. Ponieważ z wielu badań wiadomo, że semaglutyd wspomaga odchudzanie, lekarz może zgodzić się na wystawienie recepty poza wskazaniami medycznymi. Żeby odpowiedzieć na zainteresowanie klientów, niektóre apteki zaczęły sprzedawać semaglutyd z importu, czyli opakowania przeznaczone do sprzedaży w innych krajach. Za taki lek trzeba zapłacić ok. 700 zł, czyli dwa razy więcej niż za opakowanie przeznaczone na polski rynek. Dlaczego niektórzy chudną przy pomocy leków spektakularnie, a inni nie mogą dojść do wielkich zmian? – Najskuteczniej te leki działają u pacjentów, którzy mają fenotyp otyłości określanej jako głodne jelita (hungry gut). Takie osoby mają niedobór hormonów jelitowych, które lek im dostarcza. Jedzą często i dużo, bo czują głód. Analogi GLP-1 dostarczają im tego, czego

FOT. SHUTTERSTOCK

potrzebują, żeby poczuć sytość, więc w tym przypadku leczenie ma charakter suplementacji – tak jak przy niedoborze witaminy D czy niedoczynności tarczycy – tłumaczy prof. Alina Kuryłowicz. Zaznacza, że na głodne jelita mogą się nakładać inne problemy, choćby element emocjonalny, czyli np. odreagowywanie stresu za pomocą jedzenia. – Wtedy z jednej strony lek może działać, bo człowiek ma niedobór glukoagonopodobnego peptydu 1. Z drugiej strony lek może nie zadziałać, bo nie będzie w stanie przebić się przez impuls nakłaniający do emocjonalnego jedzenia. Przyczyn otyłości jest wiele, to bardzo złożona choroba, powinniśmy się cieszyć, że mamy lek, który pomaga części pacjentów. I zwracać uwagę, na ile istotnym czynnikiem powodującym wzrost masy ciała u naszego pacjenta są emocje – podkreśla diabetolożka.

DO SCHUDNIĘCIA CZY NA ZAWSZE?

Na forum pacjentów zdarzają się narzekania, że po odstawieniu leku waga wróciła. – Jeśli ktoś ma niedobór hormonu, który steruje uczuciem głodu i sytości, to zakładamy, że ten niedobór jest stały. Tak jak u osób z chorą tarczycą, które cały czas przyjmują hormony. Zgodnie z najnowszą wiedzą otyłość to choroba przewlekła – jak cukrzyca czy nadciśnienie – i wymaga przewlekłego leczenia. „Przewlekłe” trzeba zmienić nawyki, ale coraz częściej myślimy o tym, że pacjent powinien przewlekłe przyjmować leki. Może nie cały czas muszą to być leki w dawce maksymalnej, ale w dawce podtrzymującej już tak – wyjaśnia prof. Kuryłowicz. – Skuteczność terapii analogami GLP-1 jest różna u różnych osób. Od części pacjentów słyszę, że z czasem ich organizm się do leków przyzwyczaja. W pewnym momencie zaczynają ignorować sygnały wysyłane przez ciało i jedzą, choć organizm mówi „nie jesteś głodny”. Dzieje się tak, jeżeli nie wykonają pracy z psychodietykiem dotyczącej kontroli impulsów. Jeśli jedzenie pozostanie dla kogoś podstawową metodą podnoszenia się na duchu albo nagradzania się, to będzie impulsy wysyłane przez ciało ignorować – przestrzega diabetolożka. Dlatego dietetyczka kliniczna dr n. o zdr. Daria Bąłtaza przekonała lekarzy w klinice Longevity Center w Warszawie, że to ona daje sygnał, kiedy pacjent może dostać receptę na lek. – Skoro wiemy, że podstawą zdrowia jest styl życia, to pacjent musi uporządkować swoje nawyki żywieniowe, zanim dostanie lek. Dopiero gdy widzimy, że organizm stawia opór, że po pierwszych efektach jest zastój na wadze, to wtedy włączamy leki. Pacjenci mają z tego większą przyjemność – łatwiej reagują na sygnały organizmu, dostali narzędzia do dbania o siebie. To wpływa pozytywnie na ich nastawienie, nie mają nierealnych oczekiwań „włączam lek, więc powinienem być natychmiast chudy”. Takim osobom łatwiej też zakończyć terapię, nie rzucając się na jedzenie, jak tylko ostatnia dawka leku przestanie działać. Mam pacjentów, którzy po półrocznej terapii odstawili leki i wciąż tracą na wadze. Potrafią już czerpać przyjemność z troski o siebie, z dbania o jedzenie i ruch. Przejęły kontrolę nad własnym ciałem – mówi Bąłtaza.

LEKI BANKIETOWE

– Sukces w leczeniu otyłości mierzymy zmniejszeniem ryzyka wystąpienia innych chorób, np. udaru mózgu czy zawału serca. Jeśli lek uczyni naszych pacjentów zdrowszymi, szczęśliwszymi ludźmi, to dobrze. Szansa, że uczyni ich trwale ludźmi chudymi, jest nieduża. W otyłości cięsz nas każda redukcja masy ciała, ale musimy być świadomi, że bez zmiany nawyków nastąpi ponowny jej wzrost. Patrzenie na otyłość jako na chorobę przewlekłą sprawa, że zmienia się też terminologia związana z redukcją masy ciała. Gdy pacjent skutecznie schudnie, mówimy o remisji choroby, gdy jednak jego waga ponownie wzrośnie, to nazywamy ten fakt nawrotem choroby otyłościowej, który potocznie nazywany był efektem jo-jo. Nawrót otyłości dotyczy najczęściej pacjentów, którzy traktują leczenie jako epizod w swoim życiu i nie planują wprowadzenia trwałych zmian. Widzimy to u osób, które z dnia na dzień odstawiają leki z grupy analogów GLP-1 – opowiada prof. Kuryłowicz.

W kolejce po leki nie ustawiają się jednak tylko osoby z cukrzycą i otyłością. Receptę chcą dostać także osoby szczupłe. Spekulacje, kto brał semaglutyd, to już stały temat amerykańskich portali plotkarskich. Gwiazdy zrzucają kilogramy i nie przyznają się do korzystania z leków. W warszawskiej klinice też widać takie osoby. – Razem z lekarzami przyglądamy się czasem wynikom pacjentów i dociekamy, o co chodzi. Musimy dopytywać, czy pacjent brał semaglutyd, nie dostajemy tej informacji, choć przecież mamy się zająć jego leczeniem. Brakuje świadomości, jakie są możliwe skutki uboczne zażywania leków. Stąd pomysł, że mogą to być działania bankietowe, czyli: mam ważne wydarzenie w kalendarzu, to szybko schudnę. Coś, co działa szybko, zawsze będzie w sprzeczności ze zdrowiem. Powinniśmy dać naszemu ciału czas na przemianę. Z drugiej strony musimy zaakceptować, że ludzie zawsze będą wybierali to, co jest modne czy dla nich wygodne – stwierdza Bąłtaza.

A w jaki sposób osoby bez cukrzycy i bez otyłości dostają receptę na lek? Na przykład dzięki serwisom internetowym oferującym e-recepty. Żeby sprawdzić, jak to działa, weszłam na pierwszy portal, który się wyświetlił. Wybrałam opcję ekspresowej recepty bez konsultacji z lekarzem. W rubryce „waga” wpisałam 72 kg, prawie 20 kg więcej, niż ważę, żeby system uznał mnie za osobę z nadwagą. Przy pytaniu o choroby przewlekłe wybrałam cukrzycę typu 2. Zazaczyłam, że recepta to kontynuacja mojego leczenia. Kiedy miałam wpisać nazwę leku, na jaki chcę receptę, system sam podpowiedział mi semaglutyd (pod nazwą handlową, czyli tą z opakowania). Zapłaciłam niecałe 50 zł i dostałam e-receptę.

KOSZTY REWOLUCJI

Osobom, które nie tylko czują ciągly głód, ale jedzą też za dużo z powodów emocjonalnych, lekarz może dodatkowo zalecić lek łączący naltrekson i bupropion. – Naltrekson jest stosowany w leczeniu uzależnień od alkoholu i opiatów, a bupropion – m.in. w leczeniu depresji i nikotynizmu.

Połączenie tych substancji zwiększa uczucie sytości i hamuje apetyt czy silną potrzebę zjedzenia czegoś konkretnego. Lek działa na ośrodek nagrody w mózgu, pomaga opanować ból duszy, który prowadzi do objadania się – opisuje prof. Kuryłowicz. Lek na „jedzenie emocjonalne” nie jest refundowany, opakowanie kosztuje ok. 400 zł. Jeśli dodać do tego kurację analogami GLP-1, wizyty u psychologa i dietetyczki oraz karnet na siłownię, odchudzanie może się okazać bardzo drogie. A może być jeszcze droższe.

– Na horyzoncie jest już tirzepatyd, czyli lek, który działa nie tylko na receptory GLP-1, ale też na GIP, czyli innego hormonu wpływającego na metabolizm. Badania pokazały, że przy pomocy tego leku pacjenci tracili średnio ponad 20 kg. O tym leku mówi się, że to game changer, wytrąci chirurgom z rąk skalpel, skoro jest skuteczny jak operacje bariatryczne. W zaawansowanych badaniach klinicz-

Leki to wędka, a nie ryba – to pomoc w zmianie stylu życia. Najtrudniejsze jest zmienienie na stałe nawyków

nych jest kilkanaście innych substancji, co oznacza, że farmakoterapia otyłości będzie się w najbliższych latach bardzo rozwijać. Problemem jest dostępność leków: za ampułkę tirzepatydu płaci się w USA tyśiąc dolarów. To dawka na tydzień – podaje prof. Kuryłowicz. Tirzepatyd produkuje Eli Lilly, firma z centralą w USA. – Na amerykańskim rynku nie ma regulacji cen. W Europie tirzepatydu jeszcze nie mamy, ale mało prawdopodobne, żeby był dostępny za taką cenę. Do Europy takie leki docierają z opóźnieniem, co tłumaczy się tym, że u nas problem otyłości jest mniejszy. Wydaje mi się jednak, że kluczowe są kwestie ekonomiczne – mówi prof. Kuryłowicz. Popyt na leki z grupy GLP-1 zaskoczył firmy farmaceutyczne. Chcą dostarczyć je wszystkim chętnym, ale nie nadążają z produkcją. Firma Eli Lilly zapowiedziała, że do końca tego roku dwukrotnie zwiększy swoje moce produkcyjne, żeby wprowadzić tirzepatyd na rynki poza USA.

Novo Nordisk informuje, że dostawy semaglutylu do Polski „zostały znacznie zwiększone i intensywnie pracuje nad dalszym ich wzrostem”.

PREMIUMIZACJA ZDROWIA

Leków wciąż brakuje, co daje wrażenie, że czekają na nie wszystkie osoby z otyłością. Jednak według ekspertów z Global Wellness Institute te leki mogą być przykładem premiumizacji produktów zdrowotnych. Są drogie i z działu medycznego wskoczyły też do branży wellnessowej. Korzystają z nich osoby zamożne i celebryci, choć nie wszyscy mówią o tym tak otwarcie jak Elon Musk, założyciel Tesli i SpaceX.

Można premiumizację odchudzania zastopować, jeśli koncernom farmaceutycznym uda się produkować leki na większą skalę, a ubezpieczyciele – jak polski NFZ – będą je szeroko refundować i negocjować z producentami obniżki cen. To może być kluczowe dla odwrócenia trendów dotyczących otyłości. Obecnie dwie piąte ludzi na świecie waży zbyt dużo. Jeśli coś się radykalnie nie zmieni, do 2035 r. połowa światowej populacji będzie miała nadwagę lub otyłość – wynika z prognozy Światowej Federacji Otyłości.

– Świat bez otyłości byłby teoretycznie możliwy, gdyby te leki były dostępne na wyciągnięcie ręki dla każdego, kto ich potrzebuje. A tak nie jest i pewnie długo nie będzie. Poza tym leki to wędka, a nie ryba – to pomoc w zmianie stylu życia. Najtrudniejsze jest zmienienie nawyków na stałe. Kiedyś wydawało się nam, że operacje bariatryczne, czyli chirurgiczne zmniejszenie żołądków, będą rozwiązaniem problemu otyłości. Teraz mówimy o nich w kategoriach podobnych do leczenia chorób nowotworowych, gdzie ocenia się skuteczność terapii w perspektywie pięcioletniej. Czyli mówimy, ilu pacjentom udało się utrzymać zmniejszoną masę ciała po pięciu latach. Tak mierzymy sukces. A po 10 latach u większości operowanych osób masa ciała rośnie. To pokazuje, że leczenie otyłości jest głównie pracą nad nawykami. Operacja czy lek to dodatkowe ułatwienie – podsumowuje prof. Kuryłowicz.

TAKIE PROSTE, A NIE CHUDNIE

– Moim zdaniem otyłość wciąż będzie wokół nas, bo powstaje na bazie wielu czynników. Wychowania, przyzwyczajajeń, przekonań na temat jedzenia i ciała. Jedzenie jest emocjonalnie nacechowane, wiele osób długo je tak, jak jadło w rodzinnym domu, bo boi się zmiany. Sam lek tego nie rozwiąże. Bez globalnego podejścia do edukacji żywieniowej nie damy wszystkim wiedzy, jak przeciwdziałać otyłości. Konsultacje z dietetykami powinny być bardziej powszechne – uważa Bąłtaza.

Rewolucja w leczeniu otyłości dopiero się rozkręca. Czy jednak sama nie tworzy nowej pułapki na chorych? Zastrzyk raz na tydzień to właściwie żaden wysiłek. Przy takiej narracji osoba z otyłością może być postrzegana jako ktoś, komu nie chce się podjąć nawet „prostego” działania. ●



CO MNIE URZEKŁO

Najważniejsza umiejętność księżnej

Lawirowanie pomiędzy sprzecznymi interesami mężczyzn

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK*

N

Nawet nie będąc fanem literackiej fantastyki, słyszałem o Annie Brzezińskiej, która w latach 1998-2004 zdominowała tę specyficzną scenę, trzykrotnie zdobywając prestiżową Nagrodę Zajdla. To sprawiło, że otworzyłem Jej najnowszą książkę, nie zrażając się tak modną ostatnio grubością. Niemal 800 stron!

Obszerna bibliografia autorki zmusza do pytania: Jak Ona to robi? Trzeba mieć niezwykłą umiejętność fabularnego formułowania myśli i przelewania ich na papier w formie atrakcyjnej literacko, żeby napisać tyle publikowanych i chętnie czytanych tekstów. Autorka „Zmierzchu świata rycerzy” włada piórem w sprawę fecht mistrzów z czasów, które opisuje.

Tym razem Brzezińska tworząc spojrziała na przełom średniowiecza i renesansu, kiedy „wiał już inny wiatr, rozdmuchując po świecie nowe opowieści, przesycone renesansową ironią i pochwałą sprytu, choćby najbardziej niemoralnego, byle zwieńczonego błyskotliwą puentą”. Europa wkraczała wtedy na fascynująco nową ścieżkę.

Przeciętnie wykształcony człowiek kojarzy te czasy prawie wyłącznie z ozdabiającymi wiele miast wielkimi osiągnięciami architektury i ze słynnymi dziełami sztuki wypełniającymi galerie i muzea. Do tego dochodzi kilka postaci symboli – angielski król uzurpator Ryszard III York, papieska córka Lukrecja Borgia czy charyzmatyczny florencki mnich Girolamo Savonarola.

Czarna propaganda szerzona przez ich wrogów politycznych perfidnie ukształtowała ich wizerunki jako niemal przysłowiowe wcielenia wszelkiego zła. Tym krzywym lustrum artystycznego poloru dodali liczni poeci i pisarze, zawsze chętni do żerowania na fascynujących ludzi wynaturzeniach. Ta skłonność nie ominęła nawet Williama Szekspira, u którego zbrodniczy garbus Ryszard III haniebnie ginie pod



FOT. BRITISH LIBRARY/DOMENA PUBLICZNA

Bosworth, żałośnie błagając: „Królestwo za konia!”.

Dopiero solidni badacze z XIX w. zaczęli przywracać im należne miejsca w historii, równocześnie zdejmując z nich maski wynaturzeńców. Bo nie byli przecież zbrodniarzami, tylko wieździeli, że wtedy, jak i dzisiaj, „bycie obecnym znaczyło bycie widzianym, a bycie istotnym znaczyło bycie widzianym wyraźniej od innych”. Oni byli wyraźnie widziani i dlatego zostali dobrze zapamiętani, choć może nie tak, jak by sobie tego życzyli.

A przecież żyli w czasach, które nam wydałyby się straszne. W których wojna miała charakter endemiczny, życie było bardzo krótkie i miało bardzo niską cenę, a ludzie niskiego stanu nie mieli więcej praw niż zwierzęta gospodarskie. W wyższych sferach dominowały siła, dyplomacja i koligacja, więc spory rozstrzygano mieczem, a sojusze zawierano przez małżeństwa. Była to epoka, która „wulgarną i grzeszną erotykę łączyła ze szczerą nabożnością”, a „złoto pokrywało blaskiem występki”.

Dzisiaj doprawdy trudno nam uwierzyć, że szwagier Lukrecji

Ippolito d'Este został mianowany opatem klasztoru w Pomposie w wieku sześciu lat; dwa lata później wysłano go na Węgry jako apostolskiego administratora arcybiskupstwa Esztergom/Ostrzyhomia; jako czternastolatek został z łaski papieża Aleksandra VI kardynałem diakonem; a w wieku osiemnastu lat – arcybiskupem Mediolanu. Przy tym był królem życia, miłośnikiem polowań i mecenasem sztuki.

W świecie patriarchalnym nie powinno dziwić, że „historia jest nieodmiennie skoncentrowana na wielkich czynach wielkich mężów”. Jednak Brzezińska podjęła próbę, aby „w społeczeństwie, które nie opierało się na samodzielności i przedsiębiorczości kobiet”, znaleźć niewiasty, które odcisnęły wyraźne piętno na epoce. I je znalazła, chociaż mnie nie przekonała, że faktycznie „zawdzięczamy im nowożytność”, co zapowiada tytuł książki.

Małgorzata York, angielska żona księcia Burgundii Karola Zuchwałego, oraz pół-Hiszpanka Lukrecja Borgia, żona kolejno:

dwóch arystokratycznych bastardów i księcia Ferrary, były niewątpliwie postaciami wybitnymi, ale nie miały siły sprawczej, aby faktycznie zatrzęść światem, w którym brylowali (z różnym skutkiem) ich ojcowie, bracia, mężowie i synowie.

Ta pierwsza była księżniczką krwi, ta druga nieślubną córką papieża Aleksandra VI i rzymskiej kurtyzany. O losach obu zdecydowali ich potężni ojcowie, którzy bezceremonialnie wydawali je za ludzi, z którymi chcieli zawrzeć sojusz. Ta pierwsza miała nieskazitelną opinię, została młodą bezdzietną wdową, a z czasem matriarchinią rodu Walezjuszy burgundzkich. Ta druga, oskarżana o wszelkie możliwe bezceństwa, była trzykrotnie zamężna, urodziła gromadkę ślubnych i nieślubnych dzieci, a pod koniec życia została pobożną matroną wojowniczej dynastii d'Este.

Obie były świetnie wykształcone, odporne na stresy gwałtownych wydarzeń. Obie promowały nowe trendy w sztuce, która, jak wiadomo, „potrafi nie tylko odtwarzać, ale i kreować rzeczywistość”. Jedna zyskała sławę skromnością i monolityczną moralnością, druga garściami czerpała z życia, dając liczne powody do odpowiednio wyolbrzymianych plotek. Obie wywarły wpływ na swoją epokę, ale wszak nią nie zatrzęsły, bo nie mogły przemóc rygorów patriarchalnej rzeczywistości. Ich siła polegała na umiejętności lawirowania pomiędzy sprzecznymi często interesami mężczyzn dążących za wszelką cenę do poszerzenia zakresu swojej władzy.

Wiele innych kobiet udawało, że potrafią odnieść sukces w zmaskulinizowanych społeczeństwach. Mimo że „w całej Europie miały ograniczone prawa, przy sprzyjających okolicznościach rzutkie niewiasty potrafiły sprawnie i na własny rachunek zarządzać majątkiem, a nawet go pomnażać”. Specyficznym przykładem jest Vanozza Cattanei, rzymska kurtyzana, oficjalna konkubina Rodrigo Borgii, kardynała, a od 1492 r. papieża Aleksandra VI. Trzykrotnie zamężna, ignorowana przez wpływowe dzieci – Cesare, Juana i Lukrecję – konsekwentnie budowała swoją pozycję ekonomiczną, osiągnęła pod koniec długiego życia pozycję szanowanej właścicielki sieci eleganckich hoteli.

Mimo zwodniczego tytułu Anna Brzezińska nie uległa pokusie napisania historii feministycznej, naginając rzeczywistość historyczną do założeń ideologicznych. Skreśliła obraz epoki fascynujący kolo-rytem i licznymi odniesieniami do niepolitycznej codzienności. Toteż czyta się tę książkę jak dobry kryminał – taki, w którym znamy zakończenie, ale nie wiemy, jak do tego doszło. Może za dużo w nim osób, czy raczej osobowości historycznych, ale nadają one tej opowieści prawdziwości. Może za dużo poprzepłatanych wątków międzyrodowych i międzynarodowych, ale ta wielopiętrowa sieć powiązań pokazuje, jak bardzo skomplikowana była ówczesna rzeczywistość.

No i te komentarze! Osób zupełnie niehistorycznych – dwórek, kucharzy, praczek, kupców, rze-

mieślników, karczmarzy, służących, ogrodników, mnichów i innych złośliwców – których złotymi myślami autorka się wyręcza, gdy chce powiedzieć coś od siebie. Politycznie, i – zdaje się – nie tylko odnośnie do epoki i jej bohaterów:

- „Krew rozlana woła o sprawiedliwość”;
- „Kto za wiele gryzie, łatwo zapomina żuć i przełykać”;
- „Nie należy się niczemu dziwić, chyba że mężczyźnie w ciąży”;
- „Nadmiar, podobnie jak niedostatek, potrafi przysporzyć problemów”;
- „Każdy dom, choćby najpotężniejszy, jeśli jest zbudowany na nieprawości, musi upaść”;
- „Podarki zaślepiają dobrze widzących...”;
- „Więcej osiągnie się miodem niżli octem”;
- „Korzeniem wszelkiego zła jest chciwość”;
- „W Rzymie wszystko da się kupić... I odpust, i ziemską sprawiedliwość”;
- „Miłosierdzie jest zbyt rzadką monetą wśród władców, by wydobywali ją z sakiewki za każdym razem, kiedy ktoś o nią poprosi”;
- „Władzy nie da się sprawować skrycie i z dala od oczu poddanych”;
- „Każde wewnętrznie skłócone królestwo pustoszeje, żadne miasto ani dom, wewnętrznie skłócone, się nie ostaną”;
- „Kronikarze często się mylą, ponieważ biorą za dobrą monetę obietnice książąt, ci zaś używają słów nie po to, by odsłonić swoje zamiary, ale by je ukryć...”;
- „Retoryka politycznego konfliktu jest obojętna na prawdę”;
- „Drzewo wolności trzeba podlewać nie tylko krwią, ale i strugą złota”;
- „Równie ważne były powiązania nieoficjalne: książęca łaska i związane z nią przywileje, dostęp do informacji oraz powinowactwo, także z wpływowymi konkubinami”.

To nie jest książka dla ludzi, którym w interpersonalnej komunikacji wystarczą SMS-y, a ich wiedza o świecie składa się z samych nagłówków doniesień internetowych. ●

***Przemysław Urbańczyk** – związany z UKSW i PAN, jeden z najbardziej znanych polskich mediewistów, autor wielu książek, m.in. „Rok 1000. Milenijna podróż transkontynentalna”, „Zanim Polska została Polską”, „Mieszko Pierwszy Tajemniczy”, „Co się stało w 966 roku?”, „Bolesław Chrobry – lew ryczący” i najnowszej „Trudna historia zwłok” oraz kilku-set artykułów.

„Zmierzch świata rycerzy. O kobietach, którym zawdzięczamy nowożytność”. Książka Anny Brzezińskiej już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



Rój

Idealny obraz PiS-owskiego ula psuje truteń, który nic nie robi i żyje z pracy innych.

Michał Rusinek



Niedawna konwencja PiS została nazwana przez organizatorów „Programowym Ulem Prawa i Sprawiedliwości”. Użycie tu słowa „ul” nie służyło jednak pozyskaniu pszczelarzy, lecz było metaforycznym zabiegiem pozwalającym członkom i działaczom tej partii postrzegać siebie jako społeczność owadów blonkoskrzydłych z rodziny pszczołowatych.

Zabieg ten miał niestety charakter wyłącznie językowy. Uczestnicy konwencji nie zostali zobligowani do przebrania się w stroje pszczołek. Zawsze jednak możemy wysilić wyobraźnię, a jeśli komuś wyobraźni już nie starcza – co jest w tym kraju zrozumiałe – może użyć sztucznej inteligencji, która zdjęcia z konwencji stosownie przerobi. Bo przecież organizatorom chodzi także o to, żebyśmy my, społeczeństwo, postrzegali polityków partii rządzącej jako pszczołki. Jak rozumiem – pracowite.

Pszczola jest symbolem nie tylko pracowitości, ale także instynktownego porządku, troskliwości, altruizmu, mądrości, powodzenia, posłuszeństwa i wstrzemięźliwości. Jak również miodopłynnej wymowy czy pochlebstwa. Istotnie, wydaje się ona doskonałym symbolem polityka należącego do zdyscyplinowanej partii politycznej. Nieco psuje ten idealny obraz truteń, który także przecież mieszka w ulu, choć rzekomo nic nie robi i żyje z pracy innych. Ale nie bądźmy kąśliwi – kąśliwość należy do cech także symbolizowanych przez pszczoły.

W literaturze wręcz roi się od pszczoł. Jan Kochanowski pisze: „Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły/ Biorą miód, który po tym szlachci pańskie stoły” – czyli zauważa, że praca tych owadów służy przedstawicielom wyższych klas spo-

lecznych. Innego zdania jest Leopold Staff, który twierdzi, że pszczoły służą chłopstwu i Kościołowi: „Złote księżniczki ulów, zabiegliwe pszczoły,/ pokorne służki pracy i mądrości boskiej,/ gościnny Piasta napój śląc stolom wioski/ i świecami pobożnie zdobiące kościoły!”. To by się zgadzało. Także w kontekście retoryki godnościowej: miód jest tu nazywany napojem piastowskim, a więc polskim, rodzimym, a nie jakimś wymyślanym. Ignacy Krasicki uważa, że przynależność do państwa pszczoł jest gwarantem szczęścia: „rządnego państwa mieszkańcy szczęśliwi,/ wam tylko szczęścia, wam losu zazdroszczę”. Innymi słowy, żeby być szczęśliwym, trzeba być pszczołą. W państwie pszczoł.

„Pszczola w jednymże ciele miód nosi i jady” – pisze Jan Andrzej Morsztyn, świadomy symbolicznej ambiwalencji mieszkanki ula. Nie jest to jednak ambiwalencja szkodliwa dla konwencji PiS-u. Wszak żądło używane jest w celach obronnych w chwili zagrożenia ze strony wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. W państwie rządzone przez pszczoły powinniśmy się zatem czuć bezpieczni. Owszem, po użądleniu pszczoła umiera, ale zaraz zastępuje ją inna. Królowa zaś może żądlić wiele razy, chociaż rzadko opuszcza ul i jest pilnie chroniona przez inne pszczoły. Przyznajmy, że brzmi to dość znajomo.

Ale na tym nie koniec: uważać bowiem należy na gniew pszczoł. W „Słowniku symboli” Władysława Kopalińskiego czytamy, że w Europie uważano, iż pszczoły się obrażają, gdy ktoś źle się o nich wypowiada lub czyni je przedmiotem transakcji. Wówczas potrafią sprawić szkody w domu i zagrodzie. Pszczołom należy oddawać cześć, nie wolno ich poddawać krytyce, bo to się może dla nas źle skończyć.

Krótko mówiąc: wszystko się zgadza. Ul jest znakomitą metaforą tego, czego byliśmy świadkami na konwencji PiS-u i w ogóle – całej partii. Zadowolenia z tej metafory nie krył sam Jarośław Kaczyński, prezes królowa, który komentując konwencję, powiedział: „Bardzo pięknie. Właśnie tego żeśmy się spodziewali, że będzie ul, bo to jest coś w rodzaju ulu”. Chodziło mu oczywiście o „ula”, ale specjalnie popelniał błąd, by dodać swojej wypowiedzi autentyczności: błędy są znakiem prawdziwych emocji. Zwrócił jednak uwagę przede wszystkim na pszczołoidalną ruchliwość członków i członkiń swojej partii: „Ludzie się przesuwały. Ja też chodzę z miejsca na miejsce. Wszędzie są dyskusje, tu wybuchają brawa, tam wybuchają brawa”. Jak taka wizja ula ma się do ula rze-

czywistego – mogą ocenić wyłącznie pszczelarze. Ruchliwość pszczoł jest powszechnie znana, nie wiem jednak, czy można mówić o ruchliwości królowej i mieszanu się jej z tłumem robotnic. Natomiast jeśli anatomia pozwala pszczołom bić brawo, to zauważmy, że mogą one to robić trzykrotnie intensywniej niż ludzie – ze względu na liczbę swych odnóży.

Nie są to brawa bez powodu, na przykład rozbrzmiewające na sam widok królowej. To aplauz dla nowych, korzystnych dla pszczoł rozwiązań, jakie pojawiały się w czasie kuliarynych rozmów podczas konwencji. Prezes Kaczyński, zapewne w miodopłynnej euforii, postanowił nawet poszerzyć pszczelą metaforę na inne rejony: „Mamy taką prawdziwą dyskusję o tym, co dalej uczynić w Polsce. I sądzę, że z tego naprawdę będzie chleb. To jest mąka, z której będzie chleb”. Przeszliśmy zatem z ula do młyna, a nawet do piekarni. Owszem, do niektórych rodzajów chleba dodaje się miód, ale w ulu maki się raczej nie miele. Chyba że to zapowiedź hasła kolejnej konwencji PiS-u. Zobaczmy. Pamiętajmy jednak, że niekonsekwencja metaforyczna bywa zgubna. Ponoć to Erich Honecker powiedział: „Nasz kraj stał nad przepaścią. Ale zrobiliśmy spory krok naprzód”. Dodam, że powiedział to niedługo przed końcem Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Zwróćmy jeszcze uwagę na czasownik, którym posłużył się Kaczyński: „uczynić”. Można go uznać za archaiczną – a przez to patetyczną, stosowaną zatem dla podniosłej chwili i towarzyszącego jej wzruszenia – formę czasownika „zrobić”. Jest to czasownik neutralny: czynić można zarówno dobro, jak i zło, częściej chyba jednak występuje w kontekście negatywnym. Chrystus w polskim przekładzie Ewangelii według św. Mateusza, w Biblii Tysiąclecia, mówi: „Zaprawdę, powiadam wam: wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”, Norwid retorycznie pyta: „Coś ty uczynił swoim, Camoensie?” i „Coś ty uczynił światu, Napolionie?” i „Coś ty uczynił ludziom, Mickiewicz?” a Kochanowski się żali: „Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim”. Ze względu na te literackie konotacje „uczynienie czegoś w Polsce” w ustach przywódcy partii demolującej od dłuższego czasu nasz kraj brzmi złowroźnie. Nawet – albo i zwłaszcza – jeśli wyobrazimy sobie tę partię jako rój pracowitych, posłusznych, kąśliwych i obraźliwych pszczołek. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki*

XXXVII. Fragment lamentacji. Czytając „Zagładę olkuskich Żydów” Krzysztofa Kocjana

nie wracaj po raz kolejny
w przemyskie do Hrudnychy
napisz wiersz w którym
nie zabraknie Rywki Wenchadłowskiej

odnotuj (choć niczemu nie zaradzisz
i nie zapobiegiesz) młodą
i piękną Pesłę Ryńską lat 28 powiedz nam
że w poezji polskiej znajdziesz

dla niej nieco miejsca Hrudnychy bowiem
to nie wszystko posuń się matuchna
ustąp z tekstu niech nas dziś i jutro zasmuci
nieobecność Rywy Pankowskiej

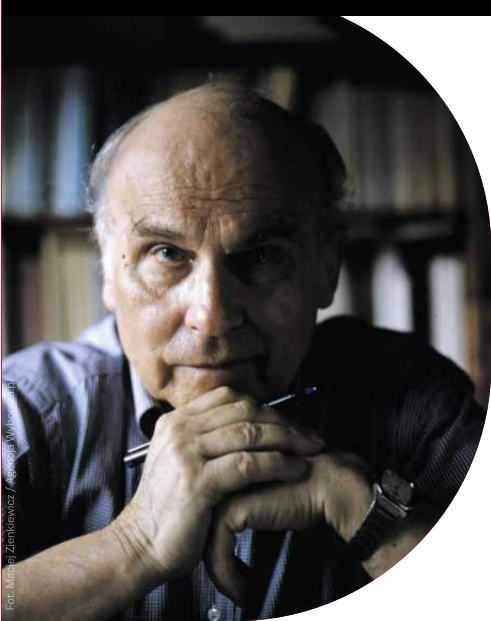
13 II 2020



*Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki – poeta, urodził się w 1962 r. w Wólce Krowickiej koło Lubaczowa. Laureat Nagrody Literackiej „Nike” i Nagrody Literackiej „Gdynia” (obie 2009 r.) za tom „Piosenka o zależnościach i uzależnieniach”. Mieszka w Warszawie, ale wychował się i dorastał w Przemyskiem, a także w Olsztyńskim, dokąd po akcji „Wiśła” władze deportowały jego rodzinę. Utwór za: Tkaczyszyn-Dycki, „Ciało wiersza”, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2021

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

O G Ł O S Z E N I A



ORGANIZATOR
I FUNDATOR NAGRODY



Warszawa

WSPÓŁORGANIZATOR

wyborcza.pl

PARTNER

KSIAZKI

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL, NASA

CZY KOSMICI PŁYWAJĄ POD LODEM

U nas w NASA nigdy nie mówimy, że jest „czyjaś wina”, żeby nie blokować ludzi przed działaniem.

Z **ARTUREM CHMIELEWSKIM**, INŻYNIEREM I SZEFEW WIELU MISJI NASA, SYNEM PAPCIA CHMIELA, ROZMAWIA **WOJCIECH STASZEWSKI**



Do wywiadu bierzemy dwie kawy w kubkach z przykrywką – dla Artura Chmielewskiego czarną, dla mnie z mlekiem. Stawiam je na stoliku, oczywiście odwrotnie, a kiedy to odkrywam, bardzo go przepraszam, że to moja wina. Artur (od razu przechodzi na „ty”) na to: – U nas w NASA nigdy nie mówimy, że jest „czyjaś wina”, żeby nie blokować ludzi przed działaniem. Tylko patrzymy, jak poprawić system, żeby błędy się nie powtarzały. Gdyby na tym kubku było napisane, jaka to kawa, to nie byłoby pomyłek.

Artur B. Chmielewski jest menedżerem wysokiego szczebla w NASA – w Jet Propulsion Laboratory (Laboratorium Napędu Odrzutowego). A prywatnie – synem Henryka Jerzego Chmielewskiego, czyli Papcia Chmiela. Tak, tego od komiksów o Tytusie.

Który księżyc jest najładniejszy?

– Cały wszechświat jest piękny. To tak, jakbyś miał powiedzieć, który człowiek jest najładniejszy.

Proste. Aktualna Miss Świata.

– To zależy, jak się na człowieka patrzy, powierzchnie czy głębiej. Z księżycami jest tak samo – jak zajrzeć do wnętrza, to się okazuje, że ono jest dużo ciekawsze niż to, co widać na powierzchni.

Fascynujący jest Tytan, księżyc Saturna. Ma ciekawą powierzchnię – piaszczyste i skaliste wydmy, wąwozy, rzeki i jeziora z płynnego metanu i etanu. Ale pod skorupą lodową jest wodny ocean. To nas w NASA podnieca, bo jak są woda, węglowodory, które się syntetyzują w atmosferze, i energia, która pochodzi ze środka księżyca, to może być życie.

W oceanie? Jakież – wybach aluzję do „Tytusa” – lunaszki? Lunowady?

– Ojciec przed śmiercią zrobił ilustracje do mojej książki „Wyzwania kosmiczne”. Narysował, jak wyglądałby Tytus na innych planetach. Bo mnie denerwuje, że w filmach kosmici są przedstawiani jako zielone ludziki z długimi palcami, cienką szyją i oczami na czulkach. Te organizmy rozwijałyby się różnie w zależności od warunków na danej planecie, jak grawitacja, ciśnienie, temperatura.

W gazach Jowisza Tytus wyglądałby jak balon latający między chmurami. A na Tytanie byłby chudszy, wyższy, bo przyciąganie jest dużo mniejsze, ale musiałby być pokryty włosiem albo piórami, bo tam jest minus 180 stopni.

Jest sens szukać życia w takim miejscu? W filmach o kosmitach przybysze mieszkają na planetach podobnych do Ziemi.

– Kiedyś tak myśleliśmy. Szukaliśmy życia tylko w pewnej odległości od Słońca, żeby nie było za gorąco, za zimno, żeby była woda w stanie płynnym.

A teraz widzimy, że na Ziemi są organizmy żyjące na dnie oceanów, gdzie nie dociera światło, dostają energię dzięki pęknięciom w skorupie ziemskiej. Są prawie przezroczyste, bo barwa nie jest potrzebna do żadnego kamuflażu, zabierałaby tylko energię.

Na Tytanie nie byłoby życia na powierzchni, ale w oceanach możemy sobie je wyobrazić. A że one

są pod powierzchnią, to w kosmosie norma. To nasze płynne rzeki i jeziora są ewenementem. Zwykle oceany są podskórne, pod pokrywą lodową – tak jak zamrożone jeziora w zimie na Ziemi. I ryby są w stanie przetrwać zimę pod lodem.

Kosmici są więc rybami?

– Czemu nie. Chociaż prędzej odkryjemy kosmiczne bakterie. Nasz łazik Perseverance szukał takich. Wylądował tam, gdzie było jezioro, do którego aktywnie wpływała woda i gdzie są takie skały, których osady rozpuszczone w wodzie lubią bakterie. Te stematolity były pierwszym życiem na Ziemi.

Co cię bardziej pociąga – perspektywa znalezienia życia czy budowa maszyn, które służą do eksploracji kosmosu?

– Najbardziej pociąga mnie to, że uczyć się i chyba stając się mądrzejszy. Nawet nie codziennie, ale co godzinę się czegoś uczę. Miałem okazję pracować z dwoma noblistami. Każdy jest skromny, przyjazny i odnosi się do kosmosu z pasją. Nie ma miejsca na ego czy narzucanie opinii. Kosmos jest wystarczająco trudny, żeby jeszcze ludzie sobie utrudniali.

Pięknie mówisz, ale nieraz widzieliśmy w telewizji Amerykę podzieloną jak nigdy. NASA to nie dotyczy?

– O polityce się w pracy nie dyskutuje. Podbój kosmosu musi być apolityczny, żebyśmy mogli coś osiągnąć. Zbudowanie Perseverance zajęło siedem lat, a projektowanie zaczęło się jeszcze cztery lata wcześniej. To trzy kadencje. Misja na Tytan zajmuje od początku do końca 12 lat.

Czyli jeden prezydent daje fundusze na projekt, drugi rządzi podczas wystartowania, trzeci, kiedy statek leci, czwarty, kiedy ma lądować i przelać dane. Gdyby ktoś chciał z tego robić politykę, to nie byłoby żadnych misji.

Wreszcie i Republikanie, i Demokraci popierają kosmos. Bo w Ameryce każdy rozumie, że kosmos nie tylko umożliwi wyżycie się genialnym naukowcom, inżynierom, programistom, ale przynosi też wynalazki.

Niektórym Amerykanom, a co z jeżdżenia po Marsie łazikiem mają mieszkańcy upalnej Warszawy?

– Inwestycja w kosmos zwraca się wielokrotnie. Budowaliśmy np. radary, które szukają wody podskórnej na Marsie, obserwując planetę z orbity. To bardzo skomplikowana technologia, na jakiej częstotliwości ten radar ma działać, jak promienie się będą odbijały od różnych warstw podskórnych, na jakiej głębokości, jakie chemikalia mogą zakłócać obraz. Ktoś może zapytać: „A po cholere nam ta woda na Marsie, mnie wystarczy czysta woda w kranie?”. Ale poczekaj.

Jakiś czas temu w Polsce rozmawialiśmy o wspólnej misji polsko-amerykańskiej. Polska mogłaby mieć malutki, tani statek, NASA zrobiłaby lądownik i te dwa statki mogłyby odkryć wodę na Marsie 3-5 km pod powierzchnią.

W Polsce było bardzo dużo sceptycyzmu. Ale była tu akurat delegacja Kataru, która kupowała autobusy elektryczne. Usłyszeli o Marsie, skontaktowali się ze mną i dali nam miliony dolarów, żeby zaprojektować misję, która będzie latała nad pustynią, nad Półwyspem Arabskim, i szukała podskórnych wód.

Będzie też latała nad biegunem południowym i nad Grenlandią, patrząc, jak szybko topnieje lód. Po co? Bo kiedy woda się podniesie, może zatopić takie państwo jak Katar. A najpierw woda z oceanu zacznie wpływać do wód podziemnych, z których ludzie czerpią wodę do picia.

Niech pan pomyśli, ilu uchodźców uciekało z Syrii. 100 tysięcy? A niech zabraknie wody ludziom na całym Półwyspie Arabskim i Afryce Północnej, to ponad 400 milionów ludzi.

Jeżeli oni odkryją wodę i zaczną ją czerpać, to unikniemy wielu groźnych rzeczy. Jest na to szansa dzięki temu radarowi, który skonstruowaliśmy, żeby szukać wody na Marsie.

Teflon, który jest dziś na każdej patelni, też został wymyślony przy okazji misji kosmicznych, prawda?

– Tak. Tę rozmowę nagrywamy na iPhone. Steve Jobs i Steve Wozniak, konstruując go, wzięli osiem technologii, z czego siedem było opracowanych dla przemysłu kosmicznego. Tylko dotykowy ekran wymyślił Hewlett Packard, nie myśląc o kosmosie. A np. kamera była zrobiona w moim JPL.

Ja miałem zbudować teleskop wielkości Stadionu Narodowego, a Eric Fossum – opracować miniaturową kamerę. Wszyscy mówili: Art Czemaluski ma porządne zadanie, bo trzeba przez wielki teleskop obserwować planety przy innych gwiazdach. A Eric? Po co komu takie małe kamery?

A jakie miało być pierwotne zastosowanie?

– Jakby coś poszło nie tak z Perseverance, to mamy na Marsie złom wart 2,5 miliarda. I ludzie by zaczęli narzekać, że tyle pieniędzy w błoto.

Więc analizujemy dwa rodzaje misji. Jeden: zbudujemy olbrzymie laboratorium za 2,5 miliarda dolarów wielkości SUV-a. A drugi: wyślijmy jedną rakietą 10 misji po 200 milionów albo 100 misji po 20 milionów, nawet jak się połowa zepsuje, to połowa przetrwa i przekaże dane. Kamera była do tych małych łazików.

Chciałeś wciągnąć polskie instytucje i firmy do misji kosmicznych. Gdzie nam do NASA?

– Amerykanie są bardzo chętni do współpracy z Polską, bo polscy naukowcy i inżynierowie mają świetną reputację. Nie myślmy: „Nie umiemy odśnieżyć ulic, to co się będziemy pakować w kosmos”. Powinniśmy się pakować w kosmos, żeby się dużo nauczyć.

Mała firma SatRevolution wypuściła już na orbitę pierwsze satelity, kolejne ma w budowie. Oni są w stanie budować statki na poziomie światowym. W dodatku dużo taniej ze względu na różnice kosztów pracy. A Centrum Badań Kosmicznych PAN i Politechnika Warszawska wybudowały statki Lem, Heweliusz, PW1 i PW2.

Tego typu konstrukcje nazywają się CubeSat, bo to sześciany 10x10x10 cm.

Małe kamery. Co one robią?

– Wszystko się miniaturyzuje. Na razie to satelity eksperymentalne. Ale w planach są takie, które będą obserwowały Polskę, żeby miała własne dane i nie musiała ich kupować.

Jakie dane? O chmurach, wiatrach czy ruskich bombowcach?

– Radarowe satelity, takie, jakie buduje Iceye, są dobre dla Polski, ponieważ radar przenika przez chmury, a w Polsce chmury są cały czas. Tylko że radar ma mniejszą rozdzielczość. Dokładniejsze są satelity optyczne z kamerą, ale tu jest kwestia, jak duży musi być obiekt, żeby np. departament obrony mógł odróżnić motocykl od czołgu. W podcierwieniu z kolei można obserwować choćby wilgotność gleby i przewidywać suszę. To bardzo ważne do dokładnych prognoz pogody. Bo jak nie wiemy, ile jest wody w glebie, to nie wiemy, ile jej wyparuje pod wpływem promieniowania słonecznego, a to ma fundamentalne znaczenie dla zmian pogody.

W USA to już standard. Woda w Kalifornii jest bardzo droga, trwa nieustanna walka między miastami, które zużywają dużo wody, a rolnikami. Rolnicy dostają pewne przydziały i chcą jej użyć mądrze. Tam

gdzie jest względnie mokro, nie będą podlewali, tylko tam, gdzie jest bardzo sucho. A to widać z przestrzeni kosmicznej.

Z czego jesteś najbardziej dumny w NASA?

– Z nadmuchiwanej anteny. To była bardzo dziwna misja, która miała sfotografować planety w innych układach słonecznych.

Słynny teleskop Hubble’a ma metr średnicy, nowy Webb jest sporo większy, ale nawet on nie da rady zrobić zdjęcia planety, na której spodziewamy się, że może być życie, a która krąży obok gwiazdy oddalonej od nas o 20 lat świetlnych. Trzeba by mieć teleskop wielkości Stadionu Narodowego, bo obiektyw musiałby mieć 100 m średnicy. Nie możemy tego zrobić ze szkła, bo ile lotów należałoby wykonać, żeby te setki ton szkła wynieść na orbitę. Więc wpadliśmy na pomysł, żeby ten teleskop był nadmuchiwany.

Zrobiliśmy go najpierw dla fal radiowych, dzięki czemu wykonaliśmy pierwsze zdjęcia czarnych dziur. Antena miała 23 m 77 cm. Była zbudowana z folii, nadmuchiwana azotem. Choć wszyscy mnie ostrzegali: na orbicie jest mnóstwo śmieci, małe kamery ziarenko piasku uderzy w folię i po teleskopie.

Uczestniczyłem w misji Galileo na Jowisza, misji Cassini na Saturna, która odkryła też jeziora na Tytanie. W misji Rosetta, którą robiliśmy razem z Europejczykami, a ja byłem kierownikiem z ramienia NASA, osadziliśmy lądownik na komete.

Co zrobiliście w tych misjach?

– Wszystko. Kariera jest ciekawa, kiedy nie robisz przez całe życie tego samego. Jak siedzisz całe życie w laboratorium jako technik albo całe życie jesteś kierownikiem, to gorzej. Ja zacząłem od laboratorium, testowaliśmy nowe technologie kosmiczne, wszystko chcieliśmy robić lepsze, mniejsze. Każdy kilogram wysłany na Marsa to milion dolarów, więc każdy gram się liczy. Pracowałem przez wiele lat jako technik nad usprawnianiem generatorów nuklearnych. Żeby były wydajniejsze, zużywały mniej plutonu. Bo jak się leci na orbitę Saturna, to panele słoneczne musiałyby mieć wielkość boiska i trudno byłoby poruszać się takim statkiem, więc używamy generatorów nuklearnych.

Później budowałem podzespoły w statkach kosmicznych, aż zostałem superwizorem w tym dziale. Przeniosłem się do planowania nowych technologii dla przyszłych misji, jak panele słoneczne albo cryocooler, czyli urządzenie, które chłodzi do niesiechanie niskich temperatur, urządzenia kontroli termicznej, żagle kosmiczne. Aż zostałem kierownikiem tych misji. Potem zostałem też kierownikiem nowego programu kosmicznego na całe NASA, napisaliśmy nawet podręcznik dla nowych inżynierów – to było laboratorium ultralekkich struktur.

W przyrodzie mocną i ażurową konstrukcją jest liść. A wiesz, skąd o tym wiem? Z „Tytusa”?

– Od ojca. Zabierał nas do lasu, pokazywał, jak liść jest skonstruowany, jak oddycha. Umiął mnie i moją siostrę zafascynować takimi rzeczami. I to mi się przypomniało po latach w NASA, kiedy szukaliśmy mocnej i zarazem lekkiej struktury.

Wylądowałeś w Stanach w roku 1975...

– Miałem w kieszeni 20 dolarów. Poszedłem na fizykę, po pierwszym roku doradca studencki zapytał mnie: „Hey, Art, are you rich?”. Powiedziałem kiepską angielszczy-

zną, że nie, jestem biednym studentem z komunistycznej Polski. On na to: „Jeżeli jesteś biedny, to musisz zostać inżynierem. Bo fizycy zaczynają zarabiać dopiero po zrobieniu doktoratu”.

Zmieniłem kierunek i przeszedłem na co-op program, w którym przez jeden semestr pracowałem, a w drugim się uczyłem. Ścinałem trawę, malowałem domy, sortowałem listy na pocztę, ale pracowałem też w Fordzie.

Do NASA dostałeś się dzięki takiej pracy w Fordzie, tak?

– Jak jesteś w Stanach studentem ostatniego roku, to załatwiają ci interview o pracę. Przedsiębiorcy z całego kraju przyjeżdżają, dostają CV studentów i jak przedsiębiorca zainteresuje się tobą, to masz półgodzinną rozmowę. Jeśli dobrze pójdzie, to kupują ci bilet i lecisz do siedziby firmy, gdzie spotyka się z tobą management i albo dają ci ofertę, albo nie.

Umówiłem się na 11 takich spotkań, wszystkie w Kalifornii, w tym jedno było w JPL w NASA. Dostałem 10 ofert pracy, zgadnij, której nie dostałem?

Oczywiście w NASA JPL.

– Chodziłem wiele razy do NASA, aż się ze mnie śmiali. Aż w końcu trafilem na jednego naczelnika, który akurat poprzedniego dnia dostał polecenie, żeby stworzyć samochód elektryczny na podstawie technologii kosmicznych. Zobaczył w moim CV, że pra-

Żeby zrobić zdjęcia planety 20 lat świetlnych stąd, na której może być życie, trzeba mieć teleskop wielkości Stadionu Narodowego. Nie może go zrobić ze szkła, bo jak te setki ton szkła wynieść na orbitę. Więc wymyśliliśmy teleskop nadmuchiwany

cowalem dla Forda i w innych firmach samochodowych. Pyta, czy wiem coś o samochodach. Odpowiedziałem: „I know everything about cars”.

A co wiedziałeś?

– Naprawdę wszystko. Pracowałem nad silnikami stalowymi, ceramicznymi, filtrami do powietrza, robiłem testowanie osi. Żeby Ford nie musiał zatrudniać kierowców, którzy jeździli w kółko po kamieniach, żeby sprawdzić, jak resor działa, stworzyłem urządzenie testowe. Ono nadawało siłę w różnych kierunkach na ten resor i można go było szybko przetestować.

Jak testowaliśmy pasy bezpieczeństwa, wkładałem trupy na specjalne siedzenia do crash testów. Uderzaliśmy nimi w ścianę i patrzyliśmy, jak się zachowują różnego rodzaju pasy bezpieczeństwa.

Więc ja mu spadłem jak z nieba. Tam wszyscy byli geniuszami, jeżeli chodzi o statki kosmiczne, a nikt nie wiedział dużo o samochodach.

Jechałeś do Ameryki z marzeniem, żeby dużo osiągnąć?

– Zawsze się interesowałem programem kosmicznym. Jeszcze w Polsce wchodziłem na dach mojego bloku w nocy i zrzucałem lądowniki kosmiczne na ziemię. Budowałem z tektury kopie Apollo LEM-a i starałem się je udoskonalać, absorbując więcej energii wymyślonymi trikami, harmonijkami, balonikami. Marzenia miałem kosmiczne.

Papcio Chmiel chciał, żebyś był artystą. Chciałeś mu udowodnić, że w innej dziedzinie będziesz równie wielki?

– Dotykasz największego bólu mojego życia. Pracowałem z dwoma noblistami, pracuję z geniuszami, mają do mnie pełne zaufanie i szacunek. A mój tata mówił mi tylko: „Synu, namaluj coś, napisz książkę”.

Wysyłałem mu wiadomości, że dostałem Złoty Medal NASA, że zbudowałem urządzenie do statku kosmicznego i że mój miniaturowy generator chcą ludzie z Finlan-

dii, Arabii Saudyjskiej, i że polecą na Marsa. Wysyłałem mu zdjęcie, jak w białym kombiniezonie wkładałem je na statek kosmiczny w programie Galileo. Pisałem, że jestem kierownikiem misji, że wydałem podręcznik dla inżynierów. A tata odpowiadał: „Napisz książkę, tylko po polsku, dodaj się do kultury polskiej”.

W końcu tę książkę napisałem, przy pomocy Eweliny Zambrzyckiej, która jest jej współautorką i w każdą sobotę i niedzielę przymuszała mnie do wspólnego pisania. Wpadłem na pomysł, żeby ojciec zrobił ilustracje. I nagle – miesiąc, półtora miesiąca przed jego śmiercią – zaczął ze mną współpracować. „A powiedz, synku, to jego nogi powinny wyglądać tak czy tak? A płuca duże czy mniejsze?”. Ojciec ze mną rozmawiał, przysyłał mi maile. Był podniecony. A ja czułem, że wtedy mnie dopiero zaakceptował.

Tata pospieszył się o miesiąc z umieraniem, żeby móc wziąć tę książkę do ręki. Ale widział ją w formie elektronicznej. I mam poczucie, że po raz pierwszy, w wieku 97 lat, zaakceptował mnie.

Mam wrażenie, że twój ojciec wymyślał w „Tytusach” żelazkołoty, mieloloty, wannoloty, a ty to wszystko potem budowałeś. Roboty węgorze, które NASA planuje wykorzystać na księżycu Saturna, Enceladusie to kopia wkrętacza, którym Tytus, Romek i A'Tomek docierają do podziemnej krainy krasnoludków w XV księdze.

– Też sobie tak czasami myślałem. Co rysowanie komiksów może mieć wspólnego z podbojem kosmosu? A jednak! Ojciec zaszczerpił we mnie kreatywność. „Musisz być kreatywny, inaczej nikt cię nie będzie pamiętał” – powtarzał. I jak miałem np. w imieniny zanieść cukierki do szkoły, to wymyślił, że potniemy mydło, zawiniemy w papierki i wszyscy będą mieli pianę na ustach.

Dlatego zwracam ogromną uwagę, żeby być oddanym ojcem. Tak jak mój ojciec brał mnie do lasu i pokazywał, jak są zbudowane liście – tak ja dzisiaj pilnuję, żeby razem z żoną, Kasią z Poznania, moim synem – Lucasowi i Marcusowi – pokazywać świat. Nadal, chociaż już dawno studiują. Żeby coś przekazać następnemu pokoleniu.

I nie chcę, żeby moi synowie czekali na akceptację i szacunek do 97. roku mojego życia. Dlatego mówię im codziennie, że jestem z nich dumny, jestem dumny, że są moimi synami, i wierzę, że dużo dokonają w życiu.

Kim ty właściwie jesteś? Masz uśmiech Tytusa, ale zostałeś chyba profesorem T.Alentem?

– Chciałbym być pamiętany jako człowiek, który dorzucił się do czegoś dobrego dla tej naszej małej niebieskiej kropki. Jeżeli każdy z nas użyje swojego talentu do zrobienia czegoś dobrego, to wszechświat będzie lepszy. ●

„Kosmiczne wyzwania. Jak budować statki kosmiczne, dogonić kometę i rozwiązywać galaktyczne problemy” – książka Artura B. Chmielewskiego i Ewy Zambrzyckiej-Kościelniczkiej w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



weekendówka
51

MAMA

Autorem wielu haseł jest **Anna Okienycz-Kulasek**

Trzymając się litery kalendarza i biorąc poprawkę na różnicę czasu, to dziś powinniśmy składać życzenia mamom z Boliwii, bowiem w Polsce Dzień Matki obchodzony jest 26 maja. Ale to święto jak mało które zasługuje na przedłużenie obchodów. Dlatego prócz życzeń, które usłyszeliście wczoraj, Drogie Mamy, dołączamy kolejne.

Jako się rzekło, 27 maja świętują Dzień Matki Boliwijczycy, bo w różnych krajach dzień ten przypada na różne daty. Wiele nacji celebrytuje święto w drugą niedzielę maja (m.in. USA, Kanada, Włochy czy Turcja), pierwszą majową niedzielę upatrzyli sobie m.in. Hiszpanie i Portugalczycy, Arabowie zdecydowali się na 21 marca, Mongołowie połączyli Dzień Matki z Dniem Dziecka i świętują 1 czerwca, jeszcze inni łączą Dzień Matki z Dniem Kobiet (8 marca). W zasadzie śmiało można powiedzieć, że Dzień Matki na świecie obchodzony jest przez cały rok, począwszy od drugiej niedzieli lutego (Norwegia), a skończywszy na 22 grudnia (Indonezja).

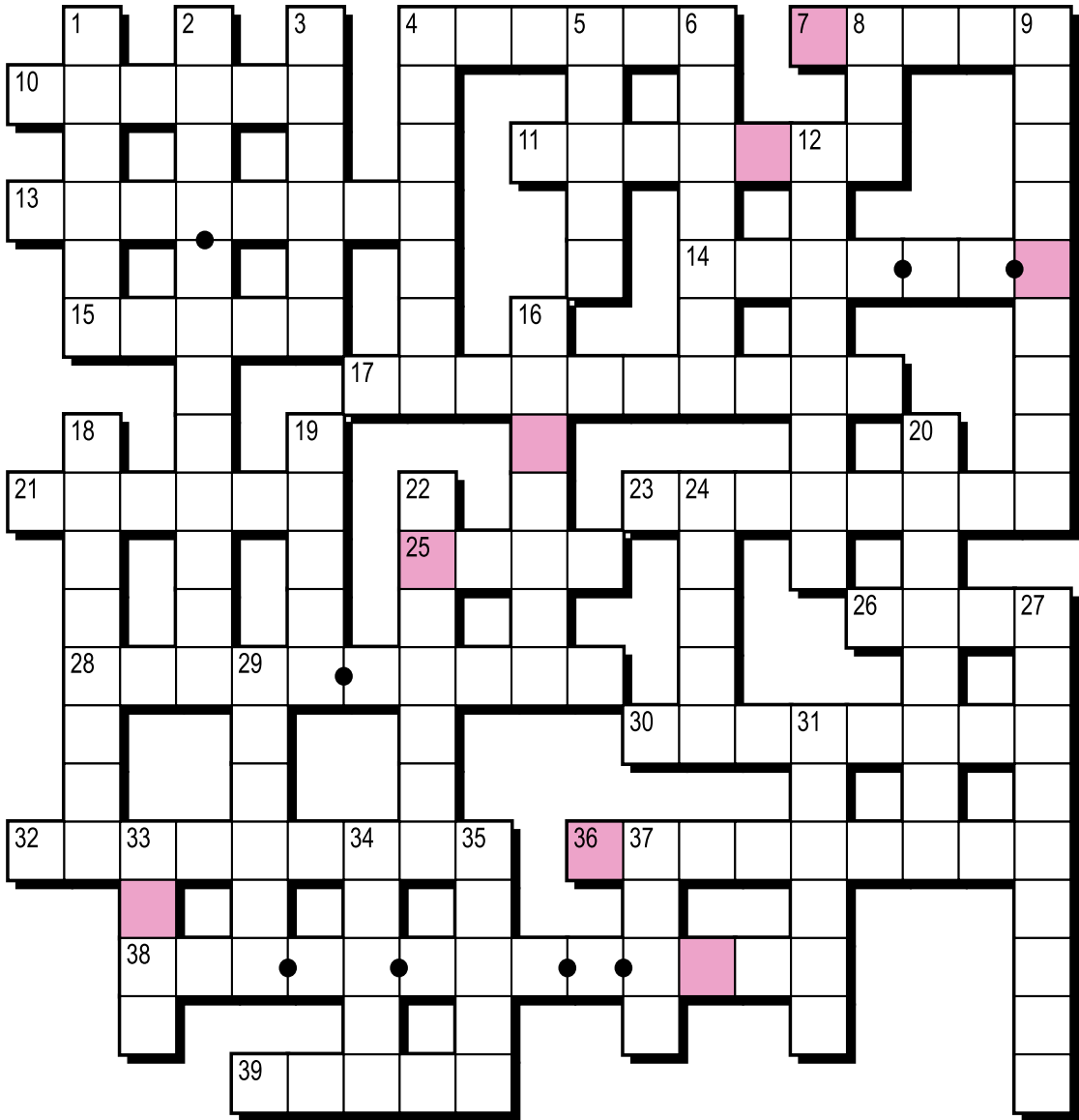
26 maja celebруемy tylko my, ale nie zawsze tak było, bo przed II wojną światową Dzień Matki był w Polsce świętem ruchomym. Zaczęło się w 1914 roku w Krakowie, w 1923 roku po raz pierwszy świętowaliśmy 26 maja, i tak już zostało.

„Każdą inną ludzką miłość trzeba zdobywać, trzeba na nią zasługiwać, pokonując stojące na jej drodze przeszkody, tylko miłość matki ma się bez zdobywania i bez zasług” – powiedział kiedyś Herman Auerbach, polski matematyk.

Bo z mamami tak już jest. Kochają bezwarunkowo, bezinteresownie i najszczerzej. Wiedzieli o tym i Robert Frost, i Józef Ignacy Kraszewski, i Fannie Flag. Zresztą, nie trzeba do tego tegiej głowy.

Dlatego, Kochane Mamy, dzisiajszą „Weekendówkę” poświęcamy Wam i dziękujemy za wszystko, co dla nas wspaniałego robicie. A o pomoc przy układaniu haseł pozwoliłem sobie poprosić kogoś, o kim opowiadali ci wszyscy znani i mądrzy ludzie. Moją Mamę właśnie. Dziękuję, że jesteś, zdecydowanie za rzadko Ci to mówię, a za wszystkie kolki, które ciosałem Ci na głowie, i beczki smoły, do których włożyłem – przepraszam. Wszystkiego najlepszego dla Ciebie i wszystkich innych Mam też. ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 53 z 20.05:

- Poziomo:**
1) stewardesa
6) myśliwce
10) Top Gun
11) Swissair 13) koła
14) Dreamliner 16) asy
17) Iryda 20) wiatry
21) mechanik
22) plan 23) parkingi
24) podróźni
26) hangar 29) forteca
31) awiator 33) Pink Floyd
34) hydroplan
38) obiekt
39) Tadeusz Wrona
41) zbiorniki
42) namiary
- Pionowo:**
2) tłok 3) Wigura
4) runway 5) awionetka 7) Świdnik 8) Witold
9) ekran 11) silnik
12) skrzynka
15) eskadra 18) awaria
19) schodki 20) wieża
22) pion 23) pilot
25) Heathrow
26) Hanks 27) rząd
28) komputer
30) Tupolew
32) gondola 35) dziób
36) antki 37) pasy
40) syn

HASŁO:
SPADOCHRONIARZ

DZIEŃ MATKI

Hasła Anny Okienycz-Kulasek oznaczono inicjałami (AOK). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4)** „Matka ... od Aniołów”, film Jerzego Kawalerowicza
7) miejsce urodzenia Aiszy – żony Mahometa zwanej Matką Wiernych
10) „Matka Courage i jej dzieci” Bertolta Brechta
11) matka Bolesława Chrobrego
13) matka Hamleta
14) piosenka zespołu Dżem zaczynająca się słowami: „Mamo, piszę do ciebie wiersz”
15) prawosławny obraz z wizerunkiem Matki Boskiej, świętych

- 17)** Elżbieta ..., żona Kazimierza IV Jagiellończyka, nazywana matką królów
21) Matka ... z Kalkuty
23) imię wykonawczynie piosenki „Ain’t Your Mama”
25) święta, matka Marii z Nazaretu
26) matka Zygmunta Augusta i Anny Jagiellonki
28) symbol patriotki oddanej rodzinie i wychowaniu dzieci (skojarz z wierszem Adama Mickiewicza lub łódzkim centrum zdrowia)
30) tytułowa rola Doroty Segdy z 1994 roku (AOK)
32) matka zwana także kumą
36) w komedii „Miś” krzyczy: „Matka siedzi z tyłu! Tak powiedział!”
38) piosenka Wojciecha Młynarskiego („Własną piersią dokarmiała, oczy mlekiem zalewała...”)
39) „Matka i ...”, film z Sophią Loren i Jeanem-Paulem Belmondo

Pionowo:

- 1)** w czasie deszczu się nudzą (AOK)
2) autor powieści „Matka noc”
3) matka ..., przyroda jako ostoja ludzkiego bytu i źródło dóbr
4) matka i żona Edypa
5) mityczny symbol matki bolejącej nad utratą dzieci
6) ... Kotta, matka Juliusza Cezara
8) pramatka rodzaju ludzkiego
9) podniosło o uniwersytecie (z łac. Matka Żywicielka)
12) Anna ... i Marek Jackowski, nagrali piosenkę „Matka od samotnych drinków”
16) najlepszym jego przyjacielem jest Włóczykij (AOK)
18) jego matka to mityczne uosobienie wierności małżeńskiej
19) w serialu nosiła nazwisko Skowron (AOK)

- 20)** bogini – matka Eneasza, bohatera rzymskiego eposu
22) z pustego nie należy (AOK)
24) imię wykonawczynie piosenki „Mamo... Córcu...”
27) ... Romanowa, siostra Marii, Olgi i Tatiany; ich matką była Aleksandra Fiodorowna, ostatnia cesarzowa Rosji
29) frygijska bogini płodności i urodzaju, nazywana Matką Bogów
31) np. Czomolungma (w dosłownym tłumaczeniu z tybetańskiego: Bogini Matka Ziemia)
33) Danuta ... i Bogdan Czyżewski, nagrali piosenkę „Zapytaj o to moją mamę”
34) tu można obejrzeć 10 poziomo
35) zamiata nogą (AOK)
37) imię matki Anny German

Leszek Rydz

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play